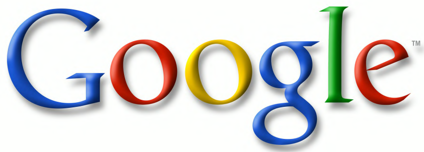
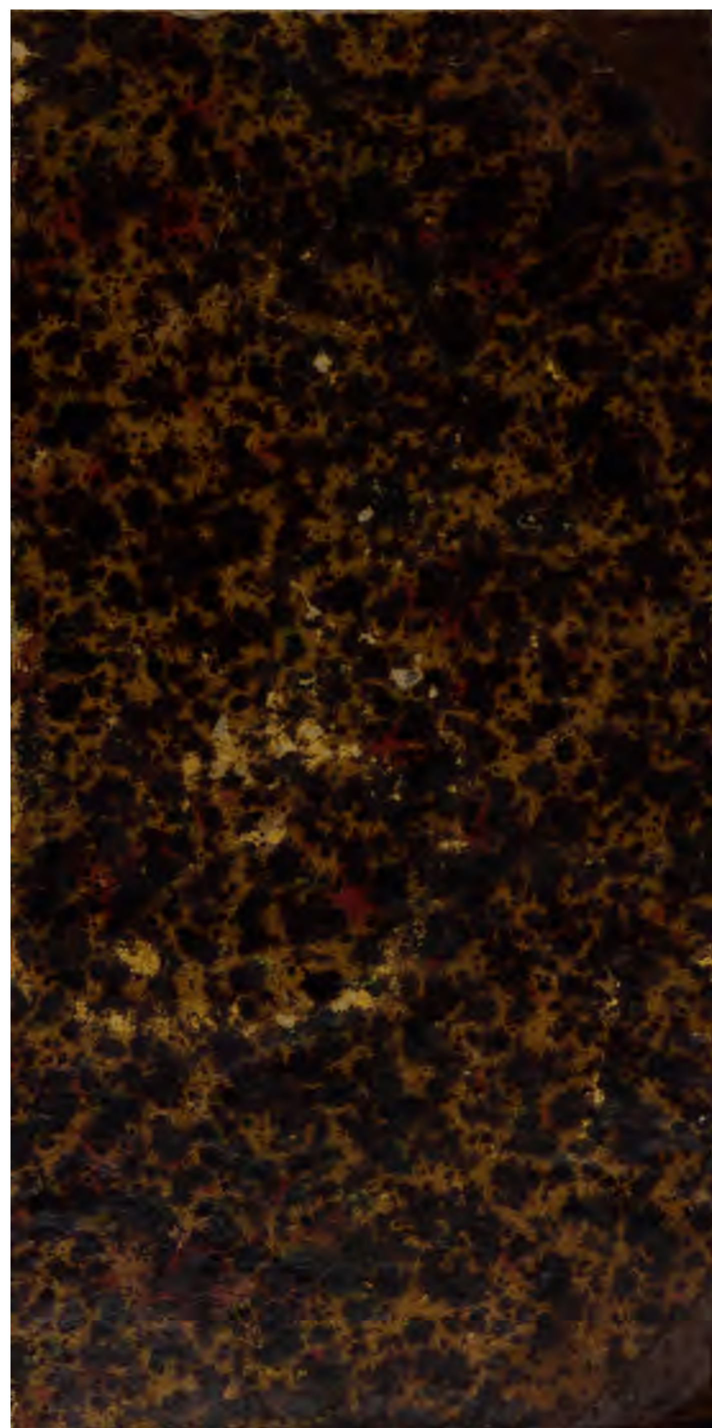
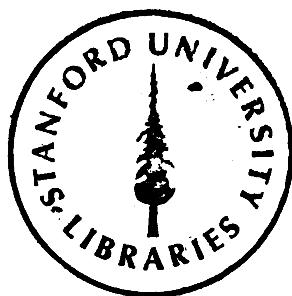

Google











KILKA RYSÓW

Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA.

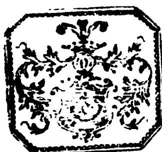
KILKA RYSÓW

Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA

OD ROKU 1848 — 1858.

PRZEZ

LUCJANA SIEMIEŃSKIEGO.



TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GUSTAWA GEBETHNERA I SPOŁKI.
Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

1859.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 19 (31) Sierpnia 1858 r.

Cenzor, *Antoni Funkenstein.*

Druk J. Ungra.

I.

BOHATYRSTWO I GMINNOŚĆ.

Rok, to nie żadną zaokrąglona całość, któraby się zaczynała z pierwszym stycznia, a z ostatnim grudnia kończyła; jest to raczéj ogniwo wielkiego łańcucha zdarzeń, przypadków, zjawisk, narodzeń i śmierci, nakreślone tą niezmienną koleją, jaką życie natury przebiega. Podziałka ta, któréj się dobrowolnie myśl nasza poddaje, nie wpływa na żadne sprawy, ani biegowi rzeczy ludzkich przeszkadza; jest ona jakby przecinkiem w długim okresie, ażeby czytelnik mógł spocząć i łatwiéj objąć, co przeczytał.

Dla mnie rok upłyniony wydaje się jak ta gościnna ustroń, na którą podróżny jeszcze raz obraca się, nim ją straci z oka na zawsze, a w skarbnicy wspomnień swoich na zawsze umieści; bo tam niejedno budziło w nim sympatyę, zaczarowało chwilę, zajęło wyobraźnię, oświeciło umysł, jak i niejedno nabawiło niesmakiem, ścisnęło smutkiem, a nawet sprowadziło ziewające nudy.

Tak samo zwracam się do ubiegłego roku i pytam co przyniósł, czém nas wzbogacił, co zapowiada, czy obietnice jego są szczere, i czy sam się nie łudzi?

Bieżąca krytyka nie zawsze jest w stanie obrachować postęp literatury; raz, że sama cząstkę literatury składa, a więc nie może stawić się poza jéj obrębem; podrugie, że skalę postępu tworzą pewne warstwy wyobrażeń, które dopiero wtedy dają się ocenić, gdy wyczerpały swój fundusz, a w dążnościach swych pokazały się błogiemi lub zgubnemi. Wszakże w stosunku do skończonych już okresów łatwiéj jest wskazywać różnice, mianowicie te, co się liczebnie dają obrachować, lub co uderzające kontrasty tworzą.

Toż i obecna chwila literatury naszéj w sto-

sunku do minionych, odznacza się nie pospolitym ruchem piśmiennym. Ruch to najwybitniejsze znamie dzisiejszéj epoki, bo się objawia we wszystkich gałęziach pracy ludzkiéj, czy materyalnéj, czy umysłowéj — nie mógłbym powiedzieć, że jest wypadkiem jakiéjś myśli zaziemskiéj, jakiegoś nieodgadnionego instynktu jak ten, który ludy pędził na Rzym Cezarów, lub na odzyskanie grobu świętego lub na odszukanie nieznajomych światów... Tam zawsze był cel wysoki, który wszystkich porwał i wiódł, było słowo upajające co rodziło poświęcenia się... kiedy dziś, sprawcą i celem ruchu jest kapitał więcéj jeszcze fikcyjny jak rzeczywisty.

O cives, cives, quaerenda pecunia primum!
Virtus post nummos.

To jeszcze w swoim czasie powiedział Horacy, a musiał na prawdziwą ranę palec położyć, kiedy od téj pory Rzym nie rósł, ale coraz malał i nikczemniał. Jeżeli ten charakter przybiera społeczeństwo dzisiejsze, nie dziw, że ruchliwe drgania muszą się również pojawiać w jego umysłowych płodach rzadko przynoszących z sobą co nowego, tylko utrzy-

mujących się kosztem dawnych myślicieli i twórców; bo więcéj lub mniéj zręczne przyrządzenie wystarcza na pokarmienie rzesz łaknących, chociaż i to ich łaknienie bardziéj jest materyalne niż duchowe.

Na piszących, czyli tak zwanych kapłanów myśli, nie można zawsze zwalać winy.— Jeżeli ich wpływom na społeczeństwo dano przesadzone rozmiary, to z drugiéj strony, za mało przyznano wpływu spółeczeństwa na piszących, którzy bezwzględnie są od niego zawiśli. — Autor, mówię tu o masie piszących w przecięciu, jak ryba bez wody, nie może się obejść, nie już bez sławy, bo téj spółczesność najczęściéj nie daje, ale bez wziętości, a rośnie w nią coraz więcéj, im więcéj umie dogadzać panującemu smakowi. — W ujemnéj stronie spółeczeństwa, tkwi ujemna strona dzisiejszéj literatury. Publiczność obok innych wygódek i wykwintów życia, potrzebuje jeszcze przyjemnéj umysłowej rozrywki w chwilach wypoczynku od zabaw, lub od gonitw za złotym cielcem; dlatego ten jéj najwięcéj dogadza, kto ją najlepiej rozerwać umie. — A rodzaj rozrywki bywa w różnych epokach różny. — W Atenach publiczność tak się bawiła wszy-

stkiém, czy to swoimi politykami, czy hetmanami, czy poetami, czy filozofami, a nawet bogami, że aż władza musiała się w to wmieszać i tamę położyć temu szałowi przedrwiwania wszystkiego. W Rzymie za panowania Augusta podczas przedstawień poważnych komedyi Plauta lub Terencyusza wołali widzowie: dajcie nam uczonego niedźwiedzia lub skoczka! Kiedy Francya szalała i rozpustowała najwyższém zepsuciem, bawiono się płaczliwym dramatem. Otóż więc jak wtedy tak dziś, tak zawsze zabawa przybiera różny charakter: czasem pusty śmiech oddziaływa na zbytek purytańskiego świętoszkostwa, to znowu łzy sentymentalne płyną nad listami dwojga kochanków, lub tkliwym dramatem, kiedy na placu publicznym poklaskiwało się spadającym głowom. — W dzisiejszéj chwili społeczeństwo nasze rozlubowało się nadzwyczaj w obrazach wiejskiéj prostoty, a tymczasem całemi tłumami garnie się do miasta i zmienia swój patryarchalny tryb życia, otaczając się wygódkami i wymysłami wcale niezgodnemi z tą wynoszoną pod nieba doskonałością człowieka natury. — Że taki smak przeważa, najoczywistszy dowód w tém mnóstwie pro-

dukcyj opiewających przedmioty sielskie, zawsze prawie w przeciwstawieniu do klass wyższych, ma się rozumieć zepsutych do gruntu. Wszystko to bawi widać i zajmuje, kiedy jest rozrywane przez publiczność; to tylko nieszczęście, że nauki tak piękne jakoś w las idą; bo choć autorowie przeciwne wskazują drogi, i nie szczędzą duchowego obroku, spółeczeństwo pędzi swoim torem: giełdy, koleje żelazne, przedsiębierstwa olbrzymie, wprawiają je w taką gorączkę, jeżeli się tylko sposobność nadarzy, jakiéj nigdy nie sprawił jeszcze żaden z naszych poematów lub romansów.

Takim jest świat, takiém społeczeństwo w stosunku do piszących. Możemy mu radzić, prostować jego pochód, ale zatrzymać na pochyłościach nie zawsze podobna. Ztąd, jak już natrąciłem, wpływ piszących na obecne momenta, zawsze bywał przesadzony; przynajmniéj autorowie, którzy wzięli się do pióra w tém przeświadczeniu czy zarozumieniu, że każde ich słowo musi się zaraz stać ciałem, albo co naginają i naciągają każde zdarzenie do planu ich reformy społecznéj, autorowie tacy nietylko nie osiągają celu, ale tworom swoim odejmują tę żywość naturalną, tę pra-

wdę życia, która nie może się żadnym sposobem rozwinąć pod naciskiem pretensyonalnéj dążności, choćby ta miała cel wcale zbawienny.

Zdaje mi się że ta pretensya dzisiejszych pisarzy urodziła się głównie z filozoficznych poglądów na dzieje umysłowości pisanych wtenczas, kiedy wpływy takiego Homera, Platona, *Danta*, Szekspira dopełniły się w sferach obejmujących kilka lub kilkanaście pokoleń. Ten i ów widząc jaką cześć oddawano jeniuszowi, pomyślał sobie: muszę i ja być wpływającym; kto wie, może na mnie spoczywa palec boży, i stanę się odrazu apostołem ludów! Tymczasem, żeby wpływ był wpływającym, potrzeba mieć nie pospolity skarb ducha do rozdania; same kombinacye sztuki, to jak papiery z przymusowym kursem.

Jestto w ògóle choroba dzisiejszego piśmiennictwa, nietylko u nas, lecz wszędzie, wszakże z tą różnicą, że swobodniejsze umysły gdzieindziéj otrząsają się z tego prędzéj; kiedy u nas grzęzną dłużéj, a za nimi ogon krytyków, zazwyczaj obracający się w tém samém kółku co i pisarze. — O inicyatywę w pojęciach i poglądach, o zmianę frontu,

o przerzucenie zużytych stanowisk na świeższe jakieś i nie tak wydeptane pola, nie pytać naszych pseudo-estetyków.

Stronniczość można sobie wytłumaczyć namiętnością, przywiązaniem do swojéj idei, lub mrzonki; lecz nieumiejętny sąd ma tylko za wymówkę głupstwo i zarozumiałość, zawsze najczynniéj reprezentowane, gdzie o to idzie, aby jak najwięcéj papieru zadrukować.

Kiedy przebiegam myślą płody fantazyi i serca w upłynionym roku puszczone w świat, które powiedzmy nawiasem są tylko dalszym ciągiem tego, co się w poprzednich latach rodziło — uderzają mię wyłączne dwie myśli, a raczéj dwa temata, około których krążyła niemal cała rzesza piszących.

Pierwszym tematem jest świat Soplicowski, zaściankowy, sięgający jak wiadomo ostatnich godzin Rzeczypospolitéj, co ożywiona duchem Barskiego związku buchnęła raz jeszcze płomieniem konającéj lampy i ukazała przesuwające się w jéj blasku charaktery i postacie bohatyrskie. Kopalnia ta, godna historycznego romansu odrazu prawie wyczerpaną została talentem, który pierwszy otworzył jéj głębię, co jednak nie przeszkadzało, żeby ten i ów

nie zaglądał do niéj i mniéj więcéj szczęśliwie wypełniał te luki, jakie talent zostawił. Lecz gdy malować bohaterów i pełne charaktery nie każdemu dano, rzucano się w zaściankowe życie, powszednie przygody, zaprawne mocno węgrzynem, którego tyle wytoczono, żeby w nich skąpał wszystkich bohaterów romansów i powieści, co rozlało taką monotonię na one kompozycye, że się czytelnikom na prawdę głowa zaczęła kręcić od tych ustawnych libacyi. — Dla urozmaicenia jednakże przedmiotu próbowano jeszcze jednéj kombinacyi, to jest zestawienia zaścianka z pałacem magnata. Ta odwieczna sprężyna zawiści klass między sobą nasuwała bijące kontrasty, z których umiano wyciągnąć co się tylko dało. — Wiadomo, że pomiędzy warstwami towarzyskiemi gra nieustająca zawiść, dlatego że się nie znają. Gdyby się lepiéj poznały, umiałyby sprawiedliwszemi być względem siebie, ale w takim razie dla pisarzy romansów, komedyj, dramatów, upadłaby jedna sprężyna, bez któréj możeby nie tak łatwo poruszali światem swojéj kreacyi.

Drugi temat, kiedy malowanie zaścianków szlacheckich przejadło się cokolwiek, znalazł

się w życiu *wioskowém*; samo wprowadzenie tego wyrazu na tytułach książek miało oznaczać nowy rodzaj. — Na nieszczęście w rodzaju tym nie znalazł się jeszcze tak górujący talent, aby zaspokoił potrzebę wtajemniczenia nas w ten świat odmalowany pędzlem poezyi maczanym w prawdziwych kolorach, z czego urodziła się pierwsza maniera ckliwsza może niż klassyczna idylla, bo tamta przenosiła nas myślą w złoty wiek stosownie do Owidyuszowego podziału, a dzisiejsza ma pretensyę stawiać nas pośród rzeczywistości na jaką codzień patrzymy. Za główną sprężynę wzięto i tu kontrasty podług powyższéj formuły wszakże mogę to przyznać daleko ostrożniéj, przynajmniéj u pisarzy pojmujących lepiéj ducha epoki, co jednak nie powiada, żeby studya wioskowe nie pozostawiały nic do życzenia, szczególniéj w utworach poetycznych, które jeszcze nie trafiły na właściwy żywioł poezyi ludu; bo jakkolwiek mogą się znaleść nie wierzący w poezyę pod słomianym dachem i w siermiędze, to jeżeli przypuszczamy i w prostym człowieku czucie, wiarę, cierpienie, łzy święte i szlachetne natchnienie, te źródła żywéj poezyi, to zawsze przypuścić można, że

prawdziwy poeta znajdzie tam obfite żniwo. I rzeczywiście mam przekonanie, iż na wioskową nutę długo jeszcze brząkać będą lutnie, wioskowe sceny obrabiać powieścio-pisarze, albowiem jestto panujący dziś smak w całéj niemal literaturze i sztuce europejskiéj.

Że to nie żadne urojone przypuszczenie, powtórzę com znalazł w uwagach jakiegoś niemieckiego krytyka, co uderzony zwrotem osobliwym w całéj bieżącéj literaturze, tak powiada: „Historya wioskowa i pozioma rzeczywistość nawet i w malarstwie, rozsiadły się tak szeroko, że idealno-romantyczne i historyczne przedmioty nie mają nawet kącika, toż i u publiczności na odrobinę wziętości rachować nie mogą. Dawniejszy Siegfrid przystał za parobka u bawarskiego piwowara; Hebe roznosi kufle z piwem; Muza tragiczna krząta się z widłami około nawozu; Mojżesz i Daniel handlują starzyzną, a o proroków to i nie pytaj. Cały interes skupił się w życiu domowém; potomek Germanów tylko za piecem umie się rozpalić; dlatego wielkie historyczne przedmioty nie grzeją go wcale.“

„Czyśmy rzeczywiście tak nizko spadli — zapytuje daléj ów krytyk — że już nie możem

czuć zarazem i prawdziwie i szlachetnie? Czy wzniosłość stała się nam zupełnie obcą? Czy to prawda, żeśmy się wykreślili z listy heroicznie-czynnych narodów, i pobieramy emerytalną pensyjkę i żyjemy w kółku domowém, gdzie nas portretują nasi malarze i poeci?

Tyle przynajmniéj pewna, że ludzie naszego wieku pozbawieni są heroicznego rzutu i patetycznéj treści; a jeżeli nareszcie publiczność przechyla się czasami do historycznych przedmiotów, to pragnie, aby je oprawiono w maleńkie ramki i redukowano do drobnych rozmiarów obrazka z potocznego życia. Publiczność widzi chętnie na scenie historyczne postacie, ale w roli ojców rodziny, a najwięcéj w roli mrukliwych despotów domowych— żony zaś bohatyrów i ich córki w charakterze kapryśnych lub wzdychających kochanek. W ogóle sielankowość przemaga wszędzie, a żelazne figury i charaktery nie budzą sympatyi. — Jeżeli tak pójdzie daléj, to tragedya nie będzie śmiała oczu pokazać na deskach teatralnych....

„Wielokrotnie téż przekonywaliśmy się, że wszystkie patetyczne sceny umierania na teatrze, sprawiają odrazę w widzach, co na-

prowadza na wniosek, że nadchodzi okres albo najczystszéj ludzkości i wykształcenia; albo zupełnéj zniewieściałości, bojącéj się jak ognia wszelkich katastrof tragicznych, czy w rzeczywistości, czy w zmyśleniu. Że ku temu idzie, to aż nadto widoczne. Drobne wyrafinowane udręczenia jeszcze jako tako uchodzą na scenie, byle tylko prowadziły do spokojnego, a wcale niekrwawego rozwiązania. Codzień doświadczamy tego, że im się bardziéj człowiek starzeje, im więcéj smutnych zdarzeń był świadkiem, im bliżéj starł się z rzeczywistością — tém myśl śmierci częściéj mu się nawija, i ażeby to natrętne widmo odpędzić od siebie, szuka rozweselających wrażeń, a przeto w dziedzinie sztuki, gdzie może, od tragicznych przedmiotów ucieka. Zastosowanie téj prawdy od całych narodów niepotrzebuje wielkiego naciągania. — To pewno, że w naszym wieku bardzo mało jest ludzi tak silnego odlewu i tak głębokiego stępla, ażeby tragiczny los ujęty w ten sposób, jak go wystawiali starzy Grecy lub Szekspir, mógł być dla nich źródłem wzniesienia się nad siebie samych i bodźcem do niezłomnych zapasów z własnemi losami.“

tem nie obraca się w kapitał, któryby prawdziwą zamożność stanowił. Toż i duchowego kapitału wyroby te nie przynoszą, jak nie przyniosły żadnemu narodowi, choć ich liczył na krocie, i lepszych niż nasze.

Nie mówię tego bynajmniéj, aby przymawiać tym, co nas zasilają podobnym rodzajem literatury; służy im bowiem obronny argument: a dlaczegóż nas czytają tak skwapliwie, dlaczego dopiero czytać zaczęto, odkąd obraliśmy tę drogę? — Zapewne argument mocny, lecz jeszcze nie zwycięzki; wlec się bowiem za efemerycznym smakiem massy czytającéj, jedno jest co zajmować stanowisko, na jakiém massa stoi — a cóż się zrobi z tém powtarzaném co chwila kapłaństwem myśli, z tém posłannictwem duchowém, do jakiego każdy piszący rości sobie pretensyą, jeżeli tu i owdzie pomiędzy sceny brudne i płaskie, z rzeczywistości niby wzięte, rzuci óbrok duchowny, kusy jaki morał, co nie chłodzi, nie grzeje? — Powiadają, że przy nich dopiero prawdziwy postęp, odkąd zaczęli w wiernych rysach malować rzeczywistość; przyznaję, że rysy pochwycone są z rzeczywistości tu i owdzie,

a pochwycone aż do drobiazgów; lecz czyliż wyżsi pisarze nasi nie robili tego samego? Kto więcéj rzeczywistości umiał pochwycić, jak Mickiewicz w Panu Tadeuszu, Brodziński w Wiesławie, Goszczyński w Zamku Kaniowskim? ależ dlatego każdy z nich czuł się w obowiązku napełnić tę rzeczywistość taką potęgą ducha, że te ich kreacye mają wszystkie przymioty prawdziwéj kreacyi — to jest idealność. Dziś trudno się spotkać z czém podobném, bo że tak powiem, głównie materyalna strona najwięcéj bywa uwzględnianą; a materyalne strony są: rozłechtanie ciekawości przez użycie zręcznych kombinacyj zawikłujących rzecz i wyszukiwanie scen rażących jaskrawością kolorytu i ruchliwością jarmarczną; spisywanie w inwentarz garderoby i mebli; a nareszcie postrzeżenia powierzchownych drobnostek, na które codzień patrzymy—zgoła cały ten przybór składa się na utwór i tyle w nim miejsca zabiera, że już to co ma wyjść z ducha, nie ma się gdzie podziać; dla téj przyczyny pozorne życie działających figur i pozorna rzeczywistości prawda, mogą zabawić, zainteresować, póki książka w ręku, póki czas

czemeś zabić potrzeba—lecz gdy ta zbytkowa uciecha minie, książka nie otwiera się więcéj a pustki jak były tak zostają w głowie i sercu czytelnika.

Ten kierunek nadany dzisiejszemu naszemu piśmiennictwu, wszczął się z téj ślizkiéj a przyjętéj przez wielu prawdziwie utalentowanych autorów metody, popularyzowania wszelkich wyobrażeń, przez podanie ich w najprzystępniejszéj i najbardziéj łatwéj formie powieści. Usłużność ta odbyła się jednak kosztem wysokiego nastroju, w jakim prawdziwy kunsztmistrz powinien trzymać swoję kompozycyę; tymczasem rzecz dowiedziona, iż popularność nie leży w spłaszczeniu się, gdy największe utwory takiemi nie są, a dlatego przystępnemi być nie przestają. — Malczeskiego lub Mickiewicza czyta i czuje wielka liczba, a jednak ton ich zawsze wysoki, podnosi drugich, siebie nie zniża. Pogardzono téż wyborną przyprawą, mogącą prawdziwie łaknących nasycić, a zajęto się rozdawaniem zupy rumfordzkiéj, która nie dozwala zaiste z głodu umierać, ale téż nie tuczy. Filantropia ta tak w ekonomii politycznéj jak w literaturze, bardzo

może być chwalebną, ale mniemam, że zawsze tam lepiéj, gdzie się bez niéj obejść można.

Tak oto, weszliśmy w okres więcéj fabryczny jak twórczy; zręczność zastąpiła natchnienie, słowo z ducha poczęte, krwią serca pisane, poszło na posługę nowego zastępu pisarzy co do gotowego przyszli, a swego nic prawie nie przynieśli. Krom pewnéj mechanicznéj wprawy, co maskując brak pracy wewnętrznéj, téj pracy, która jedna jest w stanie dać ton gorący, i rozlać owe światło niebieskie, jakie żadnym effektem wywołanym przez użycie najczarniejszego cienia zastąpić się nie da.

Daleki jestem od myśli rzucania winy na kogokolwiek, a jeszcze mniéj powstawania na tę obfitość płodów piśmiennych, wychodzących zpod pras drukarskich — bo mam to przekonanie, że jak z gór lecącego potoku nikt nie wstrzyma, tak i téj fazy w piśmiennictwie nic nie odwróci, dopóki przez wyczerpanie się i zużycie, swego nie domierzy kresu. Powinnością jest wszakże krytyki, jeżeli chce zdawać sprawę z każdéj rozleglejszéj sytuacyi, odnosić ją do prawd wiekami uznanych, słowem porównywać; a porównywając wykazywać

niedostatki, ostrzegać o niebezpieczeństwach, zwłaszcza jeżeli żywe słowo, to jedyne narzędzie, jakiém się duch nasz objawia, pójdzie na posługę wewnętrznéj czczości, i tak zużyte stanie się pustém tylko brzmieniem.

Bez pracy ducha, sama zewnętrzna sztuka jest tylko pobielanym grobem; pismo święte zastosowało to do tych, co mieli wszystkie formy cnót i świętości, a istoty ich nie mieli. Toż i piśmiennictwo piękne ma dzisiaj to wszystko, co łudzi, co się chwilowo podoba, co rozrywa, dziwi nawet, ale niema tego co przeistacza, podnosi, uszlachetnia, i rozbudza świat myśli nieopuszczających człowieka, póki je w czyn nie zamieni.

Być może, nie każda chwila sprzyja rozwinięciu téj potęgi ducha twórczego; obecna należyć może do tego rzędu zbankrutowanych chwil jakiegoś przejścia do czegoś—a temu nie winni ani poeci ani romansiści. Ale w takiém położeniu niechżeby ton był mniéj podniosły i mniejsze uroszczenia, a większe poszanowanie i pamięć tego, co w wyższéj sferze panuje udzielnie. Bo to pewna, iż takie upojenie się bogactwem produkcyi, wypływającém tylko

z pochopności do piór, jak wiara we wziętość dzienną, roztrąbianą po pismach czasowych, rodzi pewne zadowolenie z siebie, które jeśli kogo, to sztukmistrza gubi, wpisując go w koło, z którego wyjść nie może, aż do zupełnego wyczerpania funduszu, tém bardziéj, jeżeli ten fundusz ciągnie się z samego zewnętrznego świata, a nie z tego, co wszystkie największe dzieła stworzył na ziemi.

II.

TRADYCYE SZTUKI. — TRAGEDYA I TRAGICZNOŚĆ. — ZNACZENIE ODPRAWY POSŁÓW *Kochanowskiego.*

Rzecz godna zastanowienia, że w narodzie, co przechodził przez tak liczne a tak gwałtowne koleje i przeobrażenia polityczne, jak naród francuzki, co towarzyski swój porządek po tylekroć zmieniał i przerabiał, co niszczył zwyczaje i przywileje, a tradycye z pamięci i z pomników ścierał — że w narodzie tak ruchliwym przechowały się po dziś dzień tradycye ducha literatury, atoli nie w tém dogmatyczném skośnieniu, któreby utrzymywało się jak szacowny zabytek przeszłości, lecz pełne znaczących wpływów,

umiejętnie rozumnych kierunków powściągających wybryki piór unoszonych namiętnością, lub poślubionych jakiéj paradoxalnéj zasadzie.

Akademia francuzka, aczkolwiek obrzucano ją śmiesznością i targano powagę, ostała się i śród burz politycznych i niebezpieczniejszych jeszcze, burz literackich, a to z prostéj przyczyny, że czterdzieści jéj krzeseł zapełnia się od czasu do czasu członkami górującemi w narodzie, bez względu do jakiéj szkoły należą. Tym sposobem ciało jéj, lubo nie przestaje być reprezentantem myśli, uczuć i wyobrażeń ogółu, jednakowoż stojąc na straży tradycyi literackiéj, umie głos podnieść w imię nieśmiertelnych zasad piękności, języka i stylu, i nie hamując w niczém swobody piszących, ostrzegać ich przed grzechem nadużycia, jak z drugiéj strony, utrzymywać sąd w publiczności wyższy i wytrawniejszy, a przytém tyle silny, że ani prądy mody, ani kupne oklaski, ani wszelkiego rodzaju szarlatanizmy, nie zdołają takiéj nabrać przewagi, żeby nikt nie śmiał już ust otworzyć i zaprotestować.

W największym tryumfie romantyczno-szalonéj szkoły francuzkiéj, zawsze znalazła

się tam część publiczności ukształconéj, któréj smak, wyobrażenia i uczucia, obrażały się nadużyciami onéj, a choć niekiedy zbytnia w tych kołach panowała wyłączność, niemniéj jednak szkoła ta przeminęła, a uczucie prawdziwéj artystycznéj i moralnéj piękności zostało.

Gdzie jest zatém taka tradycyjna literacka powaga, jak w Akademii francuzkiéj, można być pewnym, że piśmiennictwo zawsze będzie miało stronę wyższą i niełatwo zejdzie na téj drodze trywialnéj płaskości i moralnéj nędzy, na jaką schodzą literatury, kiedy je za narzędzie użyje sofizm lub namiętność stronnictw, czy sekciarskich, czy politycznych, czy socyalnych.

Nic więc dziwnego, że głos członków tejże Akademii, traktujący wyłącznie jakie literackie pytanie, miewa znaczenie nietylko dla saméj Francyi, ale i dla reszty literackiego świata, który, choćby i nie stosował tych zdań i pojęć do swojéj narodowéj potrzeby, jednakowoż uderzony być musi wagą słowa, co płynąc z łona téj najwyższéj instytucyi umysłowéj, mającéj za sobą i doświadczenie wieków i górującą pozycyę talentów, nasuwa mnóstwo

pytań i do zastanowienia się nad niemi pobudza.

Przed niewielą dniami przyniosły nam dzienniki paryzkie mowę Ponsarda, wstępującego do Akademii i odpowiedź Nisarda. Pierwszy, jako poeta tragiczny wszczął rzecz o tragedyi, gdzie zdziwił mię szereg jego dowodów: jako rodzaj tragiczny, czyli po prostu tragedya istnieje i nigdy nie przestała istnieć. Przyznam się, żem o istnieniu tego rodzaju literatury nigdy nie wątpił, a jednak czytając co mówił z takim naciskiem, mógłem się łatwo domyślić, że znaleźli się jacyś nowatorowie, zapewne literaci *Hugonoci*, którzy zrobili zamach na tragedyę.

Posłuchajmy tego ustępu Ponsarda, przemawiającego w obronie tragedyi:

„Zgodzicie się na to szanowni panowie, że żaden rodzaj literatury nie może skonać, jeżeli odpowiada ciągłéj i ogólnéj potrzebie umysłu ludzkiego. Przyznajcież ażali niektóre postacie historyczne nie wzbudzają w nas większego, niż inne zajęcia? Jakże nam miło, kiedy kto ożywi osoby górujące nad pospolitym tłumem, kiedy ożyją tacy prawodawcy, zdobywcy, monarchowie, trybuny, zgoła wielcy

Ponsard zdefiniował w tym ustępie starą tragedyę i nowożytny dramat robiąc bardzo trafną uwagę, że jeżeli dramat ma przyczynę swego istnienia, ma go niemniéj tragedya, która dopóty istnieć będzie, dopóki ludzie znachodzić będą przyjemność w nauce dziejów i w wierném malowidle namiętności.

Z takiém zastrzeżeniem niepodobna przypuścić, aby ten rodząj miał zaginąć jak mammut lub mastodont, ani zasługuje ten na miano reakcyonisty, kto się upomina o zaszczyty przeszłości swego narodu, tém mniéj, jeśli te odpowiadały warunkom wzniosłéj piękności. Dziwno mi przeto, że Ponsard rozwinąwszy swoję doktrynę o tragedyi, mógł dodać w końcu te trwożliwe słowa: „kto wie, może mię pomówią o dążność reakcyjną.“ Pochwycił to w odpowiedzi swojéj Nisard, i upewnił go, że rozwinięte przez niego myśli nietylko nie są w duchu reakcyjnym, ale owszem najliberalniejszym.—„Jeżeli to prawda, mówił daléj, że każda epoka narzuca poematowi dramatycznemu swoje zwyczaje, przesądy, krój myśli, a właściwiéj swój język — ażaliż ten nie jest wolnomyślnym człowiekiem, który chce bronić poetę przeciw temu niewolnictwu i usiłuje

podnieść poemat dramatyczny nad wszelkie przemijające wymogi przyzwoitości, kroju, mody i chwili?—Również jeżeli zawikłana intryga dramatu, przypadki, niespodzianki, uderzenia teatralne, nie zostawiwszy w poemacie dramatycznym ani jednego kącika dla rozwinięcia się charakterów i odmalowania namiętności, obiorą go tém samém z wszelkich żywiołów pięknoty, i z wszelkiéj siły wiersza, czyliż wolnomyślnym nie będzie ten, który doradzi poecie szukać efektu na wielkiém polu pięknoty, i tworzyć wiersze, mogące pozostać na zawsze?“

Obrałem umyślnie za punkt wyjścia do moich uwag nad tragedyą te postrzeżenia dwóch akademików francuzkich, ażeby pokazać, jak niezbędną jest rzeczą przypominać autorom ich tradycye, w chwilach, kiedy się zapędzą na drogi ubliżające wielkościom przeznaczeń literatury, kiedy w zarozumiałéj zaciętości swojéj gotowi są zagrzebać jaki rodzaj dlatego tylko, że wiąże się z takiemi wymaganiami, jakimby sprostać nie byli w stanie.

Dramat nowożytny i intrygowy, który się urodził właściwie pod koniec 16 stulecia, aczkolwiek odpowiada formą swoją i żywiołami

składającymi go, skłonnościom nowszych epok, nie powinien przecież wykluczać tragedyi, mającéj tak nieśmiertelną przeszłość, a niemniéj i wszystkie warunki, pod któremi mogłaby istnieć w każdéj epoce, byle ta miała uczucie i cześć dla piękna i charakteru.

Odkąd romantyzm rozsadził klassyczne formy, rzucono się na oślep w dramat, dlatego że najwięcéj dawał swobody, ale takiéj swobody co przestawała być sztuką, co się prędko wyuzdała w potworności i niedorzeczeństwa, mogące wywołać najmocniejsze efekta, nigdy jednak wprawić umysł i serce widza w to upojenie jakiego doznawał, gdy przed nim rozwijała się głęboka gra uczuć wewnętrznych, przesuwały charaktery olbrzymie, z jednéj sztuki granitu, a odpowiedni postaciom język, grzmiał ze sceny i jak strzałami wrażał się w pamięć, każda zaś postać jak pieczęć odgniatała się w sercu, zostawując w niém uczucie i pojęcie ideału.

W pomieszaniu dzisiejszém wyobrażeń, wcale nie na korzyść sztuki wypadającym, ośmielam się rzucić kilka postrzeżeń o tragedyi, suchych może, bo teoretycznych, lecz zawsze będących na dobie, kiedy mogli w téj

materyi rozprawiać członkowie akademii francuzkiéj tak głośno, że ich świat słyszy; kiedy przytém mam przed sobą parę naszych utworów dramatycznych tylko co w obieg puszczonych. I jedno i drugie nasuwa więc potrzebę *mówienia* o tragedyi w ściśłém znaczeniu, a zatém odrębnie od tegoczesnego dramatu.

Niech mi wolno będzie i to jeszcze dorzucić, że myśli które pragnę rozwinąć, potrącone zostały mową Ponsarda, w któréj chociaż wymownie bronił praw tragedyi, przecież nie ujął pytania tam, gdzie właściwie było do ujęcia, to jest w zasadzie tragedyi, tak jak ją pojmowali Grecy. Tam jest ona w swojém źródle i dlatego najczystsza.

Cóż więc jest tragiczność, co tragedya?

Zazwyczaj przeciw stawiamy tragiczność z koniecznością, jak łzy ze śmiechem, i z tego przeciwieństwa tworzymy sobie najpospolitsze pojęcie obu rodzajów. Lecz gdy nie wszystko co łzy wyciska bywa tragiczném, jak nie wszystko co do śmiechu pobudza, komiczném, tak i właściwa tragiczność tkwi w czémsiś inszém, wyższém; zwłaszcza że najpodnioślejszy stopień uczucia objawia się najczęściéj milczeniem, a najtragiczniejsza scena nie zwilża oka.

Starożytność najobfitsza w skończone tragiczne motywa, czyż niema sióstr Faetona płaczących na jego grobie, którym gdy łez nie stało, zamieniły się w wierzby płaczące? Czyż Niobe po stracie synów i córek nie zamienia się w marmur? a w chwili zamordowania Ifigenii na ołtarzu ofiarnym, czyż Agamemnon płaszczem nie zasłania sobie głowy? Łza przynosi wewnętrzną ulgę i jest już znamieniem upadającego uczucia, a nie jego piętrzącéj się siły.

Rozczulenie do łez to nie tragiczność — to rzecz dzisiejszego dramatu, który żelazną konieczność tragedyi zastąpił drobném chceniem.

Właściwa tragiczność w ścisłém pojęciu, leży gdzieindziéj. Starożytni widzieli ją w tym nieszczęśliwym losie pognębiającym, który acz zasłużony przez winę, jednakowoż na skali ludzkiego uczucia nie wydawał się odpowiednym w stosunku do winy. Ztąd budzi się w nas litość dla dotkniętych ręką losu, budzi się oraz i trwoga przed karzącą potęgą, ale nie trwoga zwyczajna, upadlająca, tylko inna, głębsza, pełna pokajania, a oraz podnosząca nas duchowie, aż do nabrania téj świadomości, że na szali boskich wyroków bezwzględnie

sprawiedliwych, kara musi być odpowiednną zbrodni.

Tragiczność w proch ściera nasze człowiecze uczucie, lecz na to, aby je podnieść tém wyżéj, kiedy zarazem daje przeświadczenie wewnętrzne o sprawiedliwości i nieomylności sądów opatrznych. Niewolnicze poddanie się niezrozumiałemu przeznaczeniu, byłoby zawsze hańbiącém; dobrowolne zaś przejrzenie planów sprawiedliwości boskiéj i zgodzenie się z niemi—przynosi najwyższy zaszczyt i ulgę.

Z tego pojęcia wychodząc największe okropieństwa nie stanowią jeszcze tragiczności. Okropność obudza tylko strach przed jakąś nieznaną potęgą, gdy tragiczność zmusza byśmy schylili czoło przed uznanym opatrznym porządkiem świata.

Z powyższych określeń tragiczności, wynika, że tragedya nietylko powinna budzić trwogę i litość, ale jeszcze oba te uczucia ozłacać i uszlachetniać promieńmi dobrowolnego poddania sie widokom najwyższéj woli. Arystoteles tak często cytowany gdzie nie potrzeba, właśnie myśl tę najtrafniéj wyłożył: „Tragedya -- powiada on — jest naśladowaniem

działania, które za pomocą litości i trwogi oczyszcza każdą namiętność.“

Jedno to zdanie Arystotelesa jak mieczem przecina starożytną tragedyę, od dzisiejszego dramatu, który podszywając się pod wielkie imie, pragnie w nas wmówić, że jest dalszym ciągiem rozwoju, tragedyą w postępie, gdy tymczasem nie oczyszczenie, nie zidealizowanie namiętności ma on na celu, ale raczéj ubóstwienie jéj i najpospoljtsze oddanie w formie, w jakiéj się przedstawia w życiu codzienném. Naturalnie, że tu mówię o dramacie intrygowym, efektowym, awanturniczym bez ideału i pięknoty.

Ależ co nam do starożytnych, co do klassyków! Kalderon i Szekspir moi ojcowie! odpowie dramat dzisiejszy.

Zapewne Szekspir i Kalderon, to ojcowie nowożytnéj sztuki dramatycznéj—inne wpływy, inne otoczenie, inny duch towarzyszył tworzeniu się ich dramatów — ale zawsze jak jeden, tak drugi rozrządzał wielkiemi żywiołami tragiczności, jak jeden, tak drugi trafiał w myśl Aristotelesa: *oczyszczał każdą namiejętność..*

Kalderon rycerski i religijny, ma ideał ho-

noru, górujący nad wszystkie inne powinności. Święte powołanie rycerza nie znosi na sobie żadnéj skazy, podobnie jak czystość wiary grzechu na sobie nie znosi; z czystotą zatem wiary, nienaruszoność honoru stała się zasadą życia Hiszpana. Osiągnąć ten wzniosły cel mogło tylko poświęcenie się. Jak Fenix sam palący się na stosie, aby odrodzonym w niebo ulecieć, Hiszpan idzie ochoczo na nędzę i śmierć w nadziei, że duch jego wywinie się ku niebu promienny jak anioł.

Geniusz Szekspira szedł drogą więcéj ludzką, chłodniejszą, rozumową, wyzwolony zarówno z pod władzy ciemnego fatum greckiego, jak z pod wielkiéj myśli ofiary chrześciańskiéj. U Kalderona Bóg zabija zbrodniarza — u Szekspira grzesznik z dopuszczenia bożego sam się gubi. Szekspir choć może nie znał tragedyi starożytnéj, ale mimo tego geniuszem swoim podniósł się do wysokości helleńskiego ducha, jego bowiem tragedya jest także tragedyą losu ciemnego, nieuniknionego, krwawego i sprawiedliwego, tylko w inny sposób jak u starożytnych. Ten los u Szekspira jest raczéj podobny do zagadki dawno rozwiązanéj, jasny jak śmiertelna koszula, którą po-

tępieniec sam na siebie wdziewa. Kiedy w greckiéj tragedyi gra niewidoma ręka i sieć demoniczną rzuciwszy na głowę winowajcy pędzi go przed sobą, tedy Szekspirowski grzesznik z głębi własnéj piersi wysnuwa powrozy, któremi się mota. Samodzielność charakterów téj u niego siły, że kierują akcyą i stanowią o jéj wypadku, z nich rodzą się wszystkie sytuacye, gdy w starożytnéj tragedyi sytuacya rodziła charaktery. Sąto tylko historyczne różnice—ale wysokość jednaka.

W antyku gra idzie o sytuacye, w modernizmie o charaktery. Grek lubił malować tragiczne położenie; ojciec nowożytnéj tragedyi pokazuje jak się człowiek obraca w tém położeniu — pierwszy rozwiązywał zagadki losu, drugi zagadki psychologiczne.

Wszystko to zrównoważone, bo jedno i drugie — wielkie i prawdziwe — podnoszące i pocieszające.

Bijąc czołem przed Eschilesem i Sofoklem, nie można nie uniżyć go przed Szekspirem i Kalderonem, ale wolno znachodzić w jednych więcéj mistrzostwa niż w drugich.

Naśladownictwo, jak zwykle podejmujące strony najsłabsze mistrzów, bo tylko do tych

jest w stanie dostąpić, popsuło nam tak starożytne jak nowożytne wzory — z czego znowu nie wynika, żeby te wzory uznać za ułomne. Piękność prawdziwa ma to do siebie, że się zawsze do niéj wracamy, inaczéj nie byłaby nieśmiertelną; ma i to jeszcze, że ogrzewa i zapłodnia, jak ogrzała i zapłodniła epokę odrodzenia.

Sztuka musi mieć swoją wielką tradycyę w literaturze; samorodne geniusze nawet, ujęte w jéj karby, nieprzestałyby tém być, czém są, a zostałyby nadto wzorami doskonałości, wysokiego smaku, skończonéj piękności.

Romantyzm świeżéj daty, podnosząc rewolucyę przeciw tradycyi, pogruchotał pojęcia i formy przekazane od starożytnych, rozbujał się, stracił miarę i wagę, pogrążył w codzienności, ale jeszcze sobie właściwych form i praw nie ustanowił.

Dotąd szedł drogą oddziaływania i dlatego nie wypowiedział jeszcze swego słowa o nowożytném przeznaczeniu sztuki; uwieszony na Szekspirze, przyznaje się do wielkiego ojca i chce geniusz po nim dziedziczyć, a zabiera tylko jego rupiecie.

Kto żyje jak my w epoce nie mającéj ani

żywiołów, ani ducha twórczości, bo w epoce rozkładowéj i filozofującéj, powinien mieć więcéj na baczeniu tradycyę sztuki, niż ubieganiem się za szukaniem nowych niby dróg, które w téj zadymce wyobrażeń najsprzeczniejszych to mają do siebie, że po niedługiém kołowaniu wracają znów do punktu wyjścia. W prawdziwéj epoce estetyzmu, niechże już będą przynajmniéj artyści, a to mianowicie w sztuce dramatycznéj, która potrzebuje wyrobić się, wygładzić ścieszki, aby gdy przyjdzie szczęśliwa chwila, dramatyczny geniusz narodu miał poczém stąpać swobodnie.

Gdy przyjdzie chwila — powiedziałem — zapewne! czyż historya nie uczy, że najuprzywilejowańsze narody, jedną tylko miewały chwilę w wielowiekowém życiu, w któréj najszczytniejszy kwiat poezyi—dramat, odmykał się i wonią swoją nietylko upajał współczesnych, ale ją późnym przekazywał pokoleniom. Chwila ta nigdy nie była przypadkową, ani zawisłą od woli poety — wszystko przysposabiał zbieg okoliczności szczęśliwych. Zwycięztwo pod Salaminą, gdzie garstka Greków tryumf odniosła nad ćmą barbarzyńców, była szczytem historyi greckiéj, a oraz i tryumfem

poezyi nad duchami — imiona trzech największych tragików starożytności zbiegają się w tym punkcie. — W nowym świecie potęga Hiszpanii stoi w pełni kwiatu, lecz już się dają postrzegać znaki więdnienia i Kalderon się zjawia. — Anglia wznosić się zaczyna, ta królowa mórz flotami opasująca ziemię — i Szekspir opasuje ziemię swoim geniuszem; jak na morzu, tak w dramacie odbija się władztwo jéj nad światem. — W krwawéj swawoli Frondy rośnie człowiek, mający pierwszy obdarzyć Francyę tém, czego najbardziéj potrzebowała, to jest: surową jednią, dającą jéj siłę i sławę. Królewskość, to zmysłowe uosobienie ludu, była natenczas jedyną formą, w jakiéj naród mógł się przejrzeć i zrozumieć. Francya pewna siebie, spokojnie patrzyła w swoje słońce, gdzie się zbiegały jéj opinie, smak, dążności—i powstał Kornel z Rasynem, lecz nie jako odbicie się wykwintnych obyczajów dworu, bo to nie nadawałoby im tego znaczenia, jakie im świat przyznał — ale jako wyraz uczuć chrześciańskich rozlanych w narodzie, co zanurzając się w sobie pod okiem Boga sprawiedliwego i zazdrosnego, skupiały się i badały wewnętrznie. Ztąd taka w tra-

gikach francuzkich znajomość namiętności, taka głęboka analiza serca, i taka tkliwość ustawnie walczona i tłumiona, a więc burzliwa i potężna. Dodajmy do tego odżywioną starożytność grecko-rzymską, którą duch narodu przyswoił sobie o tyle, o ile przyjąć mogła jego natura; jakoż wziął z niéj harmonijną regularność, zdrowy rozsądek i smak wytworny. Z tych żywiołów utworzyła się literatura jednolita, w któréj na pierwszy rzut oka, po jasności i prostocie, misterném a szczelném spojeniu części, i doborze trwałego materyału, poznasz, że tędy przesunęła się starożytna tradycya.—Najpóźniejsza tragedya w Niemczech urodziła się tam równocześnie z filozoficznemi zacieki—książkowi ludzie wydumali ją. Wyrosłszy na filozoficznym gruncie, sama jest filozoficzną; nie gra w niéj zagadka losu jak w Sofoklu, ani psychologiczna jak w Szekspirze; ani walczy namiętność z powinnościami jak w Rasynie; ale ścierają się idee i pryncypia, a charaktery i sytuacye są tylko środkiem, nie celem. Jestto dowodzenie tego lub owego założenia zapomocą osób, którym zbywa na prawdzie życia; najczęściéj ludzie mali, lecz

obciążeni ogromem idei, zupełnie jak ogół Niemiec.

A teraz przebiegłszy tak wielkie momenta tragedyi, spytajmy się, czy w dziejach naszéj literatury niema żadnéj analogii, którąby jeźli nie na jednéj linii, to przynajmniéj z boku przyczepić się nie dała do tych szczęśliwych chwil, w których narody zdobywały się na dramaty?

Rzecz osobliwa, iż kiedy z powstaniem naszéj literatury nie zanosiło się na dramat, choć dwór obu Zygmuntów mógł sprzyjać temu rodzajowi, początki panowania Batorego zaraz takowy wydały. Silnie ustalona władza, bezpieczeństwo granic, upojenie zwycięztwami, rozrost swobody życia, i spokój umysłów, pochodzący z otuchy w długie trwanie pomyślności obywatelskiéj, zaraz wywołują dramat na scenę. Zjawisko to powtarza się od początku dziejów wszystkich literatur. Kochanowski z swoją *Odprawą posłów greckich* rozpoczyna i kończy zawód dramatu, który utworzony pośród najżywszych wpływów grecko-rzymskiéj starożytności, popularniejszéj wtedy w świecie ukształconym, niż własnego narodu dzieje i postacie, nosi najwybitniejszy

jéj charakter i krojem i mową. Aczkolwiek był to czysto literacki utwór, nie mający nic odpowiedniego w owych misteryach czyli grach jasełkowych, ścielących zazwyczaj drogę dla dramatu — jednakowoż nie musiał on przejść bez wrażenia; ówcześni widzowie co nietylko swoje pojęcia, ale i instytucye obywatelskie formułowali na krój starożytny, umieli zapewne poznać się na téj woni czysto helleńskiéj. Bądź jak bądź *Odprawa posłów* była takim początkiem, jakiego nie pokaże żaden z nowożytnych narodów; była zakrojem na coś olbrzymiego, nie dającego się nawet obrachować podług téj skali, która służy zazwyczaj na obrachowanie wpływów, towarzyszących zjawieniu się jakiego ogromnego talentu lub geniuszu. Że się skończyło na początku — że się nic nie wywiązało, przeczuł może wieszcz, kiedy wołał ustami Kassandry:

Czujcie stróże: noc idzie, noc podejrzana,
Wielki ogien ma powstać: tak wielki ogień,
Że wszystko, jako w biały dzień, widać będzie:
Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie.
Wtenczas, ojcze, ani już Bogom swym dufaj,
Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:
Okrutnego lwa szczenie za tobą bieży,
Które cię paznokciami przejmie ostremi,

A krwią twoją swe gardło głodne nasyci.
Syny wszystkię pobiją, dziewki w niewolą
Zabiorą: drugie kwoli trupom umarłym
Na ich grobie bić będą. — Matko ty dziatek
Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz *).

W epoce późniejszéj usiłowano uchwycić nić jakiéj dramatycznéj tradycyi, ale już nie umiano trafić do niéj, natomiast trafiono do postaci z własnych dziejów, co było wielkim krokiem, tylko, że zbyt niewolniczy sposób przykrawywania scen i figur do znanych patronów robił je martwemi podług wymagań sztuki, pełnemi zaś życia, gdy je weźmiemy ze strony uczuciowéj. Postacie te ogrzane świętym ogniem lepiéj znane są narodowi niż figury wszystkich trajedyi i dramatów pisanych po dziś dzień. Barbara, Gliński, Warneńczyk mogą niestać głębokością charakterów, psychologicznemi studyami, ale stoją tém szlachetném uniesieniem, co i w kalderońskiéj trajedyi połowę jéj wartości znaczy. W Hiszpanii stykał się wschód z zachodem, pogański islamizm z prawowiernymi synami kościoła, u nas czyż nie tak samo? walka o wiarę i o do-

*) Alluzya do Hekuby zamienionéj w sukę.

mowe ogniska czyż nie były najgłówniejszym żywiołem w naszém życiu? a gdzie jest walka tam musi być i miłość wyższa nad inne względy.

Com tu wtrącił o naszym dramacie, to aby wskazać na rozpierzchłe materyały, drgania ku życiu, ale nie życie w pełni i jawie. — To ostatnie nie zawisło od poety, traika, ale on zawisł od niego, a jak zawisł? zdaje mi się, że choć przelotnie wskazałem zatrzymując się na tych momentach najwyższego wzrostu szczęśliwych narodów, co pewne swojéj wygranéj w zapasach z losami, musiały mieć i czarodzieja coby im przed oczy stawiał własny ich obraz skoncentrowany w myśli opatrznéj...

Bez tego warunku nie wierzę w dramat inny jak książkowy, literacki — jak znowu z temi warunkami da się tłumaczyć wszystko, nawet zjawisko jak Szekspir, który tak dalece jest ideałem wszechmądrego swego narodu, że wszystko zeń wziął, jak ktoś humorystycznie wyraził się, aż do otwartych zawsze ust, będących symbolem wolności słowa.

My cośmy jeszcze tak ubodzy w literaturę dramatyczną, pielęgnujmy dobre tradycye sztuki, czyli takie co najwięcéj odpowiadają

naszemu duchowi, a w któreby najsnadniéj wcielić się mogła myśl ogółu, jeśli tenże ze stróżem zamku Atrydow przestanie powtarzać:... *βοῦς ἐπὶ γλώσσῃ μέγας βέβηκεν.*

Wieszcz Czarnolaski lubił rozmawiać z jeniuszem Grecyi: prosta słowiańska dusza przylgnęła do tego pokoju, do téj czystości konturu, powagi bohaterskiéj, pełności charakterów, i do tych traicznych sytuacyi, które są dziełem losu, a nie skutkiem wikłającéj intrygi, co się dziś tak wszechwładnie rozparła na scenie... Kto wie, czy wieszczy duch Kochanowskiego nie wytknął w swojéj *Odprawie posłów* toru, jakim pójść winna przyszła nasza trajedya, jeżeli słowa Kassandry przeminą i niebędą miały

u ludzi więcéj
Wiary, nad baśni próżne, i sny znikome.

Powyższe uwagi nasunęły mi się w części, jak już wspomniałem, świeżymi utworami dramatycznymi: Anna Oświęcimówna, — Zborowski i Jadwiga. Mówię o nich samych wy-

łącznie — nie zdało mi się z téj przyczyny, że szczegółowy rozbiór, zaplątałby mię w inne koło wyobrażeń mających, że tak powiem materyalną część sztuki na celu, przyczem choćby się otwarło szerokie pole do drobiazgowych spostrzeżeń co do układu scen, przeprowadzenia akcyi, utrzymania interesu dramatycznego, wreszcie co do dykcyi, a nawet saméj gramatyki — jednakowoż mniéj zostawałoby swobody w ogarnięciu trajedyi w całym jéj obszarze. Zresztą mam to przekonanie, może mylne, iż podnosić te lub owe usterki dostępne oku każdego czytelnika umiejącego myśleć i zastanawiać się, jedno jest, co dla tyralierki zaniechać walnéj bitwy. Niech wszakże porównanie to nie naprowadza na wniosek, żebym godził walnym bojem na te dramatyczne utwory — bynajmniéj — jam tylko bojem nazwał moją pogadankę w teoretycznym świecie dramatu, gdzie szło o większe, niż o wyrokowanie, czy się temu lub owemu autorowi udał lub nie udał pomysł dramatu lub trajedyi.

Z tém wszystkiém pomówmy naprzód o poemacie dramatycznym Mikołaja Antoniewicza: *Anna Oświęcimówna.* A więc to nie dramat

w ścisłém znaczeniu? Niestety! — Wpływ romantyzmu wprowadził to mięszane obywatelstwo w dziedzinę sztuki, że już wolno we dwóch rodzajach literatury naraz siedzieć, a właściwie nie należeć do żadnego. Lepszy był dawny zwyczaj kiedy utworom nadawano ścisłe granice jednego rodzaju; przynajmniéj krytyk miał prawo powoływać przed właściwy sąd, a tak mogą go odsyłać od Anasza do Kaifasza.

Pomysł Anny Oświęcimówny wziął autor z podania przywiązanego do grobów rodu Oświęcimów w Krośnieńskim kościele. Podanie mówi o namiętnéj a grzesznéj miłości siostry i brata, i o nagłéj śmierci téj siostry, gdy kochając bez nadziei połączénia się na ziemi, ujrzała brata przywożącego z Rzymu dyspensę!... Nie może być przedmiot szczęśliwszy i traiczniejszy jak to uczucie miłości w walce z uczuciem występku przeciw prawom naturalnym i boskim. Poeta miał tu przecudne pole rozwinąć traiczny talent, gdyby się był ograniczył, że tak powiem na dwóch głównych osobach, i działaniu nadał jedność; tymczasem rozstrzelił interes akcyi przez wprowadzenie drugiéj pary także kochającéj się, lecz

mającéj trudności pobrania się z powodu nierówności urodzenia; zepsuł niezużyte jeszcze motywum, zużytemi aż do przesytu scenami melodramatycznemi i nie historycznemi, jak: napad szlachty na zamek; jakby to szlachta napadała u nas na zamki za to, że kto bierze ślub z bliską krewną i to za dyspensą z Rzymu? Wprawdzie złożył to na bojaźń kary niebios mogącéj okolicę dosięgnąć za spełnić się mający grzech kazirodztwa — obawa, aby grady nie wytłukły łanów, pomorek nie wybił bydła, wiodła tę szlachtę z mieczem i głownią na gniazdo zakochanéj pary — a więc fanatyzm? Przyznam się, że mimo całéj gorliwości religijnéj naszych przodków, nigdy nie zdarzyło mi się czytać, aby podobny powód wzbudził w nich zemstę na równym sobie obywatelu używającym jednych praw i przywilejów... Ale nie idzie mi o strony ujemne, raczéj pragnąłbym pokazać, jak autor dopiero przy końcu piątego aktu schwycił tę myśl, która powinna mu była od samego początku przyświecać. Kiedy Anna umiera pustelnik powiada:

Radość zabiła — to twój wyrok Boże!

STANISŁAW.

O nie bluźń starcze! to wyrok szatana!
Bóg sprawiedliwy — nie karze bez winy!...

PUSTELNIK.

Możemy grzeszyć myślą, mową, czyny,
A sądów Bożych nam droga nie znana.
Tyś zgrzeszył myślą, a w sądzie przedwiecznym
Na każdy grzech nam kara naznaczona.
Chociaż jéj ojciec był twemu stryjecznym,
Myśl była grzeszną — kochałeś rodzoną.

Poeta idąc tylko za tą myślą od początku, byłby nie potrzebował ani tego Łaszcza, ani burdy szlacheckiéj, ani tych wszystkich romansów. Walka namiętności z powinnościami byłaby wystarczyła nietylko do zapełnienia aktów, ale i uproszczenia akcyi, a nadewszystko przez skoncentrowanie całéj potęgi dramatycznéj na główne osoby, interes byłby się o sto procent podniósł, a one, jak wielkie charaktery traiczne, nie zestarzałyby się nigdy na naszéj scenie... Nie wchodząc w tyle innych rzeczy jakie ten dramat nastręcza, mogę tylko dodać, że kto przedmiot ów podjął i wyprowadził na scenę, już tém samém miał niepo-

spolite poczucie prawdziwéj i głębokiéj traiczności.

Samuel Zborowski i Jadwiga, dwie trzy aktowe trajedye wydane bezimiennie, a napisane wierszem białym i z chorami, mogą posłużyć za dowód, że przez formę, a w części i ducha jakim tchną, zaczyna przezierać myśl będąca jakby zapowiednią dramatu, co z żywiołów narodowych ma się urodzić. Język w nich zbyt może archaiczny, aby mógł być słyszany na scenie, nadaje im przecież pewną starożytną barwę, szorstką, czasami ciemną, lecz pełną jędrności, co w nas sprawia złudzenie jakbyśmy słyszeli rozmawiające ze sobą te staroświeckie figury 16 i 15 wieku. Autor zapewne miał na myśli dać nam tylko próbę swych dramatycznych usiłowań, bo wszędzie spotykamy szkic charakteru, a nie przeprowadzenie charakterów przez wszystkie perypecye dramatu, jestto raczéj zdramatyzowany obraz historyczny, niż właściwa trajedya, co wszakże nie przeszkądza, żeby nie znalazły się miejsca bardzo szczęśliwie pomyślane, jak między innemi to, gdy Włodkowa przypisuje Samuelowi prywatę w téj jego zawziętości na króla i na Zamojskiego.

Wymownych miejsc możnaby wiele przytoczyć i w Zborowskim i w Jadwidze, szczególniéj Zborowski, jako motywum wyborne do trajedyi nastręczał sytuacye nadzwyczaj dramatyczne, jak to widzenie się Zamojskiego z Samuelem w więzieniu; tém bardziéj, że pamiętniki owoczesne, których autentyczności podejrzywać nie można bez dowodu, samém prostém zaprzeczeniem — pełne są gotowych już dramatycznych sytuacyi robiących i na dzisiejszym czytelniku mocne wrażenie. To n. p. trzykrotne wołanie kanclerza stojącego w drzwiach Katedry gdy Samuela prowadzono na ścięcie: „Samku odpuść mi w Imię Boże!“ nietylko jest dramatycznie efektowém, ale nawet i szczytném... Szkoda, że autor nie chciał z tego materyału korzystać.

Jadwiga, przedmiot tyle razy obrabiany u nas, a tyle razy nieszczęśliwie; choć bowiem w niniejszéj trajedyi przychodzi nowa kombinacya oryginalnie pierwszy raz użyta: że Jadwiga poślubiona Wilhelmowi musi go porzucać, aby z woli narodu pójść za Jagiełłę — wszelako te kanoniczne zawady mogą nastręczać wiele kłopotu, ale dlatego peryperyi traicznych nie tworzą.

Otóż trajedya którą mam przed sobą jest także historycznym obrazkiem jak Zborowski, a o tyle ma w sobie żywiołu dramatycznego, o ile wola narodu jest tém nieubłaganém fatum, o które się musiało rozbić uczucie żony i kochanki, zwłaszcza, że sama powiada jak pojmowała to polityczne poświęcenie się:

Lecz nie bójcie się — Jadwiga wiedziała
I co jéj godne i to, czemu sprosta —
Nieda się ubiedz córce Krakusowéj:
Co tamta rzuca się z koniem do Wisły
To ja gdzie w cięższe od śmierci objęcie
Oddając rękę obcemu książęciu,
Czynię od Wandy nierównie rzecz większą.

Winienem jednak zrobić uwagę co do słów w przypisku (str. 144), gdzie autor powiada: „Wyobrażenia o cnocie i wielkości są po dziś dzień pod urokiem szkoły pogańskiéj“ — a daléj — „dramat ma być cnotliwy i to surowéj cnoty, aby nie psuł narodu.“ Nic sprawiedliwszego, tylko że nie potrzebowalibyśmy wtenczas chodzić do kościoła na kazania, tylko do teatru, a cały starożytny teatr wraz z bardzo chrześciańskim Kalderonem i głęboko ludzkim Szekspirem, wypadłoby skazać na spalenie. —

Zdaje mi się, że autor zapomniał na chwilę, iż w każdéj akcyi, którą poeta przeprowadza przed naszemi oczyma powinien nam wlać to przekonanie, że indywidua działające, inaczéj nie mogły działać tylko odpowiednio swojéj istocie, bo zkądżeby się wzięły *charaktery*? Dlatego nie należy dramatycznego charakteru mieszać z moralnym. Szekspirowski Rychard trzeci największy łotr, jakiego nosiły deski teatralne, jest mimo tego największém arcydziełem pod względem charakteru. Nie oto idzie czy on zły czy dobry, lecz że działa jak go natura zmusza, przeto sie staje dramatycznym charakterem. A główny grzech popełnia pisarz, nie przez to, że złych wystawia, lecz, że swoim osobom każe robić coś takiego, czego one robić nie mogą wbrew swojéj naturze.

Co do powyższych dwóch trajedyi *Samuela* i *Jadwigi*, to mogę jeszcze dołożyć: że niewytrzymują żadnéj krytyki, tak są ogołocone ze wszelkich pojęć o sztuce — a mimo tego, nie rzadko trafiają się o nich niespodziewanéj oryginalności pomysły i bardzo szczęśliwe wyrażenia się, które w steku słów niegramatycznie

i nieloicznie powiązanych z sobą, pływają jak złote oczka oliwy na wodzie... Utwory te napisane w epóce Reja z Nagłowic byłyby miały znaczenie w historyi piśmiennictwa — dziś nie mogę mieć żadnego...

III.

HUMORYSTYKA I POEZYE FELICYANA.

Może mi kto zarzuci, że zbyt często zajmuję się płodami poezyi z uszczerbkiem innych rodzajów literatury, że nadto wielkie miejsce daję poezyi, co może gniewać ludzi bardzo poważnych, nie mieć powabu dla umysłów lekkich, wstrętem nabawiać dusze pospolite, a tylko zajmować szczupłe kółko wybranych czytelników.

Jednakowoż kto zważy niesprawiedliwą nierówność w kolejach literackiego powołania, kto się zastanowi nad niedorzecznością moralną dająca nieraz skandalicznéj lub głu-

piéj powieści stokroć więcéj rozgłosu, sławy i dochodu, niż jakiemu szlachetnie i czysto poetycznemu tomikowi poezyi — ten przyjdzie jak mniemam, do tego przekonania i wniosku: że sumienie nakazuje, a uczucie słuszności wymaga, aby znalazło się gdzieś schronienie dla tych królów bez królestw, którzy wolą unieść swoje czyste godła, niżeli je kalać bezrozumnym oklaskiem. Mimo tego bynajmniéj nie mam na celu przywracać zwichnioną równowagę i wynagradzać mojém wspomnieniem te wydziedziczone istoty; chcę tylko okazać sympatyę i wdzięczność tym rzadkim pisarzom co mi pozwalają oddychać świeżém powietrzem naszych pól i lasów a nie zepsutém wyziewem spółeczeństwa odzwierciadlanego z najsmutnięjszéj strony; którym wreszcie winienem tę szczytną i wykwintną rozkosz czytania pięknych wierszy, wyrażających piękne myśli, malujących pełne życia i ruchu obrazy i postacie.

Nie mogę i téj drugiéj pominąć rozkoszy doznanéj przy czytaniu tych poetów, a ta jest, że mi dowiedli, iż nasze powątpiewania o przyszłości poezyi, żale nad jéj upadkiem, jéj wyczerpaniem się i zmęczeniem, były może przed-

wczesnemi wróżbami, bo jakkolwiek świat rzuci się w odmęt realizmu, jakkolwiek powywiesza sztandary przemysłowego postępu i w pysze spanoszonego giełdowca, lub szczęśliwego spekulanta z góry spoglądać będzie na płody czucia i fantazyi nie notowane na giełdzie, jakkolwiek znajdą się ludzie usiłujący nas przekonać, że niema zacniejszego ani wyższego celu, jak osiągnienie materyalnych wygód, z których mają się dopiero wyrodzić zdobycze umysłowych i duchowych bogactw — z tém wszystkiém prąd poetyczny jakby rozbudzony przeciwnościami tego kierunku mającego już swoje organa, rwie się coraz żywiéj, odzywa z różnych stron i oplatając gałązkami bluszczu upadłe serca, odmładza je swoją świeżością.

Są więc poeci i będą długo poeci — bo na téj drodze współzawodnictwo nie jest strasznėm, przeciwnie na innéj wskazywanéj przez niebacznych doradzców, których gruby zmysł olśnił od materyalnych zdobyczy i wygódek cielesnych, zawsze będziemy nisko stali, jako pozbawieni warunków sprzyjających rozwijaniu się swobodnemu i samodzielnemu przemysłu lub handlu, jako wreszcie najmłodsi

w téj grze tak różnéj od rolniczego i gospodarczego zawodu sięgającego najdawniejszych wspomnień plemiennych.

Nie idzie zatém, com powiedział, aby wyrzec się całkiem postępu i ulepszeń materyalnych, stanowiących bogactwo krajowe, bo to byłoby skazaniem się na nierozumną bezczynność; ale radbym żeby i ta praca płynęła z wyższéj potrzeby moralnéj, była jednym z warunków, ale nie celem życia, dowodem czynności umysłowéj rozpościerającéj się wszechstronnie, a nie nikczemną służbą u złotego cielca, któremu składanoby ofiary ducha: cnotę, sumienie i szlachetniejsze uczucia i przekonania.

Przepraszam za odstąpienie od materyi; lecz przywykłszy uważać każdy fakt czy moralny czy fizyczny, w związku z wszystkiemi fenomenami społeczeńskiego życia, nie mogłem mówić o poezyi i poetach oderwanym sposobem, czyli nie dając im za tło najświeższego rysu epoki.

Wracając tedy do przedmiotu, pragnę pomówić o tomiku poezyi, wydanym w ciągu bieżącego roku, pod napisem: *Kwiaty i Kolce* przez Felicyana. Jestto jak widzimy nowy

anonim, czy pseudonim, ogłaszający prace swoje w Warszawie, gdzie dotąd mniéj bywało pseudonimów niż na Litwie i Ukrainie. Takie schowanie się pod przybrane miano, lubo niezmiernego kłopotu nabawia naszych bibliografów, którzy będą zmuszeni stworzyć nową rubrykę dla anonimów przezroczystych, za co ich nie żałuję; dowodzi dwojga rzeczy: albo nieśmiałości młodzieńczéj tak łatwo dającéj się uniewinnić przy pierwszém wystąpieniu, albo téż co pewniejsza, trwogi przed chłostą dzienników, zwykle próbujących swych sił na słabszych i nieśmiałych, a zwłaszcza debiutantach.— Autor Kwiatów i Kolców przeczuwając widocznie, że mu nie ujdzie płazem nuta cokolwiek odmienna od téj, na jaką nastrojona większa część dzisiejszych gęśli, nie położył swego nazwiska, i obawę miał słuszną, bo jeźli go nie starto na miazgę, to nieprzepuszczono usterkom stylu, słabym wierszem, nie zbyt szczęśliwém wyrażeniem, a nadewszystko pewnéj pretensyonalności zakrawającéj na manierę, co się zdarza u młodych jeszcze niewytrawnych pisarzy, a co zwykle się przebacza, zwłaszcza tam, gdzie niespodzie-

wane piękności traktowano w odmienny sposób spotykają się dość gęsto.

Wziąwszy go tedy ze słabszéj strony, a więc z niedoskonałości dostępnych oku nietylko krytyków, ale i prostego czytelnika, niedoskonałości, z których się tak łatwo poprawić, kiedy jest fundusz na lepsze, wbito *kolce* w *kwiaty*, i dziwiono się czemu więdniały?!

Nie pojmuję, przyznam się, jak się to stało, że w pewnym względzie nowy tok poezyi Felicyana, pełność i obfitość natchnienia, bogactwo porównań i obrazów, a nadewszystko rączy lot liryczny i niezrównana artystyczność w plastycznym rysunku figur, zgoła te przymioty prawdziwego poetycznego talentu, niewiem jakim sposobem uszły wzroku pisarzy dających sąd o nich po dziennikach. — O zawiść lub niechęć bynajmniej pomawiać nie myślę, bo podobny domysł przypuszczałby niesumienność i nieszczerość ze strony krytyków, którzy nie wątpię, szli za najszczerszém przekonaniem. Prędzéj dorozumiewałbym się że mimowolnie wciągnieni w pewne kółko wyobrażeń będących na dobie, wsłuchani w jedną nutę, którą brzmią dzisiejsze bardo-

ny — nie zadali sobie pracy ocenić te utwory z innych żywiołów złożone i innym oddane krojem. Nie spodziewano się zapewne w płodach pierwszy raz występującego pieśniarza, znaleść coś, coby sięgało wyżéj nad pospolitość. Słuszne poniekąd uprzedzenie do wszelkich pierwiosnków Muzy, czyni krytyków niedowierzającymi. Tym jednak razem, można było z uprzedzeń zrobić wyjątek.

Poeta przewidywał może wieszczem przeczuciem, jaka dola spotka jego pieśni, kiedy we wstępnych zwrotkach takie postawił pytanie:

Jeżeli świeże przynęci was kwiecie
Cierń z nich skorzystać wam wzbroni;
Jeśli dla kolców tknąć ich nie zechcecie,
To niezaznacie ich woni.

I zgadł! — bo się tak przerażono kolców, tak widziano li tylko kolce, że o woń mało kto pytał, i jeżeli coś o niéj wspomniano to zdaleka, niby z domysłu, że gdzie są kolce mogą być i wonne kwiaty.

Co się mnie tycze, wziąwszy ten tomik do ręki napadłem za otwarciem książki na jakąś wonną strofkę, która mię zupełnie ujęła dla

jéj autora, tak dalece, że kiedym przystąpił do porządnego czytania, nie zraziłem się kolcami, poczytując je za zwykły wyskok młodzieńczości lubiącéj się spowiadać ze swoich dziejów serdecznych, niestety! bardzo powszednich. Zazwyczaj bywa to rzewna elegia po stracie kochanki, pełna tęsknoty, rozpaczy nadziei; to znowu strofy ognisto namiętne wyrażające szał i upojenie miłości; jakieś reminiscencye z Mickiewiczowskiego *Żeglarza*, *Rezygnacyi* Szyllera, lub *Snu* Byrona.— a wszystko gwałtowne, ciemne, niepewne, chaotyczne jak burza miotająca sercem co mogło pragnąć, a nie osiągło celu pragnień i wzdychań, lub osiągnąwszy, straciło bezpowrotnie! Rodzaj ten poezyi egotycznych, tych zwierzeń się z doznanych cierpień i uniesień przed światem, aczkolwiek nie podejrzywam ich autentyczności, niezmiernie bywa śliski i niebezpieczny, bo najczęściéj do wypowiedzenia swoich tajemnic (sercowych) używa języka tych mistrzów, którzy niewiem, czy szczęśliwiéj kochali, czy gwałtowniéj cierpieli, ale to pewna, że najszczęśliwiéj musieli odmalować co przeszło przez ich serce i głowę. Reminiscencye mają tu ważny wpływ i udział. Z téj

przyczyny w zbiorku poezyi Felicyana, wszystkie te strzeliste rymy, mógłbym policzyć do kolców, lecz wcale nieobrażających bo tak jest wszystko trzymane w tonie jaskrawym, i w rysach niepewnych, a pomysł tak pokruszony dytyrambowemi podskoki, że trudno sobie jakąś całość ułożyć, a jeszcze trudniéj silić się na rozwiązanie zagadek, kiedy główna zagadka od razu zostaje rozwiązaną: młodzieniec się kochał i cóż w tém dziwnego?

Wszakże i to zdanie da się złagodzić w zbytniéj surowości, albowiem między temi erotykami znajduje się kilka bardzo ładnych piosneczek zalecających się prostotą i najszczęśliwiéj związaną całością. Właśnie to misterne ujęcie całości, w któréj nic dodać, nic odrzucić, daleko wyżéj cenię, niż najświetniejsze strofki i obrazki słabo zlepione ze sobą. Między innemi piosnka: *Rozmaryn* nosi cechę skończonego artystostwa:

Miała sukienkę białą, gdym do niéj
Z pożegnalnemi wszedł słowy,
W pasie błękitną wstążkę, u skroni
Wianeczek rozmarynowy.

— Czym ładna tobie? spyta nieśmiało,
— Och! co ty mówisz dziewczyno.
Gdyby inaczéj kiedy być miało,
Niech z łez mi oczy wypłyną!

Ona jak bluszcz, gdy drzewo obwinie
Splotem swych rąk mię obwija,
— Albo ja będę twoją jedynie,
Albo nie będę niczyja.

W świat mię iść pchnęło. Wtém nagła zmiana,
W powrót mię pędzi myśl tkliwa,
Wracam — dziewczyna moja wybrana
W chłodnéj trumience spoczywa.

W sukience białéj, jak mieć ją chciałem,
W przepasce z modrych wstążeczek;
W świałych jéj włosach, nad czołem białém
Rozmarynowy wianeczek.

Złożyłem na jéj piersi dziewczęcéj
W krzyż obie rączki łabędzie:
Nie będzie ona moją już więcéj,
Lecz i niczyją niebędzie —

I znów poszedłem, gdzie wzrok poniesie,
Idę przez ciernie i znoje,
I znów mi spieszno stanąć przy kresie —
Dziewcze bo czeka mię moje.

Czegóż trzeba więcéj! Cała ta smutna historya zamknięta w niewielu strofkach, a jest jakby długim romansem. Felicyan, znać to, kształcił się na dobrych wzorach, bo umie do wagi i harmonii przyprowadzać części i tym sposobem tworzyć jakby z jednego odlewu swoje obrazki i posążki.

Szkoda, że miłośne te rymy nie są oddzielone w osobnéj księdze, tylko pomięszane z innemi poezyami zupełnie odrębnéj natury; sąsiedztwo to szkodzi i jednym i drugim; gdyby bowiem stały osobno, utworzyłyby może jakąś całość i obudziły dla siebie interes...

Najbardziéj, zdaniem mojém udatne kawałki, nacechowane niepospolitym artyzmem, są te, które Felicyan złożył w uniesieniu dla świetnych wspomnień starożytnéj Hellady. Nieliczę je bynajmniéj do rzędu tych wysileń rymotwórców erudytów, co to dzisiaj chcą pisać jak Sofokl, Pindar lub Anakreon i przybierają ich rytm i wyrażenia się, porównania, koloryt, spokój nawet, aby w nas chyba wmówić, że jeśliby im Pan Bóg pozwolił był urodzić się w Peryklesowym wieku, to i oni potrafiliby tak samo pisać i tak samo unieśmier-

telnić się, wszystko to być może, tymczasem owoc spłodzony z książkowéj mozoły, jest tém w stosunku do płodu żywego natchnienia, co woskowa brzoskwinia do świeżo zerwanéj z drzewa.

W poezyach z motywów greckich jak i naszych słowiańskich, podziwiam w kwiatach i kolcach nadzwyczajną żywość w obrazowaniu i niępospolity talent plastycznego uobecnienia nam każdéj postaci. Są to rysy tak szczęśliwe, tak mocne i dobitne, że czytelnikowi od razu wrażają się w pamięć, lubo częstokroć ku końcowi humorystyczny zwrot psuje poważny efekt początku.

Jakże to piękny, jak skończony obrazek: *Zwycięzca Hippodromu*! Poeta stawia się w osobie szermierza w gonitwach wozowych i jakby wyprzedzając polot kół warczących, z szalonym pędem lirycznym chwyta wszystkie uczucia i wrażenia, jakie mogły przejść przez serce i głowę takiemu szermierzowi, co pędzi na złamanie szyi, aby tylko zyskał wieniec i mógł go u stóp kochanki złożyć... Wszystko tu jest objęte, zupełne, ściśnione i nagłe, a tak uobecnione, że jakbyśmy gołem okiem patrzyli na

ten sprząg wichrowy lecący w tumanie kurzawy, i druzgocący się u mety.

Niech sam czytelnik osądzi:

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,
Jak dym, gdy buchnął wiatr w zgliszcze, —
Tunika wzdęta furcząc w tył ulata,
W rozwianych włosach wiatr świszcze.

Ha! lecę pierwszy — inni — w błysk pioruna
Tuż za mną, szał mnie pochwyca...
W drżącéj się dłoni pręży lejc, jak struna,
Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moje
Wichrokopyte bieguny!
Feba słoneczny owies wam! wod zdroje
Płynące srebrem w blask Luny!

Pięć wołów w cześć twą, jak stanę przy kresie
Herkulu możny połboże!
Dziesięć! Dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie
Spiesz, bo za późno być może!...

O! tam, w tunice z śniegu, czarnobrywa,
Ściga mię wzrokiem Neera.
Zarumieniona, rąbkiem z mgły powiewa,
Serce jéj w piersi zamiera.

O słodka Wenus! Bogi wielowładne!
Och! wy mię wspomódz zechcecie!
O Ceusie! Ceusie! niechaj trupem padnę,
Bylebym upadł przy mecie!

Och! ten — tuż za mną — pędzi *znakomicie*,
On mię dosięgnie — przeniesie...
O wichry moje! toż w miejscu stoicie?
O Ceusie! o Herkulesie!

Dopędza — w równi prawie już... o Bogi!
Toż wy mię odstępujecie?
Stój! Stój! Zawadzi... Trzask! Och! cios był srogi,
Ha! alem upadł przy mecie!...

O! wstać nie mogę... krew — ból... Sprzęg wichrowy!
Ostatki wozu w dal miota...
Gońcie je — w winie skąpać je! Podkowy
Z szczerego ulać im złota!

Ha! co? jam pierwszy — prawda! Śmiech mię szczery
Gdy w tył pamięcią pogonię...
Co? tylko żebra? — Co? i tylko cztery?
Dawajcie wieniec na skronie...

O piękna moja! wstrzymaj łzy niewieście,
To co na skroni mój było,
To może spocząć u twych stóp, a wreszcie
Choćby nad moją mogiłą.

Prócz tych *wód płynących w blasku Luny*, które są zbyt poetyczną zachętą dla wiatrokopytych biegunów, prócz wyrażenia: *pędzi znakomicie*, nic niemalującego—wszystko z resztą wyborne w tym kawałku.

Równie pełny życia obrazek, jakby zdjęty z tych freskowych malowideł dawnego Rzymu i ożywiony nowém tchnieniem, jest *Tancerka Herkulanu*, którą poeta humorystycznie zlał z dzisiejszą baletnicą.

Bój-Zabawa, inny kawałek w tonie całkiem przeciwnym, maluje najście Persów na Grecyą; mąż wysłany na podsłuch donosi królowi, że widział Greków bawiących się rzucaniem kręgu, wyścigami i szermierką. — Dziwny lud, bo swoi walczą swoich! — Król mu na to, że pewnie dla bogatéj nagrody idą w zapasy? — Wysłaniec zaprzecza, bo tylko o prosty wieniec lauru tak się dobijają. — Natenczas powstanie wódz jeden w narodzie i zawoła:

Cóżeś zrobił Mardonie!
Śmiercią jest niechybioną z ludem takim spotkanie,
Nie nam zwalczyć lud ów — zgon nam mocny nasz Panie,
Marnie w obcéj gdzieś stronie...

Liczba — moc to słaba. Wierzcie jako wam prawię:
Tym co w bój się bawią, walczyć — równo zabawie,
Zginąć tym, co ich sięgą.

Byłaby to prześliczna kompozycya, bo pomysł śliczny, gdyby ją nie psuła dykcya ciemna cokolwiek i wymuszona. Poeta pragnie być zwięzłym, lecz czasami miasto zwięzłości staje się zawiłym, ciężkim i ciemnym.

Do szczęśliwych pomysłem utworów liczę wiersz: *Sprawa o Królewnę*. Król Młot ma córkę o którą stara się trzech młodzieńców. Komu ją dać oto temu, powiada król Młot, kto mię na rękę przemoże. Występują do walki: lecz z królem młotem trudna sprawa! bo oto pierwszego powalił, a po nim i drugi leży na ziemi; gdy przyszła kolej na trzeciego, oświadcza, że nie myśli walczyć z ojcem téj, o którą prosi w zamęźcíe, bo i ta dłoń uschnęłaby

którа wiekowi czci dać nie umie.

Zastanowiło to króla, pomyślał i uznał, że kto umiał uczcić wiek, ten go najlepiéj zwalczył — oddał mu więc córkę, która również poznała się na wartości młodzieńca:

Tamci bo z siebie, niż mnie, zbyt hardzi,
Ten mnie, niż siebie, miłuje bardziéj.

W ogóle mogę powiedzieć, że wszystkie te powiastki trzymane są w tonie epickim; ogromny w nich ruch i życie, plastyka figur nakreślonych częstokroć kilką potężnemi rysami, daje dobrą wróżbę, że śpiewak kwiatów i kolców umiałby podołać i poematowi większych rozmiarów, w którymby postacie występowały samodzielnie, a nie jak teraz zwyczaj, w *rozwlekłych* pogawędach, gdzie się wszystko opisuje lub opowiada przeplatane częstokroć reflexyami, dość prozaicznemi a zawsze dydaktycznemi opowiadającego. Porończe to dziecko epopei tak się ma zupełnie do swojéj matki, jak nasza zapieckowa epoka do epok bohatyrskich. — Wszakże nie mogę ani chcę utrzymywać, żeby utwory Felicyana stały już na téj wysokości, która nic do życzenia nie pozostawia; przeciwnie grzeszy on często ciemnością wysłowienia się, mglistością rysów, a to szczególniéj w tych kawałkach, gdzie usiłuje być filozoficznym, a jest tylko niezrozumiałym; gdzie miał wolę napisania, a nie natchnienie woli. Uważam także, że ma pociąg do kakofonicznych wierszy, jak między innemi w téj pieśni mroźnéj o *gorącéj miłości*, którą zaczął takim wierszem:

O kraje ludów bez miodu i mleka!
Serce krającéj kry, kraje!

Jestto zapewne igraszka dowcipu; ale nawet tam, gdzie nie igra w ten sposób sili się na styl twardy i szorstki, zapewne, żeby rzucić rękawicę tym wymuskanym wierszopisom, co to oklepane rzeczy wypowiadają miodopłynnemi słowy. Wyszukiwanie zaś wyrazów twardo-grzmiących i nie zwyczajnych wcale nie dodaje mocy poetycznym wyrażeniom, albowiem siła właściwa tkwi nietyle w słowie, jak w umiejętném i trafném użyciu onegoż, a nadewszystko w sposobie oddania myśli, silnéj saméj przez się.

Tyle, co do dobrych i ujemnych stron kwiatów i kolców — teraz przychodzi mi pomówié słówko o najgłówniejszéj rzeczy, bo o charakterze tych poezyi w ogóle.

Wspomniałem już, że dostawszy je pierwszy raz do rąk, zastanowiłem się jakby na widok niespodziewanego zjawiska. — Nietylko w stylu ale i w obrobieniu pomysłów, a nadewszystko w zwrotach jakie poeta swoim pomysłom nadawał, nietrudno mi było odgadnąć humorystę, który do obrazów i scen

wziętych z najpoważniejszéj strony, przymieszywa sarkazm lub ironię najczęściéj ku sobie samemu zwróconą, a zatém nie bolesną dla nikogo, a pokazującą przytém jakby dwa oblicza każdéj rzeczy na tym znikomym padole wielkości, pragnień i marzeń...

Dziwiło mnie dla czego krytyka nie podniosła zalet tych humorystycznych piosnek rozsianych tak obficie w kwiatach i kolcach, czy ten rodzaj uważała zbyt lekki, lub nieznaczący dla swoich szczytnych poglądów i stanowisk. Co więcéj, przesłała nawet autorowi pobożną przestrogę, aby nie wpadł w to, czém zgrzeszył Henryk Heine. Ależ jak sądzę, przestrzeń dzieląca Felicyana od autora *Romancero*, tak jest szeroka, że jeszcze niema obawy. Tymczasem ta mięszanina tkliwości i ironii, lekkości i filozoficznéj głębi, miękkości i siły, tworząca naturę humorysty, zawsze należeć będzie do niezwykłych zjawisk w naszéj poezyi, która niekiedy przestrajając się w chmurną powagę arcykapłańską, jakby dźwigała losy i przeszłość całéj ludzkości, potrzebowałaby, żeby jéj ukazano prawdę w mniejszém zwierciadełku.

W humorystycznych poezyach Felicyana

można znaleść tę żywą, swobodną, nieobrażającą nikogo żartobliwość, w połączeniu z tą poetyczną sympatyą, co umie czuć, wszystko zrozumieć i wyrazić. Myśl ciągle czujna, kapryśna śmiała, z jednego ciągu wyobrażeń i przedmiotu rzuca się w drugi, aby jaką tajemnicę serca wyświecić, jaką sprzeczność natury odsłonić, jaką prawdę rozdętą jak balon przekłuć i do właściwéj objętości sprowadzić. Dlatego téż uśmiech, wesołość, polotność, towarzyszą kapryśnéj i wałęsającéj się wyobraźni, lecz ta niefrasobliwość, niedbająca niby o cały świat, jest li tylko pokrywką dla cichego smutku lub łez. Właśnie owa nagłość wrażeń, owe sprzeczności coraz nowe, są treścią i tajemnicą humorysty, który umie ogarniać naraz dwie strony życia, dzielić się między łzy i wesołość, i niezmordowaną fantazyą ożywiać przedmioty brane z najwyższych i najniższych sfer.

Mogę powiedzieć, że właśnie ta strona humorystyczna jest u Felicyana najoryginalniejszą, co jeszcze nie znaczy, aby już nic nie zostawiała do życzenia, owszem, w wielu strofkach spotyka się pewne wymuszenie — dowcip naciągnięty, a o trywialność czasem tak

blisko trąci, że prawie staje się płaskim. Kto ma przymioty humorysty, nie potrzebuje gonić za dowcipem — sam on przychodzi. — Dla tego nie wszystkie piosnki są równéj wartości. Do szczęśliwszych bo nieznać u nich wysilenia, a mieszczących pomysł głębszy i trafnie ujęty jest: *Narcyz*:

Ile Nimf tylko, wszystkie są w rozpaczy
W łzach mokrych, brudnéj żałobie;
Bo Narcyz żadnéj kochać z nich nie raczy —
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle,
Tak aż zdarzeniem dość rzadkiem,
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle,
Nie już człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcéj głupcem był, niż głazem.
Ja bo w podobnéj potrzebie,
Mógłbym się kochać w wszystkich Nimfach razem
A zawsze kochałbym siebie.

Egoizm miłości wybornie zcharakteryzowany w tym obrazku, któremu nic dodać nic ująć nie można, bo znać, że go artysta kreślił. Uczucie téż artystyczne w wysokim stopniu

wyrobione prowadzi rękę Felicyanowi kiedy pisze swoje poezye.

Mam niepłonną nadzieję, że w następnych płodach, jakie ogłosi, pójdzie jeszcze daléj — i pewnie przepisywać siebie nie będzie, ani trzymać się Heinego.

IV.

LITERATURY PÓŁNOCNE.

Eichhoff, Maciejowski i P. Pruszakowa.

Literatura każdego narodu, gdy stanie na wyższym stopniu samodzielnego rozwinięcia się, gdy się we własnych poczuje siłach, zmuszoną jest szukać poza obrębem swoim, nowych że tak powiem sprzymierzeńców, wchodzić w stosunki międzynarodowe — aby tym sposobem wywalczyć sobie stanowisko światowe, powszechne, humanitarne.

Nie dzieje się to skutkiem postanowienia wziętego z góry, ale naturalnym pociągiem do łączenia sił drobniejszych z siłami ogromniejszemi, przez co wywięzuje się pewna wza-

jemność skłaniająca do uznawania zasług położonych na polu kultury powszechnéj.

Czynność ta przechodzi, jak wszystko, przez pewne koleje. Z razu coś się ludzie dowiadują o słynniejszym autorze, prawią ogólniki nie wiele oświecające i to najczęściéj nie z pierwszego źródła brane, potém zaczyna się zbliżanie do źródła, wychodzą wierniejsze przekłady, ale punkta wielkich styczności jednych literatur między drugiemi, są jeszcze ciemne, niebadane. W ostatecznym dopiero końcu następuje blizkie poznajomienie się z literaturą całego narodu, wielu narodów w połączeniu z ich historyczném życiem; a tak i literatura własna, splątana z historyą, która w odosobnieniu także niewiele znaczy, zyskuje sobie miejsce, z którego jéj nic wyrugować nie zdoła, bo w téj powszechnéj sieci wszystko się trzyma ze sobą, wzajemnie objaśnia i dopełnia, jak i o cząstkę swojéj dopomina się zasługi.

Godzi się ze wszech miar twierdzić, że i literatura nasza bliższą jest, niż dalszą téj ostatniéj kolei. Narody przodkujące piśmiennictwem i oświatą, zaczynają zajmować się i więcéj i rzetelniéj płodami naszych pisarzy, niż

dawniéj, rozpatrują się w ich duchu, śledzą charakterystyczne różnice, szukają świeżości natchnień, formy uczuć, i nieraz mimowolnie podziwiać muszą te przymioty, jakie znachodzić się zwykły tylko w plemionach powołanych do odgrywania wielkiéj historycznéj roli. Żeby już nic innego, to ta jedna uwaga: jakim sposobem rzeczywistość tak mała, prawie żadna, zdolną jest do tak żywotnéj produkcyi?, może więcéj objaśnić, niż wszelkie wywody i upominania się z jednéj, a wytykanie materyalnéj nicości z drugiéj strony. Bo cóż bardziéj miesza owe, nibyto historyczne pomniki, o narodach co żyją jak ludzie i umierają jak oni, o kończeniu się pewnych posłannictw, o nowym porządku społecznym, zgoła wszystkie te materyalne widoki — kiedy siła produkcyi duchowéj nietylko nie zgasła z niemi razem, ale owszem pali się „jak lampa w rzymskim grobie." Ileżto musiało być żywotności organicznéj w tém co już przeszło, co nie istnieje w świecie widomym, dotykalnym, kiedy z tych szczątków duchownych, poprzylepianych do ruin, wieje taka świeżość poranku, takie ciepło południa?... Osobliwy ten fenomen usiłował ktoś tłumaczyć przez analogię

z literaturą rzymską, długo utrzymującą się na powierzchni i to nawet z pozorami kwitnienia, chociaż siła wiary chrześciańskiéj podkopała państwo w najgłębszych fundamentach. Téj analogii dostrzedz trudno — bo nie widzę ani starych pogan, ani nowego ducha chrystyanizmu przynajmniéj w tych, coby przeciw mniemanym występowali poganom. Został tylko szpetny paradox, tém dotkliwszy, że miał być bronią skuteczniejszą, niż zwykły miecz, którym się jak na Kaulbacha kartonię sieką Hunnowie z cieniami rzymskich legionów.

Z tego widzimy, ile trudnościom podlega uznanie jakiéj literatury w świecie powszechnym i przez obcych, jeżeli własny autor nie waha się zwrócić przeciw niéj ostrza paradoxalnego dowcipu, nie już w celu potrzebnéj często przestrogi lub nagany, ale z chęcią zaprzeczenia jéj warunków istnienia.

To nas téż powinno pobudzać do zaznajomienia się z dziejami innych literatur świata, abyśmy poznali, na jakim punkcie stoimy, w jakim zostajemy stosunku do tych utworów, co zyskały powszechne obywatelstwo, i mocą których to warunków uzyskuje się takowe.

Wszakże w nauce literatur powszechnych nie można poprzestawać na samém li rozpatrywaniu się w arcydziełach, należących do chwil złotych kultury, bo niemniéj ważném jest poznanie nawet tych epok, co poprzedzały wszelkie piśmienne objawy naszéj umysłowości; — jest to bowiem wątek tradycyjnie snujący się, którego nie można pominąć bez wsnucia weń swojéj nitki.

Jeżeli więc jaka, to ogólna literatura wieków średnich, była u nas najmniéj znaną, i jest nią dotychczas. Wszędzie nawet w literaturach bardzo wysoko stojących, nie spieszono się zazierać w tę mgłami zasutą przeszłość ochrzczoną mianem barbarzyństwa i nieuctwa. Zazwyczaj wieki przejścia moralnego i politycznego to mają do siebie, że zacierają się w pamięci epok następnych, niechcących się nawet przyznać, że miały z niemi co wspólnego, lub że dużo im winny. Lepiéj to pojmujący nowocześni historycy, niezmordowani w dochodzeniu wszelkich początków, zapuścili się w badaniach nad formą społeczeństwa, jego instytucyi, zwyczajów, wyśledzili walki staczane o godność i niepodległość myśli człowieczéj wtenczas, kiedy się zdawało, że tylko

zwierzęcość króluje i tak po kłębku doszli w odległą starożytność, trącającą o lepiéj znaną przeszłość Rzymu lub Grecyi. Oprócz zaspokojenia potrzeb badawczego ducha inne jeszcze otworzyły się widoki. Wszyscy jak jesteśmy, narody nowożytne, wykluwamy się ze średnich wieków. Tam tkwią korzenie naszego języka, naszych praw, instytucyj, obyczajów, wiary. Zaznajomić się z niemi, jedno jest co lepiéj poznawać siebie, co nasze myśli, nasze dzisiejsze wyobrażenia, ujrzeć w pierwszym zawiązku i początkowym kształcie. Dlatego téż na wieki średnie zwrócił się dziś kierunek badań, zajęto się niemi z gorącém zamiłowaniem, jakby chciano wynagrodzić kilkowiekowe względem nich uprzedzenie, i zapełnić tę przerwę w naturalnym toku zdarzeń i pojęć, jaką w dziejach ludzkości i kultury zrządziła epoka reformy.

Bo czémże rzeczywiście są wieki średnie, jeżli nie zarodem naszego czasu? Jak dziś, tak i wtedy ten sam niepokój w głowach i sercach takież same rzucanie się na wszystko co tworzy węzły społeczne, takież pragnienie wiary, i takież lekceważenie jéj; i dziś, jak wtedy, ogrom umiejętności wyczekuje dla sie-

bie jutra, które przeczuwa, lecz nie wie jak się objawi. Tego to rodzaju powinowactwem da się wytłumaczyć entuzyazm dla średniowieczności w naszém przejściowém pokoleniu, znoszącém cegiełki na gmach, którego końca pewno nie ujrzy, którego nie zna ani w ogólnym zarysie, ani w harmonijnéj całości, z téj prostéj przyczyny, że mu brakuje średniowiecznego cymentu — żywéj wiary.

Gdyby i nie ten wyższy wzgląd, to zawsze wieki średnie górują własną wartością; niema jednéj gałęzi w umiejętnościach i sztukach pięknych, żeby w nich nie zostawiły wspaniałych pomników. Przez długi czas obiegało to przekonanie, teraz poznajemy jak mylne, że umysł ludzki bezpłodnością zaklęty, w ugor przez 10 wieków puszczony, dopiero ocknął się nagle w szesnastym wieku, i wyskoczył z gotową mądrością. Tymczasem wiemy, co o tém trzymać. W dziedzinie umysłowéj podobnie jak w cielesnéj wszystko musi iść stałym, porządnym trybem—toż i pomysły mają koléj swego rozwijania się i dojrzewania. Duch ludzki pracuje często w cichości, w zapomnieniu, nikt go nie widzi, nie otrębuje — ale przeto praca wciąż idzie. Podobnie i wieki

średnie— powierzchownie widziane, zdają się być głuchą i jałową puszczą zarosłą chwastem. W istocie zaś były bujniejsze, niż wysławiona teraźniejszość, bo tworzyły, bo umiały tworzyć z natchnienia. Tak zwany wiek odrodzenia zastosował tylko do powszechnego i praktycznego użytku to, co się kryło w celach klasztorów, co śpiewał włóczący się po drogach i odpustach żongler lub dziad, co zgubiony w stowarzyszeniu cechowém rzemieślnik bez pretensyi wyrabiał.

Ponieważ dzieje oświaty naszéj głęboko wrzynają się w wieki średnie, oczywista więc nasuwa się konieczność poznania tych epok i ich ducha, który, że był silny i głęboki, wybitne téż piętno i głęboki charakter, na wszystkich prawie indywidualnościach narodów wycisnął, co się najwierniéj odbiło w licznych zabytkach piśmiennych, tém twardszych i dzikszych, im mniéj je promień chrześciaństwa przenikał.

W całym obszarze dziejów średniowiecznych, poczynających się od zamętu, jaki nastąpił po upadku państwa Rzymskiego, świat ówczesny dwojaką ma fizyonomię: ludy południowe i zachodnie, dzielące się resztkami

rzymskiéj cywilizacyi, noszą charakter więcéj łagodny i towarzyski — północne zaś niemające nic wspólnego z temi wyobrażeniami, przynoszą z sobą inne pojęcia religijne, inny język; u tamtych szczątki ogłady, tradycye, język nawet wzięty w spuściznie od Rzymu; u tych wszystko inne, połączone z nieubłaganą krwi żądzą, powołaną na zgładzenie nawet cienia upadłéj Romy.

Obraz literatury południowych ludów skreśliło dla Francuzów wyborne pióro Villemaina. Z otwarciem swoich odczytów wręcz on oświadczył, że nie rozumiejąc ani znając ludów północnych, odstępuje połowę przedmiotu, aby zająć się drugą częścią, któréj był panem.—Tę właśnie drugą część niezapełnioną, obrobił p. Eichhoff. O niéj więc powiem słów kilka z powodu, że książka jego ukazała się w przekładzie pani Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj pod napisem: Obraz literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców. Gdy wszakże sam przekład tego dzieła nie byłby dla nas dostatecznym, przeto dobrą myśl powziął W. A. Maciejowski dopełnić go swojemi ustępami, tyczącemi się Słowian, których p. Eichhoff zwyczajem cudzo-

ziemców, a szczególniéj Francuzów, zbył w sposób nie mogący nas zaspokoić, bo z temi błędami, które o nich popisal w dawniejszém swém dziele: *Parallèle des langues de l'Europe et de l'Inde. Paris 1836.* Od tego czasu nic w téj gałęzi badań nie postąpił francuzki professor.

Główną myślą pana Eichhoffa w początkowych rozdziałach *Obrazû literatury ludów północnych*, jest wykazanie stosunków zachodzących między mitologiami i językami barbarzyńskich ludów, powołanych do odrodzenia Europy i religii, z mitologią i językiem Hinduzkim. Naprzód występują tu Gotowie, najpotężniejsze z plemion germańskich. Jeden tylko został po nich pomnik piśmienny, gdy siedzieli za Karpatami, a tym jest: przekład Biblii na gockie przez biskupa Ulfilasa. Autentyczny rękopis znany pod nazwą *Codex argenteus* znajduje się, jak wiadomo, w archiwach Upsalskich. Pomnik ten służy dziś za podstawę do badań filologicznych nad początkami języka niemieckiego.

Dobrze dawniéj, Gotowie powołani przez ludy północne, uciśnione od Jotów fińskich, przeszli do Skandynawii. Kiedy przypada ten

przechód?—niewiadomo. P. Eichhoff utrzymuje, że się to stało w epoce wygnania z Indyów wyznawców Budhy przez tryumfujący brahmanizm. Dość, że Gotowie gdzieś od Kaukazu przyciągnąwszy, przynieśli z sobą inne wyobrażenia religijne, które się nietylko po Skandynawii, ale i po Germanii rozlały. Zabytek skandynawskiéj kosmogonii i mitologii zamknięty w Eddzie, pozwolił wyśledzić cały ten stosunek, jaki zachodził między przybyłymi Gotami a dawniejszymi mieszkańcami Skandynawii i Germanii. I tak: „W Alfach czyli geniuszach napowietrznych, których Edda mieści w górnych sferach, rozpoznano Cymbrów z plemienia celtyckiego, pierwszych przybyszów na te zimne wybrzeża; w Cwergach czyli karłach, Lapończyków. Z większą jeszcze pewnością odkrywamy w Jotach czyli olbrzymach, Finnów stałych mieszkańców tych okolic; w ich zapaśnikach Wanach, Wendów, praojców tutejszych Słowian; w Manach czyli ludziach, poznajemy Normanów, Anglów i Jujonów Tacyta, Saxonów i Dancionów Ptolomeusza, którzy osiedli byli ponad brzegami Baltyku. Nakoniec Asowie, zwani także Godami czyli bogami, przedstawiają Osów i Go

tów, o których ci dwaj pisarze wspominają, a z których Gotowie zwłaszcza, wywarli potężny wpływ na te kraje.“

Pan Maciejowski, który historycznymi wywodami co do Słowian uzupełnił tę książkę, rzuca w ustępie o Celtach, Germanach i Słowianach, ciekawe światło na ludy germańskie, wspominane i opisywane przez Juliusza Cezara i Tacyta. Uwaga jego zatrzymuje się szczególniéj na Swewach, późniéj znanych pod nazwą Słowian, którzy zrobiwszy ze sobą związek, zespolili się z plemionami teutońskiemi i zasłynęli pod nazwą swewskiego związku. „Leży to w charakterze Niemców — powiada p. Maciejowski—że nie lubiąc siedzieć na miejscu, chodzą po świecie za chlebem; przeciwnie Słowianie, nie opuszczają swéj ziemi, chyba w najgwałtowniejszéj potrzebie. Otóż skoro raz się wdali Słowianie z północnymi rej w Germanii wiodącymi Niemcami, włóczyć się z nimi musieli ustawicznie po Gallii, Hiszpanii, Portugalii i t. d. Nigdy atoli nie opuszczał swych powiatów lud cały; część tylko szła na wychodźtwo, reszta pozostawała. To téż uratowało lud ten od zupełnéj zguby; zatrzymał bowiem zajętą przez siebie od wie-

ków w Germanii ziemię, lecz natomiast utracił znaczną część cech rodowych. Z tych najgłówniejszą był język—przywykły do słuchania mowy Niemców przewodzących nad nim, zapomniał własnéj. Następnie lud ten słabszy, pomiatany od właściwych Niemców, stał się dla nich przedmiotem urągowiska. Sław, Swaw, Swab (przez zamianę *w* na *b* według własności słowiańskiéj mowy) Szwab, stawszy się pośmiewiskiem, słuchał odtąd podobnéj, od Niemca o sobie opowiadanéj gadki, jakiéj się dosyć od Polaka nasłuchał Mazur, który upewniał o tém każdego, co mu chciał wierzyć: „że Szwabi się ślepo rodzą.“

Ten wywód p. M. ma wiele trafności, tłumacząc objaśnieniem najdawniejszych wskazówek, stosunek jednego plemienia do drugiego, nie zmienia się, mimo tylowiekowych zmian.

Dotknąłem tych rodowodów dla pokazania, w jaki sposób książka ta osnuta. Chcąc bowiem mówić o zabytkach języka, o mitologiach lub pierwotnych płodach wyobraźni, trzeba było pokazać, zkąd się brały te różne plemiona, jakie przynosiły ze sobą pojęcia,

i jaki związek, czy plemienny, czy historyczny zachodził pomiędzy niemi.

Dla większości czytelników jest to zbyt suche, ale zawsze nauczające, bo dość łatwo pozwala rozpatrzyć się w tym zamęcie, jaki zwykle towarzyszy początkom każdego narodu. Zresztą podobne dzieło dość usposabia do czytania innych prac w tym przedmiocie, prac, mnożących się z każdym dniem, a wyświecających mnóstwo nieznanych lub wątpliwych szczegółów i całe nawet epoki. Trzeba bowiem pamiętać, że początki literatur średniowiecznych, nie są tak ściśle określone, aby do nich zawsze co nowego nie przybyło; jestto kopalnia, z któréj od czasu do czasu wydobywa się jaki zabytek, obalający częstokroć raz przyjęte zdanie, lub kreślący wyraziste rysy na tle mgławego domysłu.

Jeżeli zatem badania nad pochodzeniem i przesiedleniem się ludów, wywody etymologiczne i mityczne, podlegają rozmaitym jeszcze przejściom i tłumaczeniom—to z drugiéj strony same zabytki piśmienne, rozpoznawane bliżéj w téj książce, stanowią grunt jéj właściwy, w nich bowiem mieszczą się i wyobrażenia tych ludów, i fizyonomia ich zewnętrzna,

i żywot domowy, i początki samorodnéj sztuki uwięzionéj w języku zdolnym tylko do oddania najzmysłowszych pojęć i uczuć.

Edda skandynawska, ten skład kosmogonii i mitologii północnéj, ten zbiór bohatyrskich pieśni, ocalona jeszcze w 11 i 13 wieku przez Soemunda i Sturlesona, pomimo że Lelewel dał o niéj pierwszą u nas wiadomość, nie znalazła w Eichhoffie dokładnego i zajmującego przedstawiciela. Przeczytawszy rozdziały poświęcone Eddzie, (która mówiąc nawiasem wcale nie jest poematem, tak jak nie jest poematem Geneza Mojżeszowa) nie nabywa się wyobrażenia odpowiedniego, ani o tych pieśniach, ani o tych północnych ludziach, u których podobne śpiewy bohatyrskie mogły być pieśniami ludowemi! Jakiż bo to był ród, co wyobraźnią swoją podołać mógł tym zapasom olbrzymów! Ta surowa, granitna natura Eddy, ma coś tak imponującego, tak przywalającego ogromem, jak te Tatry, co na to wspięły się jedne na drugie, aby cię straszyć runięciem — co bez wstępu, bez przygotowania odrazu wystrzelając nad poziom, wprowadzają cię w jądro działania. Wszędzie w nich przemawia sama potęga przedmio-

tu; ozdób tu niema. Wyrazy padają jak cięcie miecza, ciężkie jak młot spadający na kowadło. Każdy wyraz czynem. Nad potrzebę nie ma pół słówka, a niejedno musi dopełniać wyobrażenia; żadnych przytém opisow, żadnych lirycznych uniesień, ani śladu zadumy; czyn kroczy za czynem; brak nawet końca, bo się go domyślać można. — Oddając cześć tym zabytkom pod względem poetycznym, gdy je uważać będziemy jako wizerunek obyczajów swojego wieku, mimowolna ogarnia nas groza. Ani jednego napotkać tu obrazka domowego, cichego szczęścia; ani jednego rysu dziecięcéj miłości ku rodzicom. Nigdzie przykładu przyjaźni zachwycającéj nas w Homerze; a jeszcze częściéj w starohinduzkich poematach i tak uroczo odbijająco na tle morderczych walk. Nic z tego wszystkiego, krom surowych sił pędzonych w czyny żądzą łupu, zazdrością, lub nienasyconą zemstą!...

Z przytoczonych wyjątków możnaby najlepsze powziąć wyobrażenie; lecz polski ich przekład zbyt osłabł, będąc trzeciém czy czwartém odbiciem się oryginału.

Lubo p. Eichhoff poprzestał na jednéj Eddzie, jednakowoż szkoda, że pominął rozbiór

innego dzieła, wchodzącego koniecznie w obręb jego pracy. Rozumiem tu *Zwierciadło królewskie* (Konungs-Skuggsja), ciekawy niezmiernie traktat z końca 12 stólecia, opisujący obyczaje różnych stanów społeczeństwa skandynawskiego. Są to rady ojca dawane synowi jak się ma zachować u dworu i w świecie, ażeby dojść zaszczytów i znaczenia. Osobliwy w swoim rodzaju utwór, który o cztery wieki poprzedził Castigliona i naszego Górnickiego. Zwierciadło królewskie, pełne wybornych zdań moralnych, mogłoby jeszcze być porównane z pieśnią Eddy: Havamal, którą bardzo trafnie kładą na równi z Hezyodowemi: Pracami i dniami. Kilka wieków dzielących te utwory, pokazałoby różnicę w cywilizacyi na północy, zrządzonéj wpływem wyobrażeń chrześciańskich.

W ustępie o Bardach gallickich i irlandzkich, szkoda że za skąpe wyjątki z Bardów gallickich i Wallijskich jak: Talisien, Merlin i t. d.; są tam bowiem ogromne poetyckie skarby. O Ossyanie, podług nowszych poszukiwań, dałoby się coś więcéj powiedzieć, jak o Macphersonowych amplifikacyach w sentymentalnym tonie. — Krytycy znający ducha

pierwotnych pieśni ludów, mogli śmiało wątpić, że istniał jaki Ossyan na świecie; a jednak z pieśni gallickich uzbieranych przez Ossyaniczne towarzystwo w Irlandyi, z ich pilnych wieloletnich badań, pokazało się, że Macpherson wiele sobie wprawdzie pozwolił, ale wszystkiego nie zmyślił. Pierwszy owoc pracy tego Towarzystwa pojawił się w dziele: *Transactions of the Ossianie Society*, gdzie pan O'Kearney wydał: Bitwę Gabhra, co ma być dawniejszą Temorą. Sam Ossyn nosi tu nazwę: *Oisin* Pieśni te więcéj dzikie jak melancholijne mają wielkie powinowactwo z bretońskiemi i jak w tamtych tak i w tych przechodzenie dusz zdaje się być głównym fundamentem wiary. Między innemi znalazłem powieść o Tuanie Mac-Koireal, co pamiętał przedpotopowe czasy z wszelkiemi szczegółami, którego dusza siedziała potem trzysta lat w jeleniu, trzysta w orle, trzysta w łososiu, aż go w téj ostatniéj postaci złowił rybak i zaniósł na stół królowéj irlandzkiéj. Zaledwo skosztowała kawałek téj ryby, natychmiast uczuła się przy nadziei, i wydała na świat sławnego Tuana Mac-Koireal, który gdy przyszedł do rozumu umiał opowiedzieć dzieje kolonizacyi

Irlandyi, gdzie się po dwa kroć rodził.—Opowiadający zaś tę historyę dodaje w najgłębszéj wierze: o prawdzie jego powieści nikt ani wątpił, albowiem sam był świadkiem tych zdarzeń, które opisywał ze szczegółami.

Zwróciłem uwagę na to wyobrażenie o przechodzeniu dusz, które tak wybitnie charakteryzują powinowate z sobą utwory Bardów gallickich, erskich, wallijskich i bretońskich. Z ostatnich przełożona kiedyś przezemnie: Wieszczba Gwenehlana, zawiera wyraźny ślad metempsychosy — odróżnienie to potrzebne i wyświecające; pokazuje bowiem różnicę między plemionami keltyckiemi a normańskiemi; jakoż w Eddzie i w pieśniach bohatyrskich Norwegian, Duńczyków (Kämpewisser) wyobrażenie o przechodzeniu dusz napotyka się z rzadka, i nie stanowi głównéj zasady religijnéj.

W przytoczonym także poemacie anglosaxońskim: Beowolf, wyjętym przez p. Eichhoffa z Ozanama, poemacie zasługującym na obszerne studyum, nie znachodzę téj dzikiéj i szorstkiéj oryginalności, cechującéj ten starożytny utwór. Przekład z miękkiéj prozy francuzkiéj pozbawił go reszty charakteru.

Zestawmy go tylko z przekładem bliższym tekstu — jakaż różnica!

„Powstaje dzielny bohater, a przysłonion tarczą, groźnym hełmem na głowie, cały okryty zbroją, idzie do podnóża skały, ufny w własnéj odwadze.“

Bliże tekstu tak brzmi:

„Zerwał się z brzegu sławny woj
Z szczytem, pod hełmem, w zbroicy
Ku skałom; w własną ufny moc
Sam stoi za się; zły nie stanie tak! i t. d. *)

Wspaniały to ustęp téj walki Beowolfa ze smokiem, nakreślony szerokiém pociągiem pióra z ożywioną dramatycznością, z precyzyą nawet drobnych szczegółów, co go więcéj do homerycznych opisów zbliża, niż do twardéj i suchéj dykcyi skandynawskiéj Eddy.

Żałować należy, że tłumaczka podejmująca tę pracę, robiła przekłady swoje podług przekładów Eichhoffa, jéj poetyczny talent mógłby się był zbliżyć do tekstów, gdyby się do nich był udał.

*) Wyrażenie się: „Zły nie stanie tak!“ mieści w sobie to głębokie pojęcie moralne, że tylko czyste sumienie czyni prawdziwie mężnym. Ta piękność znikła w przekładzie francuzkim, a następnie w polskim.

Przechodząc do Niemiec, znajdujemy starą pieśń o Ludwiku, lecz pozbawionéj pierwotnéj prostoty w tłumaczeniu, niemniéj legendę przytoczoną w całości o świętym Anno arcybiskupie kolońskim; daléj idą pieśni Minnesingerów i poetyczna walka na Wartburgu, w któréj palmę zwycięztwa przeciw Henrykowi Ofterdingen odniósł Wolfram Eszenbach. A jednak Henrykowi Ofterdingen przypisują utwór, którym się pyszni literatura niemiecka; obadwaj Szleglowie przyznają mu Nibelungi. Poemat ten, ogłoszony dopiero przed laty kilkudziesiat, nie jest wszakże pochodzenia niemieckiego, albowiem w starych pieśniach Eddy zamyka się ta cała historya; tradycya tylko doznała znaczniejszych odmian, przenosząc się z Skandynawii do Niemiec. Byłoby ciekawe żądanie zbadać, co jest tu własnością Niemców, a co Skandynawów, czyli poprostu porównać oba poemata. Szkoda, że p. Eichhoff nie zadał sobie téj pracy. Jeżeli mógł rozebrać osobno Gudrunę, a osobno Nibelungi, czemuż nie zestawił ich z sobą? A byłoby mu łatwo poszło, gdy jak wiadomo, Simrok w tym przedmiocie ogłosił dobrze napisaną i uczoną książkę. Natomiast daleko lepiejby wypadło,

gdyby wiele rzeczy nie znajdowało się w dziele Eichhoffa, które w części, i to bardzo słusznie opuszczone zostały w tłumaczeniu.

Dla nas nieposledni interes mogą mieć w téj książce rozdziały napisane przez Maciejowskiego, lubo nie widzę rozumnéj przyczyny, dlaczego w całym zakresie téj literatury średniowiecznéj, mielibyśmy przodek dawać ustępom traktującym o słowiańskiéj literaturze, bardzo jeszcze niebogatéj, u niewytrzymującéj porównania z zabytkami Skandynawów, Bretonów, Anglów, Niemców? Rękopis królodworski, i Wyprawa Igora — toć i wszystko, co może się mierzyć z najstarszemi pomnikami innych ludów północnych. Ogół, poznanie wzajemnych stosónków, analogie bliższe lub dalsze, wywody objaśniające historyę płodami umysłowemi, i płody umysłowe historyą, to zawsze będzie przeważać, i przeważać powinno w obrazie literatury średniowiecznéj ludów północnych. W téj myśli skreślił téż i Maciejowski dzieje i piśmiennictwo Słowian w średnich wiekach dając nam, szczególniéj w wywodach o początkach, siedzibach, przemianach niektórych plemion, mianowicie Swewów, postrzeżenia będące owocem wła-

snych jego badań. Strona historyczna znalazła w nim biegłego tłumacza. — Uważałbym wszakże co do zestawienia zabytków piśmiennych różnych plemion słowiańskich, powtórzenie tylko rzeczy dość znanych i zamkniętych w nader szczupłym zakresie. Królodworski rękopis u Czechów, Igor na Rusi, to cały grubszy materyał, tłumaczący zapewne ducha owych czasów, z tém wszystkiém nie mogący się obejść bez innych wskazówek, coby nam mogły wyjaśnić jeszcze pewne zamglone stosunki i powinowactwa duchowe do innych ludów, a przytém dały zajrzeć w ten świat wyobrażeń, jaki choć ustąpić musiał chrześciaństwu, długo, ledwo nie do dziś został wiernym pamięci gminu. Chcę tu mówić o tych klechdach i bajkach wierniejszych tradycyi niż sama pieśń, a tém samém odnoszących się do bardzo dawnych epok. Jak wiadomo, wieléby się w nich znalazło czasów poprzedzających świt chrześciaństwa; a chociaż jak Maciejowski słusznie mówi, podania te i klechdy mocno zostały popsute przez piszących kronikę po łacinie, jednakowoż zachowały się pewne niestarte rysy, dające rozpoznać ich pierwotny charakter. Szczególniéj byłoby to na

miejscu w rozdziale: O cywilizacyi Polaków i o początkach ich poezyi, gdzie miasto takiéj charakterystyki, natrafiamy na pieśń niemiecką opiewającą zdarzenia w Polsce pod Bolesławem Krzywoustym. — Nie przeczę, gdyby w jakim starym kodexie znalazła się choćby po niemiecku, pieśń z tych czasów, a pieśń malująca bohatyra naszego, lub zdarzenie historyczne — śmiało moglibyśmy ją policzyć do zabytków ściśle związanych z pierwotną literaturą polską. Lecz przypadek ten niema tu miejsca. — Przytoczona pieśń w oryginale niemieckim o bojach Krzywoustego, jak M. powiada: „pochodząca z Pomorza,“ niema nic a nic za sobą coby przemawiało, że z jedynastego wieku pochodzi, bo ani duch jéj nieodpowiada epoce, ani zwroty myśli, a najmniéj sposób pisania i język. — Jest to jakaś zapewne mistyfikacya, nawet bez wielkiego wysilenia dokonana; bo czytając tę pieśń zdaje ci się, sądząc po sentymencie, że ktoś ją napisał co się wczytał w Śpiewy historyczne Niemcewicza. Dla tego nie pomału się zdziwiłem ujrzawszy ten oryginał niemiecki obok Eddy Beowolfów, Nibelungów i t. d.

Jeżeli nie doszły do nas historycznych pie-

śni ułamki, sięgające pierwotnych czasów, trudno na to poradzić, nawet narzekaniem na łacinę, która wyprzeć miała kirylicę, a z nią i pieśni naszych gęślarzy tym charakterem spisane — i być to wszystko mogło, i wierzę że było; bo piętno jednéj epoki wszystkim się ludom udziela w sposób często niedocieczony. Miały inne narody swoich Trubadurów, Minnesingerów, Bardów, i my ich mieliśmy w to wierzę, ale nie wierzę w niemiecki oryginał pieśni z Pomorza.

W rozdziale: Ruś i poezya jéj najdawniejsza, spodziewaliśmy się czytać krom wyjątków z Igora, coś obszerniéj, o tych starożytnych poematach pozbieranych przez Kirszę Daniłowa a opiewajacych wyprawy bohatyrów Włodzimierzowych. Przyczynek ten do obrazu ówczesnéj literatury niezmiernie byłby na miejscu, tém więcéj, że się nastręczało piękne pole do porównawczych uwag. Przecież w tych skazkach pomimo wszelkich wielowiecznych naleciałości, tak wyraźnie odbija się duch zagi islandzkiéj. Te Dunaje, Popowicze, Dymitry znalazłyby może powinowatych w Siegfridach, Günterach, Sigurdach.

Podobnież w rozdziale poświęconym Cze-

chom więcéjby się dało powiedzieć o ich literaturze. Utwory Tomasza z Szezitna i Smila z Pardubie, mianowicie ostatniego: *Nowa Rada*, która zajmuje wcale niepoślednie miejsce w średniowiecznéj epopei zwierzęcéj, zasługiwały na bliższe omowienie, tém pilniéj, że te rzeczy mało są u nas znane. W 14 i 16 wieku Czesi wybornie w swoim języku pisali, podczas kiedy u nas panowała tylko łacina.

Może nie słusznie wytaczam sprawę o to, czego brakuje w tym dziele; lecz słysząc już od dawna zapowiadany po dziennikach przekład Eichhoffa, a nadewszystko ważne dodatki p. Maciejowskiego o literaturach słowiańskich, cieszyłem na owoce jego poszukiwań, na nowe poglądy, ciekawe zestawienia jednych zabytków z drugiemi, wszakże w oczekiwaniu moim krom historycznych kilku wskazówek i objaśnień, za które uczonemu mężowi podziękować należy, nie znalazłem żadnych nowych studiów — chyba ów *oryginał* pieśni przybyłéj z Pomorza... Nieodbiera to jednak wartości téj pracy, która w niedostatku książek o literaturze średniowiecznéj, bardzo dobrze może przygotować chcącego się rzetelniéj kształcić czytelnika.

Jeślim dotąd zatrzymał się nad niektórymi punktami i wykazywał w nich niedostatki mogące być zapełnionymi z łatwością, to z drugiéj strony nieprzychodziło mi zetrzeć się często z mylnem zdaniem, lub fałszywém wyobrażeniem szczególniéj w ocenianiu płodów piśmiennych, z czego Eichhoff dość szczęśliwie wychodził. Nie mogę jednakże pominąć uwagi wyrzeczonéj w rozdziale XXXVIII, mówiącym o pieśni ludowéj Słowian w stósunku do niemieckiéj, która brzmi: „Tak zwane ludowe zachodniéj Europy piosnki, są ludowemi o tyle tylko, o ile od rymopisów lub wieszczów przeszły do ludu, o ile się jak mówimy, spopularyzowały, brzmiały w jego ustach, będąc przy odgłosie lutni, lub téż luźno powtarzane.“ — Powyżéj zaś, podniosłszy najwyżéj pieśń gminną słowiańską, powiada, że te wewnętrzne jéj przymioty postawiwszy ją w sprzeczności z poezyą reszty Europy, sprawiły, że nigdzie prócz u nas nie mogło być ludowych pieśni.“

Takie zaprzeczenie przymiotów tworzenia pieśni gminnéj ludom zachodnim a przypisanie ich wyłącznie tylko Słowianom, pokazuje,

że szanowny historyk dotyka rzeczy, któréj dość może nie badał.

Weźmy tylko jedną Francyę z rozlicznemi jéj prowincyonalizmami, a przekonać się łatwo, że tam pieśń krąży dwojakiéj natury: jedna w języku cywilizowanym, robiona przez takich rymopisów lub wieszczów, która spopularyzowawszy się, obiega z ust do ust — druga w narzeczu prowincyonalnym (patois) stworzona przez pierwszego lepszego parobka przy winobraniu lub na kiermaszu — słowo w słowo jak u Słowian. Dlatego nie pomału zdziwiło mię to zaprzeczenie, kiedy mi znane są bardzo dobrze piosnki w narzeczu Limuzyńskim, Gaskońskim, Pikardzkiém, Burgundzkiém, Baskijskiém. — Przymioty ich w pewnym względzie są te same, co naszych piosnek; są i rzewne, i rubaszne i tłuste, i hulackie i szydebne i obrzędowe a nawet w balladycznym tonie. — Te ostatnie mogą być spuścizną po Truwerach, podobnie jak w Bretanii prześliczne pieśni opiewające jakąś dłuższą przygodę rycerską niezawodnie dostały się do gminu za pośrednictwem ich bardów i kloarków... jak to sami często przypominać lubią; chociaż ci włóczący się śpiewacy, ni-

czem się prawie nie różnili od gminu, podobni w tém do naszych ukraińskich lirników, lub serbskich gęślarzy. Z tego względu ośmieliłbym się utrzymywać, że nasze stare pieśni te, o których p. Maciejowski powiada, że mogły być kirylicą pisane i dla tego zginęły — jeżeli tylko składane były przez gęślarzy uprzywilejowanych, niezawodnie przechowały się w uściech gminu i kto wie czy nie dałyby się wydzielić od innych zwykłych płodów muzy sielskiéj — ton ich powieściowy, epiczny tak zwany balladyczny — stanowi tu wyraźną cechę.

Czułem się w obowiązku wystąpić przeciw twierdzeniu, które uważałem za mylne, chociaż niby pochlebiające plemiennéj dumie — ale mniejsza o ten zaszczyt spływający z piosneczki gminnéj, byle na żywotniejszych i droższych nieszwankować pamiątkach.

V.

WĘDRÓWKI ZAGRANICZNE I SZKICE Z WĘDRÓWKI PO UKRAINIE — TADEUSZA PADALICY.

Do najwykwintniejszych przyjemności życia, a przytém najwięcéj urozmaiconych i najmniéj rozczarowujących, są podług mnie podróże. Świat otwarty, wolność nieograniczona, bo jako gość nie doznajesz tego co miejscowych dotyka lub boli — urok i niebezpieczeństwo najprzeciwniejszych sobie klimatów, bogactwo widoków natury rozwijających się bez końca przed oczyma podróżnika — arcydzieła wszelkich sztuk rozsiane w każdym kraju — pamiątki i ruiny zwiedzane na zie-

miach klassycznych — historya, umiejętność, poezya towarzysząca ci w każdym kroku — oto są rozkosze wzniosłe i trudne zarazem; bo ileżto potrzeba mieć odwagi, ile znajomości rzeczy wszechstronnéj, ile wyobraźni, ile świętego ognia, aby te widziane dziwy ogarnąć, zrozumieć i podać w taki sposób, iżby ten co nie miał szczęścia patrzeć na nie, mógł je wyobrazić sobie, zrozumieć i powiedzieć w duchu: nie byłem tam, a jakbym był tak znam!

Takie podróże i tacy podróżnicy zawsze należeć będą do rzadkich wyjątków, chociaż jeźli kiedy to za naszych dni ułatwione środki podróżowania pędzą najróżnorodniejszą ludność na sieć kolei żelaznéj pokrywającą ląd stały, na parowce przerzynające we wszystkich kierunkach morze Środziemne, które dziś zmalało do wielkości jeziora. Tysiące niezatrudnionych głów, prostodusznych hreczkosiejów, spanoszonych giełdowców, dam nudzących się na partykularzu, gdzie ich toaletowych wdzięków nikt podziwiać nieumie, zgoła wszystko co ma za co i niema za co, przebiega Włochy, Sycylię, Grecyę, płynie w górę Nilu, pielgrzymuje do Jerozolimy, drapie się na Liban, zagląda do Stambułu pytać za-

pewne o zdrowie wysokiéj porty. I cóż z téj z téj wycieczki przynoszą? Oto chorobę morską i prawo nudzenia nas rozpowiadaniem o tém, o czém wszyscy wiedzą:

Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyi rozboje.

Ja i ty mój czytelniku, co pilnujemy domowego ogniska, zostawmy tym szczęśliwym śmiertelnikom ich niepotrzebne trudy i kłopoty, oklepane wzruszenia i podziwy, widoczki kupowane na miejscu, a robione gdzie o tysiąc mil, stosy starożytnych rupieci sfabrykowanych w wilią ich przyjazdu, niebezpieczeństwa hotelowe, rozbicia się na kropli wody, oszustwo Greków, spokojną otrętwiałość Turków, i ten kanibalizm czy na południu, czy na wschodzie, który już nie zjada podróżnych, a tylko na ich kieszeń poluje..... Siedząc na domowych śmieciach zyskujemy na tém najwięcéj, bo nie popisując się przed cudzoziemcami z zapasem naszych próżności i śmieszności, nie narażające się na trud i koszt pożywamy najspokojniéj każdy owoc jaki nam z wycieczek dalekich przyniosą; — co jeżeli się nie zawsze zdarza, aby miał smak i świeżość, to przecież nie można powiedzieć, aby na tysiąc turystów, jeden się nie znalazł któ-

ryby pojechał nie nadarmo, jeźli przywiózł ze sobą tak bogate żniwo postrzeżeń i żywych obrazów, iż gdy się zamkniesz w pokoju i wyobraźnię swoją powierzysz temu przewodnikowi, to widzisz, myślisz i czujez z nim razem i jesteś jakby w śnie przeniesiony pod skwary Afryki, lub w przedpotowe lasy nowego świata.

Wielu tém się tłumaczy: poco opisywać, poco badać -- kiedy tylu przed nami opisało i zbadało te lub owe strony? — Zapewne przysłowie mówi: Nic nowego pod słońcem —lecz w świecie umiętności i pojęć wszystko bywa nowe, lub odnawiające się. Po tylu n. p. pobożnych i uczonych pielgrzymkach wzbijających od trzech wieków tumany kurzu na świętéj drodze palestyńskiéj, po Radziwile Sierotce, Drohojewskim, Hołowińskim, Chwalibogu, zostało jeszcze dużo miejsca na interesujące nowością kwarty. Co wiecznie piękne, to i wiecznie świeże, byle patrzeć z innego coraz punktu.

Taka podróż na wschód M. Mana — lubo potoczyła się po gościńcu ubitym stopami Chateaubriana i Lamartyna, tych najniebezpieczniejszych towarzyszy, co rozsieli tyle bry-

lantów poezyi i wymowy na piaskach pustyni, zawiera jednakowoż mnóstwo rysów pominionych przez jego poprzedników, i wiele postrzeżeń zrobionych z innego punktu widzenia.

Tak bardzo już nadużyto owych wrażeń podróży, tak przekarmiono publiczność zachodami słońca, burzami, zachwytami w obec ruin, a nadewszystko zmyślonemi przygodami, że jaki taki z trwogą bierze podróż do ręki, myśląc sobie: co mi po jego wrażeniach i przygodach, kiedy o pierwsze nie dbam, a w drugie nie wierzę! I słusznie, dziś bowiem rutyna nie popłaca; światły czytelnik chce ścisłości i prawdy nawet w romansie, a cóż dopiero w podróży, która powinna się liczyć do rzędu pism łączących przyjemność z rzeczywistym pożytkiem, zawierać rysy dokładnéj ścisłości, naukę gruntowną, i fakta nie zmyślone. — Dlatego podróż Mana na wschód obfitując w fakta i postrzeżenia, nie jest igraszką wyobraźni; autor nie wynajduje, lecz widzi; nie marzy, lecz sądzi; nie pragnie olśnić, ale oświecić i nauczyć. Opisy jego brane z natury, na którą patrzał gołém okiem, skromne są, bo prawdziwe, nie przesadzone kolorytem i bez fałszywych efektów, a w opowieści za-

wsze czerpane z historyi, kiedy mówi o przeszłości — z życia rzeczywistego, kiedy teraźniejszość maluje. — W ciągu całéj téż drogi, którą przebiegł od Nilu do Stambułu, mnóstwo potrąca przedmiotów odnoszących się do miejscowości, do ludzi, do historyi, do sztuki, do administracyi, obyczajów, a nawet do polityki. Obfitość ich taka, że zaspokaja umysł i serce czytającego daleko więcéj, niżby zaspokoić mogły namiętne deklamacye, igraszki stylu kwiecistego i zaraźliwe marzenia umysłu upojonego samym sobą, a głuchego na wrażenie prawdy. — Lubię i to w jego podróży, że się wyrzekł swojéj osobistości, aby uwydatnić każdy przedmiot; chowa się, by sobą nie zasłaniać widoku na rzecz; nie mówi o sobie, a za to każe mówić faktom.— Zgoła sumienna ta i na obszerniejszą skalę zrobiona podróż grzeszy może tém tylko, że autor więcéj po podróży, jak przed nią oddawał się studyom nad zwiedzanemi przez siebie krajami, co sprawia, że nie będąc dostatecznie przygotowanym na tę drogę, która nań niespodziewanie przypadła, nie miał tych zasobów pamięci, niezmiernie pomagających wyobraźni

do ożywienia miejsc, dźwignienia ruin, zaludnienia pustyń.

Bądź jak bądź, dziwi mię dla czego książka mająca tyle dobrych zalet, została milczeniem pokrytą w pismach czasowych, które lubią tak szeroko rozprawiać nieraz o najfałszywszych relacyach podróży, będących raczéj prostą igraszką z łatwowierności czytelników, niż sumiennném opowiedzeniem tego co się widzi, doświadcza, odkrywa i obserwuje przy zwiedzaniu cudzych krajów. — Czyżby publiczność miała tak być usposobioną, że jéj więcéj do smaku przypadają niestworzone banialuki haftowane na tle geografii elementarnéj, niż pracowite studium nad duchem i fizyonomią społeczeństwa, nad zabytkami i wspomnieniami z historyi, nad obyczajami, instytucyami, gospodarstwem i urządzeniami wewnętrznemi jakiego kraju? — Przyznam się, że niebardzo wierzę, aby taki smak miał być powszechnym, bo zbyt niekorzystną dawałby miarę o stanie intelligencyi, prędzéj przypuściłbym niedostatek dobréj krytyki, która nie wyrobiła sobie żadnéj skali i wszystko jednym łokciem mierzy, czy ulotną powiastkę lub

wierszyk, czy owoc trudu, doświadczenia i nauki.

Bynajmniéj nie miałem zamiaru mówić o téj książce Mana w téj myśli, abym ją chciał we wszystkich częściach rozbierać; ale wszcząwszy rzecz o podróżujących i podróżach, uważałem za właściwe dotknąć tego faktu, któryby mógł być wcale niepocieszającym symptomatem, gdyby wszystkie fenomena i symptomata umysłowe w spółeczeństwie, znachodziły pełny swój organ i wierne tłumaczenie w gazetach i dziennikach. Że tak nie jest — więcéj niż pewna; a najbardziéj u tych nie jest, co sobie przypisują wyłączne posłannictwo wyrażania potrzeb, chęci, nadziei, a nawet dążeń czytającego i nieczytającego spółeczeństwa. — Zaiste byłoby to rzeczą wcale nie pokrzepiającą dla ducha, żebyśmy mieli więcéj kochać się w fatałaszkach rozbrykanéj imaginacyi, niż w rzeczach prowadzących do ścisłego zbadania prawdy, a do tego nie w płodach fantazyi, jak powieść, lub romans, ale w przedmiotach wymagających ścisłości nieledwo matematycznéj, skrupulatnych studyów i obszernéj znajomości różnorodnych przed-

miotów, czego wszystkiego wymaga podróż, jeżeli na to nazwisko zasłużyć pragnie.

Co się dotąd rzekło, miało jedynie na względzie podróż w najobszerniejszém znaczeniu wziętą — podróż kosmopolityczną, przez którą wchodzimy do składu literatury powszechnéj, trącając o przedmioty opisywane i obrabiane przez koryfeów literatury francuzkiéj, angielskiéj, niemieckiéj i t. p. Taka zagraniczna podróż nie jest bez interesu dla obcych, a bez znaczenia dla nas, bo pokazuje w jaki sposób zapatrujemy się na różne instytucye, spółeczności, obyczaje i sprawy publiczne; nam zaś pochlebia ten rozszerzony zakres obserwacyi przynoszący w zysku miarę porównania, a nadewszystko praktyczną mądrość doświadczenia.

Wszakże, gdybyśmy pędzeni ciekawością poznania i badania samych tylko obcych i dalekich krajów, nie myśleli o poznaniu téj ziemi, na któréj żyjemy, z przyczyny, że to nie tak zaszczytnie brzmi powiedzieć: wracam z Polesia, lub Pokucia, które zwiedziłem, — jak kiedy się powie: wracam z pod bieguna lub z Australii — gdybyśmy w ten sposób palili ofiarę naszéj próżności, i chorobie włócze-

nia się światami, byłoby naganną sprawą, jak naganną jest dzisiejsza podróżomania, która rok rocznie na kilka miesięcy wypróżnia kraj z połowy ludności klas zamożniejszych. Lecz na szczęście można od niejakiego czasu uważać, że zajęcie się rodzinną ziemią mające na celu dokładne poznanie miejscowości będących z historyą w związku, badània nad fizyonomią, zwyczajami, i wyobrażeniami ludu, poszukiwania zabytków pod względem archeologii, postrzeżenia geologiczne, zoologiczne, roślinne, niemniéj nad stanem rólnictwa i przemysłu, stósownie do tego jak gdzie co przeważa, — że zajęcie się temi przedmiotami wchodzącymi w monografie, czy miast, czy pewnych okolic, czy prowincyi, — stało się rzetelną potrzebą. Najmniejszy taki opis z wycieczki w jaką bądź okolicę więcéj nierównie interesuje, jeżeli nie jest suchym i trywialnym, niż najświetniejsze opisy obcych dziwów, lub najniepodobniejszych do prawdy przygód. — W téj tedy gałęzi piśmiennictwa postąpiliśmy niesłychanie, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę niezmiernie ubogie i skąpe monografie z czasów dawniejszych, które można powiedzieć nie umiały się wyłamać z ram jeografii

i to jeografii nie tak rozwiniętéj jak dzisiaj.— Nasi starzy nierozumieli pejzażu.

Najpierwsza Tańska w listach swoich opisujących podróż do Krakowa dała szerszy zakres téj gałęzi piśmiennictwa, ograniczonéj dotąd na humorystycznych postrzeżeniach przeplatanych dowcipnemi wierszykami, jak to widzieliśmy u Krąsickiego i Karpińskiego. Po niéj Kraszewski który wyborne rzucił szkice okolic Polesia i Litwy może za doskonały wzór służyć. Przeździecki opisał Podole i Wołyń. Raczyński Wielkopolskę. Goszczyński i Zeiszner Tatrzańskie okolice. Syrokomla część Litwy a szczególniéj Nieśwież; dodajmy do tego wyborne monografia Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, Rzeszowa, Tarnowa, Jarosławia; dodajmy mnóstwo artykułów rozsianych po pismach czasowych, a opisujących malowniczo wdzięczniejsze okolice, zamki, kościoły, tak pod względem dziejowym, jak archeologicznym i etnograficznym, a będziemy mieli wyobrażenie materyałów, codzień mnożących się do uzupełnienia obrazu całéj krainy, już na tle jakie sucho jeszcze, rzucił był w Opisie starożytnéj Polski Baliński i Tymoteusz Lipiński, w sposób więcéj ożywiony i

malowniczy, bo obejmujący i dawne i nowe życie rozsianego na niéj narodu. O takiéj podróży wolno nam marzyć, że kiedyś biegłe pióro przysłuży się ogółowi, ale dopiero wtenczas, jeżeli wszystkie strony kraju zostaną dokładnie zwiedzone przez ludzi znających rzecz, umiejących robić studya i rozmiłowanych w ubożuchnych zabytkach i pięknościach natury, często tak oryginalnych...

Co do tego punktu można powiedzieć, iż mamy wiele zakątów takich, które w powszechności, a nawet dla ludzi oczytanych, mogą być oznaczone mianem: *terra incognita.* Zazwyczaj są to okolice słynne nawet w dziejach, lecz na pograniczach, lub daleko od dzisiejszych dróg cywilizacyjnych położone, czyli nie przytykające do bitych gościńców, wiodących ku stolicom, ani do kolei żelaznéj, wiodącéj w świat, a zatém zapomniane, jak ułamek co się z rachunku wyrzuca... Tymczasem właśnie bywają to miejsca najbardziéj interesujące, bo jeszcze świeże bo zachowały odrębny charakter tak w swoich mieszkańcach, jak na licu krainy, gdzie jeszcze natura fantazyuje sobie w najlepsze... Mógłbym wiele takich okolic naliczyć, które drzemią w zapomnieniu, dlatego, że pió-

ro pisarza z wyższym talentem nie dało im życia, czyli nie wykryło téj poezyi jaka tkwi w ludzie, w pamiątkach, w uroczéj naturze. Pieśń lub powieść popularyzuje opiewane strony i napawa ku nim tęsknotą, jak do każdéj krainy obleczonéj w mglisto-różową szatę poetyczności; zajmuje to i wystarcza na jakiś czas, ale nie na długo; bo człowiek, dziecko ciekawe, tłucze najmisterniejszą zabawkę, aby zobaczyć czemu ten kanarek śpiewa, i co to za płyn przelewa się w téj szklanéj kuli niemającéj żadnego otworu? — To samo i z poezyą miejsc; zrazu zachwycają cię te brylantowe opisy — potém zbiera chęć przekonać się naocznie o prawdzie — zastajesz rzeczywistość prawie zawsze prozaiczną i niższą, lubo duch unosi się nad nią jeden i ten sam jaki wyśpiewali poeci...

Ukraina tylekroć opiewana, zacząwszy od apostrofy Trębeckiego, aż do poematów Aleksandra Grozy, mająca prawie osobną swoją szkołę, nazwaną przez Michała Grabowskiego *ukraińską* — żyła długo w wyobraźni naszéj upryzmowana wszystkiemi czarodziejstwy nagarnionemi na nią ze świata fantazyi jéj ludu, rozmiłowanego w tęsknych dumkach i rozko-

sznych powieściach naniesionych gdzieś od Gangesu, i branemi z téj natury stepowéj nadzwyczaj bujnéj i dziko-swobodnéj, która uroczy tworzyła kontrast z prowincyami wystawionemi na bezpośredniejsze parcie cywilizacyi... Wszyscy kochali Ukrainę i tęsknili do niéj, oczarowani dumkami, szumkami; lecz w powszechności mało kto miał wyobrażenie o téj stronie pod względem dokładnych opisów miejscowości, stanu rolnictwa, przemysłu, towarzyskiego pożycia, obyczaju, a nawet pamiątek historycznych dosyć gęstych. Szczególniéj część Ukrainy leżąca nad Dnieprem, cały ten kąt od Zaboczyna do Kremenczuga, należy do najmniéj znanych, choć może najciekawszych. Te to właśnie strony znalazłem opisane w książce: *Opowiadania i Krajobrazy*, szkice z wędrówek po Ukrainie przez Tadeusza Padalicę *). Autor, jak sam powiada, urodzony w tych stronach, będących sercem Ukrainy, od dawna zajmował się zbieraniem podań i pieśni ludu i studyami historycznemi, odnoszącemi się do miejsc pamiętnych po największéj części bojami staczanemi z Koza-

*) Tomów dwa. Wilno, nakładem Zawadzkiego, 1856.

ctwem i Tatarami, niemniéj krwawym dramatom koliszczyzny. Z takiém przygotowaniem i zaopatrzeniem się w zasoby badań, przy gorącéj miłości dla stron rodzinnych i ludu, z uczuciem poetyczném dla uroczych krajobrazów naddnieprskich, i dla natury jeszcze tak świeżéj i tak ogromnych rozmiarów, mógł on snadno wywiązać się z zadania, i skreślić obrazki i sceny, tchnące życiem i tą prawdą, która pociągając i przywięzując czytelnika, już tém samém daje mu pewność, że autor nie igra z jego dobrą wiarą.

Z sumienną tą pracą przybywa nam jeden ciekawy rys do dziejów naszéj ziemi; zaznajomiamy się bliżéj z tym ludem, który podszczony i prowadzony przez śmiałych swych pół-hetmanów, pół-hersztów, zadał był ciężkie rany rzeczypospolitéj, jakby za karę, że nie miała dość siły i energii zasłaniać mieszkańców tych ziem odległych, przeciw nadużyciom i krzywdom możnych panów, a raczéj ich podwładnych, którzy administrowali dobrami bez żadnéj kontroli, najczęściéj z całą dzikością drapieżnego służalca, wyniesionego z łaski pańskiéj nad równych sobie.

Historyczne pola wielu bitew stoczonych

w tych okolicach, częstokroć mylnie podawane przez naszych kronikarzy, znajdujemy w tym opisie skreślone z taką dokładnością, że czytelnik czuje się przeniesionym na miejsce akcyi; do czego autor posługiwał się ciekawą kroniką Wieliczki, podającą wiele nowych szczegółów, jak niemniéj zwiedzenie miejsc sceny saméj, jeszcze silniéj uobecniło nam te wojenne rapsody, w których jako działające postacie występują Potoccy, Czarniecki, to znów Chmielnicki i zgraja przewódzców rzezi Humańskiéj.

Od szerokiego obrazu bitwy, ważącéj na ostrzu[?]lqsy téj prowincyi, do domowych scen po drewnianych zameczkach gubernatorów, i po futorach, gdzie się przechowywał jaki watażka, wszystko tu się przewija w ożywioném opowiadaniu, pełném miejscowego kolorytu, aż do języka pochwyconego z całą znajomością gminu.

Wszystko tu nowe, urocze, poetyczne i ciekawe — czy posłuchamy co nam z przeszłości opowiada, czy damy ucho uwagom nad obecnym stanem téj części Ukrainy — która, cóż piewcy dumek i szumek na to powiedzą! przeobraziła się w ruchliwy cukierniany warsztat

z smukłymi kominami i szumem machin parowych, powstających w miejscu dawnych zameczków i ostrogów, okurzonych nieraz dymem samopałów i szmigownic, a najczęściéj powiewających sztandarem ogniowéj pożogi...

Osobliwa rzecz! przeszłość historyczna Ukrainy nie zostawiła prawie znaku po sobie: Zameczki budowane z drzewa i z ziemi, spopielone pożarem, wiatr rozwiał,— został tylko gdzieniegdzie okop lub wał... i podanie zapisane w ustach gminu lub kronikach. — Mnostwo zaś kurhanów rozsypanych jak gwiazdy na niebie po całym obszarze tych ziem — Bóg wie do kogo należą, jakich to ludów pomniki, bo to pewna, że rzadka mogiła kryje kości poległych w boju...

Tém większa zasługa autora tych wędrówek po Ukrainie, gdy na téj białéj karcie narysował, ubarwił, ożywił tę rycerską przeszłość, a nadewszystko gdy umiał się wtajemniczyć w dziwy tych romantycznych łąk, borów i sioł, monasterów porozrzucanych w jarach nad brzegami Dniepru, Rosi, Taśminy, i nie odłączając ludu od pejzażu, malować go takim, jakim jest, choć może studyował go

tylko w chwilach jego poetycznéj żadumy, lub rozpasanéj hulanki z nożem i głownią....

Szczegółowego rozbioru téj podróży dawać niepodobna, bo w takim razie trzebaby zatrzymać się nad każdym opisem, każdą sceną lub powiastką, lub rozumowaniem czy historyczném czy ekonomiczném — a zatém wypadałoby powtórzyć w skróceniu całą książkę; coby znowu dało pretext niejednemu do poprzestania na mojéj treści; gdy zaś najszczerzéj pragnę, aby z talentem napisaną książkę jak najwięcéj osób czytało, przeto zatrzymam się tylko na niektórych miejscach, co mię najwięcéj zajęły, lub wywołują spór na polu wyobrażeń i faktów.

Trafne jest postrzeżenie autora, gdy mówi, iż lud nasz nie umie szanować pamiątek historycznych, nawet takich, co się odnoszą do bohatyrów najściślej z nim związanych, czyli najpopularniejszych. Ta myśl przyszła mu na widok Subotowa, téj sławnéj siedziby Bohdana Chmielnickiego, o któréj znaczeniu historyczném żaden chłop nie wie, choć pamięć Chmielniczeńka uwiecznia w pieśni. — Daléj powiada, że na Zachodzie ocalonoby każdą cegiełkę, wystawionoby mu pomnik i t. d.

Niech mi wolno będzie zapytać, czy autor rozumie, że lud na Zachodzie bywa troskliwszy o pamiątki narodowe, niż Ukraiński? — Bardzo wątpię; — trzeba tylko zapytać historyi, aby się przekonać, że w każdym ruchu rewolucyjnym, nie przepuszczał żadnym pamiątkom choć ciosanym z granitu, choć przypominającym mu najlepszych jego dobroczyńców. Prosty lud wszędzie jednakowy; będąc bowiem bierną stroną w dziele cywilizacyi, a zatém nie wyrabiając jéj z siebie, o tyle tylko przyjmuje cywilizacyjne wyobrażenia, o ile mu takowe w większéj lub mniejszéj massie dane są z góry. — Nie wątpić, że i do dziś stałby w Subotowie, czy dom Chmielnickiego, czy jaki posąg poświęcony jego pamięci, gdyby to był bohater narodu — lecz Rzeczpospolita nie miała interesu stawiać posągu — buntownikowi, kiedy go stawiała swemu obrońcy w Tykocinie, gdzie podziśdzień stoi.

Autor troskliwy o przechowanie nam pamiątki po Bohdanie, daje opis Sobotowskiego dworca, podług jakiegoś pisarza małoruskiego, który opisując dom sotnika Czornysza w Woronażu, powiada, że był zbudowany na wzór domu Chmielnickiego. Ciekawy to opis: „Sześć

czeremchowych drzew wyrastało przed oknami hetmańskiego pomieszkania. Opodal stała jabłoń rozłożysta, przy których na trzech dużych lwach spierało się koryto wyciosane z kamienia. W paszczękach tych lwów umocowane były trzy kółka srebrne, do których uwiązywane konie starszyzny wojskowéj, przybywającéj do hetmana, gdy ten szukał wytchnienia w Subotowie. W ścianach domu widniały nizkie staroświeckie okna z okrągłemi szkłami, w dębowe ujęte ramy, zieloną pomałowane farbą. Nad oknami były ulepione z gipsu konie i armaty, ulubione wizerunki Chmielnickiego. Ściany wzmocnione były ogromnemi szkarpami, których szczątki dotąd postrzegać się dają, a na północnéj stronie domu wybiegała do góry zębata wieżyczka z podługowatymi otworami do koła, jak w strzelnicy. Ganek domu wspierał się na dwunastu słupach, i zajmował prawie część trzecią frontowéj ściany. Był on wyłożony z kamienia płytami rzeźbionemi w nieokreślone kwiaty i postacie. Dach tego ganku nie był wyprowadzony w trójkąt jak teraźniejszych ganków, lecz miał fronton w półkole, ozdobione sztukateryą. Na polu frontowém

owego ganku, ulepiony w płaskorzeźbie był niedźwiedź wybierający miód z ula, a z tyłu jego pasiecznik z zamierzoną siekierą.

„Do koła owego wizerunku stał napis: „Co będzie to będzie; a będzie tak, jak Bóg da.“ Sentencya ta była godłem Chmielnickiego, niektórzy zaś pisarze małoruscy utrzymują, iż wyobrażenie niedźwiedzia z pasiecznikiem miało być alluzyą do zajścia Czaplińskiego z Chmielnickim i odebrania ostatniemu futoru z pasieką i młynem na uroczysku Subotowo.“

Padalica Subotów tak kreśli: „Wyraz okolicy tęskny, dziki i zaprawdę oryginalny. Nie przypisujemy bezwzględnie Chmielnickiemu, ażeby w tych hajdamackich jarach wykołysał dumną myśl rokoszu, ale patrząc na te garby, do których przylepiły się szeregiem wieśniacze chaty, na tę tęskną smugę piasku, ścielącą się za rzeką i zakończającą widokrąg; z tyłu zaś na te głębokie paszcze jarów, co niegdyś patrzyły przerażającą ciemnością lasów, przyznać trzeba, iż podobny widok jeźli nie natchnął krwawych zamiarów, to powzięte mógł rozżarzyć i żywić. Nie jest to futor, jakich na Ukrainie tysiące, ani ma z niemi podobieństwo. Ani pól potoczystych, ani kwie-

cistych tu niema gajów. Rybacka to raczéj lub myśliwska sadyba, a nie spokojnego rolnika.“ A jednak ten futorek wartujący niewiele, był pierwszą przyczyną owego wielkiego pożaru, który zapalił Ukrainę i palił ją wiek cały.

Autor słusznie twierdzi, że ani Polacy, ani Rosyanie, ani Małorusini nie mają epoki Chmielnickiego napisanéj bezstronnie. Radzi więc zbierać materyały przygotowawcze; i bardzo słusznie, bo nigdy rozumowania i poglądy nie mogą być trafne, jeżeli się nie oprą na pewnych dokumentach.

Nowe są niektóre szczegóły zebrane przez Padalicę, a jeden mianowicie podany rys w kronice Wieliczki nazwałbym sceną z Szekspirowskiego dramatu, tak ma coś patetycznego. Jestto akt zemsty Bohdana nad Czaplińskim. — Po zwycięztwie żółtowodzkiém, wysłał Chmielnicki do Czechryna oddział kozaków, rozkazawszy im pojmać i przywieść Czaplińskiego. Wpądnięto na zamek o zmroku i wyciągnięto go z łóżka, obito nahajami, a potém odziawszy w prosty kożuch i kazawszy na wieki pożegnać się z żoną, porwano na konia i stawiono przed strasznym mścicie-

lem. Natenczas Chmielnicki w obec więźniów polskich oświadczył, iż z Czaplińskiego przyczyny zaczął wojnę, i za obóz go zaprowadziwszy, ściąć kazał, a jak dodaje Wielczko: „daby wrah mira i pokoju, nie leżał z tymi szlachetnemi trupami, kotoryje z jeho pryczyny, tam, na Żowtojwodże, swoi biedstwenno położyli hołowy.“ Rzecz pewna, iż takie uczucie w początkach tych krwawych wojen odzywać się mogło w Chmielnickim, który sam szlachcic, wychowany na dworach pańskich, żałował; że tak marnie gubi Rzeczpospolitę przez nienawiść dla możnowładzców ukrainnych. W ówczesnych pamiętnikach nieraz napotyka się to jego zdanie; że się czuje być narzędziem do ukarania niesfornéj i butnéj szlachty, odmawiającéj posłuszeństwa własnemu królowi... Winienem wszakże sprostować jedną mylkę w opowiadaniu Padalicy, który ją powtórzył za kroniką Wieliczki, a ta jest, jakoby zamku w Brodach miał być fundatorem któryś Potocki. Następnie, że tenże Potocki oglądając roboty forteczne uważane za niezdobyte, spytał koniuszego swego Chmielnickiego, co myśli o tych wałach i murach? na co zapytany odpowiedział: Co ręka ludzka

zbuduje, taż ręka i zburzyć może! — Odpowiedź ta, jak wiadomo, oburzywszy dumę Potockiego zawiesiła nad głową Bohdana niebezpieczny piorun gniewu; on téż nie czekając aż spadnie umknał na Ukrainę. W podaniu tém, błędem jest pierwsze: bo nie Potocki lecz Stanisław Koniecpolski wystawił zamek Brodzki—po drugie, ta odpowiedź powtórzona we współczesnych relacyach miała być daną Alex. Koniecpolskiemu przez Bohdana przy fortyfikowaniu Kudaku po wycięciu załogi Mariona, a zatém była to jakaś stereotypowa odpowiedź, wzięta zapewne z jakiego obcego historyka dla okrasy stylu.

W ciągu rysów z historyi wojen kozackich, które autor podaje lub z nowych źródeł wyjaśnia, widzimy wszędy chęć dotarcia prawdy, i postawienia faktu w właściwém świetle — z tego téż powodu często stacza utarczki z kronikarzami małoruskimi, którzy jako stojący na bardzo poziomém stanowisku nienawiści i ciemnego fanatyzmu, pletą niestworzone duby o okrucieństwie takiego np. człowieka, jak Żołkiewski. Gdzież się już mieścić będzie rycerska wspaniałość i łagodność, pochodząca z religijnego i światowego wykształcenia, jeżeli

wają nawet w Paryżu... ale nie godzi się włożyć stek głupstw oklepanych w usta szlachty tamtejszéj, dlatego aby uroczéj odbijały poetyczne legendy ludu. Że to rys chybiony, dowód łatwy— bo nikt nie wierzy, aby szlachta ukraińska nie mogła i nie umiała lepiéj mówić, jak tym karczemnym językiem.

Również znalazłem nie dość trafnie i w duchu kościoła wyrażoną myśl Padalicy co do zakładania klasztorów. Ujmuje on się niby za klasztorami przeciw owym, co na Zachodzie usiłują dowieść ich niepotrzebność. A dowód swój popiera tém, że „człowiek skołatany, bez nadziei i szczęścia na tym padole płaczu, nie miałby ustronia, gdzieby się mógł schronić, i odświeżyć w rozmyślaniach samotnych ścieżkę duchowego żywota i zbliżyć się do Stwórcy.“ — Zdaje mi się, że to tylko połowa rzeczy i to mniejsza, bo większą połową a właściwie celem klasztorów było poświęcenie się ludzi niekoniecznie złamanych i startych przez świat i nieszczęścia, ale świeżych czuciem i umysłem, na służbę i chwalenie Boga.—Rzecz pewna, że ta myśl oddania żywota Bogu na chwałę, jak to i dziś jeszcze trafia się, gdy nieraz młode osoby najszczęśliwsze w ży-

ciu, zamykają się w klasztorze—niełatwo mieści się w nowożytnych rozumach, czemu dziwić się nie można, kiedy i sam Napoleon, który wszystko na świecie rozumiał—był zupełnie ciemnym w téj kwestyi, jak przekonywa rozmowa jego z przeorem Karmelitów w Głębokiem na Litwie:

— Czy bogaty wasz konwent? — zapytał Cesarz.

— Mamy do tysiąca dymów — odparł przeor.

— *C'est trop* — a czémże się zatrudniacie?

— Boga chwalimy.

— *C'est peu....*

Odpowiedź na pierwsze mogła być sprawiedliwą—na drugie tylko dowcipną...—Jakkolwiek niezupełnie zgadzam się w niektórych rzeczach z autorem podróży, mimo tego z niecierpliwością wyglądam dalszych tomów, przynoszących ze sobą tchnienie stepowe i woń ukraińskich sadów.....

VI.

CHARAKTER POEZYI UKRAIŃSKIÉJ I POEMATA

Alexandra Grozy.

Przejście z jednego ciągu wyobrażeń i form, do nowych form i wyobrażeń, odbywa się zazwyczaj niepostrzeżenie, przynajmniéj dla współczesnych; następcom dopiero zostawione jest, kiedy się już uwydatniły rysy przeobrażenia, ogarniać całość, i pokazywać cały ten proces duchowy.

Jak w świecie społeczeńskim, tak i w literaturze, która zawsze bywa jego wyrazem, przechodzą takie epoki, w których myśl ludzka wyzuwa się z dawnych szat swoich, porzuca koła pewnych wyobrażeń, a nowe przyjmuje.

Początek ten bywa zazwyczaj bardzo nieznaczny, zwłaszcza jeżeli niebo nie zesłało osobliwego geniusza, żeby odrazu to zrobił i tam stanął, do czego tylko powolna dojść może czynność.

W przemianach i przeobrażeniach przez jakie u nas przechodziła ostatniemi czasy poezya, ten śmiały harcownik myśli i uczuć ludzkich, — możnaby cofnąć się jeszcze w wiek Stanisława Augusta, i tam znaleźć już ślady tego przełomu z wyobrażeń ogólnych, snutych z ducha całości Rzeczypospolitéj, do cząstkowych, oddających ściśléj i wieczniéj te pojęcia i uczucia, jakie się bardziéj godziły z indywidualnościami i miejscowościami.

Karpińskiego tkliwa prostota zbliżając go do natury sielskiéj, któréj umiał pochwycić rysy i tony, zbliżała go tém samém do człowieka, uważanego nie jako cząstkę ludzkości lub państwa, ale do człowieka z własnościami jego plemiennemi, obyczajowemi, miejscowemi.

Bogusławski w Krakowiakach i Góralach, słabéj produkcyi pod względem sztuki, pierwszy raz otwiera oczy na fizyonomię człowieka, na typ jego prowincyonalny; lecz nie bę-

dąc jeszcze panem dostatecznych studyów, ratuje się kontrastami wydobytemi zestawienia obok siebie dwóch odrębnych prowincyonalizmów.

Ten pierwszy krok objawiony w formie dramatycznéj, nie miał wprawdzie tego natychmiastowego wpływu, jakiego spodziewać się należało, ale zawsze zasługuje na miejsce w dzisiejszym ciągu rozwijania się naszéj poezyi.

To jednak pewna, iź rodzaj sielankowy był jednym z tych, co nas najbardziéj zbliżał do studyów z natury; kiedy bowiem coraz bardziéj wietrzały motywa złożone w Teokrycie, Wirgilim, Gesnerze i t. d. tém ucho skłonniejszém się czuło do łowienia rodzinnych dźwięków.

Reklewski w swoich pieniach wiejskich, lubo chodzi jeszcze w pętach wszystkich reminiscencyi klassycznych, jednakowoż w kilku sielankach i piosenkach natrafia na złotą żyłę rodzinnéj poezyi. Ta jego sielanka: Krakowiaki, jakże różna od współczesnych mu wierszy!

Przyjechały z obcéj wsi parobeczki hoże,
Wprowadzili koniki na nasze podworze;
Jeden z nich przed okienkiem w podkóweczki krzesze,
Kiedy Kasia w komorze czarny warkocz czesze,
Proszą ojca i matki, by córce kazali
Wyjść z komory. Ojcowie córkę zawołali i t. d.

Tu już się spotykają rysy, na które poeta mógł patrzeć własném okiem; był przeto malarzem tego co widział i czuł; nie zaś powtarzaczem tego, co inni widzieli i czuli. Brodzińskiego Wiesław jest niejako dalszym ciągiem téj Reklewskiego piosenki, bogatszy tylko ruchem, barwami, całością opiewanego świata.

Po téj skazanéj drodze, źrenice piewców naszych coraz zapuszczały się głębiéj w cząstkowe życie niektórych prowincyj, osobliwie tych, gdzie fantazya ludu była bujniejszą lub poetyczniejszą, gdzie obyczaj nosił cechy niestarte jeszcze monotonnością cywilizacyi, słowem, gdzie znaleźć było można niezużyte motywa, a zatém pewną oryginalność treści i formy. Rzecz prosta, kto się urodził, lub długo przebywał w jakiéj stronie, tém lepiéj ją mógł znać i wystudyować, a nadewszystko kochać ją tą miłością, jaką dziecię po matce, uczuwa dla swojéj karmicielki i piastunki. Ile sobie

są na wierze, czyli jak dziś mówimy, na zabobonie gminu oparte.

Słowem piewcy z innych ziem naszych nie mają tak wybitnéj i odrębnéj cechy, jak ukraińscy — a mieć ojczyznę poetyczną, jest już połową wygranéj dla poety. W chwilach obecnych, kiedy się tak zacierają wszelkie różnice obyczaju, ubioru, języka, kiedy przesąd ucieka z swoją fantastycznością przed zdobyczami przemysłu i trzeźwą filozofią dzienników, kiedy niebawem szyna żelaznéj kolei przekreśli jednym pociągiem każdą osobliwość i szorstkość miejscowego kolorytu, aby wszyscy i wszystko było podobne do siebie i do niczego, możnaż się dziwić lub przyganiać tym, co pokochali jaki zakątek ziemi świeży jeszcze, pełen pierwotnych charakterów i rysów oryginalnych, i opiewając jego dziwy w ludziach i naturze, przechowali to w pieśni, co prędzéj lub późniéj zniknąć ma bezpowrotnie.

Oprócz tego ta zwana tak, *powiatowszczyzna*, przyczyniła wiele świeżości naszéj literaturze, rozprzestrzeniła poznanie własności miejscowych, słowem uwiła z kwiatów różnéj woni i barwy jeden wspaniały wieniec, nieli-

cząc, ile się język nasz wzbogacił temi prowincyonalnemi sposobami mówienia i wyrazami, bez których nie podobna było oddać charakteru człowieka, ani okolicy, zwłaszcza jeżeli okolica i jéj człowiek miały charakter odrębny od owéj politury cywilizacyjnéj ścierającéj wszelkie rysy, jak na zdawkowéj monecie.

Ta droga, którą poszli nasi piewcy zamykający się w drobniejsze światy różnych zakątków, była konieczną z saméj natury rzeczy. — Na szerokiéj scenie ogarniającéj ogół nie było co robić, chyba ronić treny Jeremiaszowe — lecz za to można było wzbijać się skowronkiem z pól swojéj zagrody, aby chórem zgodnego śpiewu łączyć się ponad chmurami... To właśnie nadało tyle rozmaitości poetycznym głosom, tyle nowych motywów dostarczało poezyi, że odtąd można powiedzieć, stempel prawdziwéj oryginalności wycisnął się na utworach muzy. Bez wyjątku piewcy ci byli zazwyczaj powiatowymi w formie, treścią zaś należeli do ogółu — dla tego mogli przemówić do wszystkich serc z głębi tych stepowisk, skał lub ciemnych lasów, gdzie się tuliła ich gęśla, i zkąd rozsyłali w najdalsze strony

dźwięki swoje przejęte zadumczywą swobodą kozaczych stepów i jarów; tajemniczością przedpotopowych puszcz co wychowały równie tajemniczych a głębokich potomków palemońskich; lub tém powietrzem górskiém co nie upaja, ale trzeźwi do dziarskości. — Trzeba i to zauważać, iż rozumiejąc zadanie literatury narodu, nie rzucili się w śmieszną wyjątkowość pisania swych tworów, w jakiem narzeczu powiatowém; i bardzo słusznie; wtenczas bowiem nierozumianoby ich i nie czytano, tylko w ich powiecie. Co ma ożyć i mieć rozgłos musi koniecznie pozbyć się zaściankowéj wyłączności; a właśnie języki narodów są temi kanałami co prowadzą do ogólnego morza ludzkości.

Zatrzymałem się nad tém przydłużéj, widząc potrzebę wyjaśnienia tego zwrotu poezyi, który nietylko był naturalnym, ale i koniecznym.

Ukraina, ta najbujniejsza ziemia, przechowała w sobie tyle motywów do poezyi, w dumkach, podaniach, klechdach, legendach, w historyi saméj, że dosyć umieć je zebrać i jako tako ułożyć, aby zyskać już jakiś tytuł do nazwiska poety. W kopalniach Kalifornii lub

Australii, każdy może być bogaczem, jeśli ma szczęście znaleść bryłę złota; ależ ta bryła w ręku jakiego Celliniego stanie się przedmiotem podziwu kunsztmistrza, lub koronną ozdobą. — Obfitość poetycznych kopalń na Ukrainie tłómaczy nam przyczynę, dla któréj tylu je wyzyskiwało, że aż kompanii wyzyskującéj chciano nadać nazwisko szkoły.

Alexander Groza twórca poematu: *Starosta Kaniowski* policzyć się jeszcze może do tych pierwszych zdobywców ukrainnego świata, gdzie chorągiew swéj sławy zatknęli najpierwéj: Bohdan, Malczewski i Goszczyński.

Poemat ten ogłoszony przed kilkunastą laty, z różnemi odmianami i poprawami, wyszedł podobnoś w trzeciém wydaniu w zbiorze jego utworów poetycznych pod ogólnym tytułem: Powieści ludu i Dumy *).

Mikołaj Potocki Starosta Kaniowski nadzwyczaj popularna u nas figura, główną gra rolę w poemacie A. Grozy. Z jego dziwactw, okrucieństw, szaleństw, gwałtów, a nawet pokuty, żyjących dotąd w podaniach i pieśniach

*) Tom I. Warszawa w Drukarni Gazety Codziennéj.

ruskiego ludu, miała się złożyć poetyczna całość.

Wybór tego przedmiotu tak epicznego w pewnym względzie, jak mało który przedmiot, dowodził w poecie bardzo szczęśliwego instynktu. Bo jakże mało mamy podobnych szlacheckich, a zatém półhistorycznych postaci, coby nieprzestały żyć w pamięci gminu, coby dotąd odbierały cześć jaka się tylko wielkim bohatyrom, lub dobroczyńcom ludzkości należy. Starosta Kaniowski do dziś ją odbiera w podziemnych sklepach poczajowskiego klasztoru, gdzie ciało jego spoczywa gęstemi obsypywane pocałunkami ludu cisnącego się processionaliter do oddania hołdu butom fundatora. Ten osobliwy rys z psychologii gminu ogromnym jest argumentem dającym wymowne świadectwo na korzyść stanu rządzącego w dawnéj rzeczypospolitéj, jeżeli taki okrótnik, gwałtownik, tyran swoich poddanych, banita nakoniec z pod wszelkiéj praw opieki wyjęty, jakim był starosta Kaniowski, doznaje podobnéj czci po śmierci, a taką pamięć zostawia w pieśniach i powieściach gminnych, tedy czegóż to dowodzi? — Oto, że odwieczny stosunek panującego stanu do ludu

musiał być nadzwyczaj lekki, niedotykający, z wyobrażeniami i obyczajem patryarchalnym zgodny — kiedy próżnobyś dziś szukał w pamięci, i pieśniach gminu, jakichkolwiek podań żywo przypominających nietylko historyczne postacie, ale nawet zdarzenia co głęboko krajem wstrząsały; jeżeli zaś są jakie wzmianki, to tak słabe i tak zamącone, że z nich nie wiele objaśnić się można; przeciwnie pamięć Kaniowskiego żywą jest i pod różnemi przechowana formami. Fenomen ten psychyczny odsłania tę smutną stronę, że kiedy nazwiska cnotliwych dobroczyńców zacierają się u gminu, pamięć okrótnika staje się popularną, jak niepożyty monument. Słusznie téż powiedział jakiś mędrzec, że najcnotliwsze narody mają najnudniejszą historyę, czyli pozbawioną romansowo-traicznych scen; co wcale nie mówi na korzyść n. p. takiéj Rzpltéj weneckiéj, o któréj Byron wyrzekł: że się historya jéj czyta jakby najciekawszy romans.

Ależ wracam do Starosty Kaniowskiego w poemacie A. Grozy. — Utwor ten dość trudnym jest do streszczenia. Jak rzeka dzieląca się na kilka ramion, wprawia w niepewność żeglarza, gdzie jest jéj główne koryto, tak i

w tym poemacie tyle jest epizodów, słabo połączonych ze sobą, że czytelnik pragnący sobie zdać sprawę z całości, musi dopiero robić w swéj myśli porządek, aby na główny epizod natrafił.

Starosta chował na swoim dworze dwa brytany jak mówi poeta: Arona żyda i Ukraińca Szulaka; tego ostatniego tak maluje:

... chłop nad inne chłopy
W baraniéj czapce kiedy wchodził na krużganek,
Zdało się, że prześcignie pałacowe stropy:
Czupryna podgolona, niby czarny wianek
Z kruczych piór upleciony, po głowie pływała:
Twarz na stepowym wietrze, słońcu ogorzała;
Brew łukiem napisana, a rzęs dwa półcienie
Przygasły, ognistych dwojga ócz wejrzenie;
Serce dzikie, a wierne na pańskie rozkazy
Pójdzie w piekło, a jeźli zwycięsko nie wróci,
Nie odstąpi chorągwi i szabli nie rzuci...

Taki przymiot swego brytana umiał starosta ocenić, bo go hojnie obdarzył sześcią futorami i trzosem złota, co obudziło zazdrość w drugim brytanie, Aronie, który poprzysiągł zgubić Szulaka, aby sam tylko mógł zbierać owoce hojności pańskiéj. — Jakoż podmawia Starostę, który był w złym humorze na polo-

waniu, aby babie idącéj przez las kazał wyleść na drzewo i kukać, powiadając, że to czarownica. — Baba wylazła, zakukała, a starosta palnął z rusznicy i zabił... Była to ciotka Szulaka...

Innym razem przychodzi chłopskie wesele do dworu, opisane z całą świetnością wesel ukraińskich — panna młoda przecudnéj urody, Hanna, zwraca na siebie pożądliwe wejrzenia starosty, który knując jakiś zamiar podsuniony mu przez Arona, zaprasza zwykłym obyczajem weselnych gości do zamku, każe lać miód wino, a sam siwobrodego ojca Hanny, strzegącego dziewczęcia jak źrenicy, stara się zagadać na boku i upoić... Starzec wpadłszy na dawne wspomnienia, dopiero postrzegł się, że Starosty przy nim nie było — ale i Hanna znikła także z koła tanecznic... Biedny ojciec uczuł cios — i oszalał...

Tymczasem Hanna przy pomocy Szulaka umkła szponów Starosty... ale gdzież tu się skryć przed takim mocarzem:

Kaniowski był bogaty—wszyscy mu się gieli;
Kaniowski był okrutny—wszyscy przed nim drzeli.
Szlachic choć z swojém veto, z drogi ustępował,
A cóż chłopek, co w równi z bydłem się łachował?

I któżby przyjął Hannę do swojego dachu
I chował ją bezpiecznie i sam żył bez strachu?

Zresztą:

Kiedy ptak ptaka, zwierza zwierz niezdradzi,
Człek lepszy od nich: wroga na człeka sprowadzi,
Za kawał chleba, gorzéj, za blaszkę, co świeci
Przeda krew swego brata, przeda własnych dzieci!..

Gdzież tu się schronić chyba między dzikie, puste skały nad brzegiem Tykieru...

Opis jéj pobytu śród tych skał, gdzie znalazła chatkę bielutką i towarzystwo fantastycznéj istoty Rusałki Mokryny co wygląda niby utwór rozbujanéj wyobraźni naszéj samotnicy — gdzie wreszcie Szulak ją nawiedza ukradkiem rozkochuje sie i bierze za żonę — zgoła opis miejsc i zjawisk nadprzyrodzonych, jest najoryginalniejszą częścią tego poematu. Są tu rzeczy pierwszy raz wprowadzone i podsłuchane w naturze uchem naszego gminu, który umie i widzieć i słyszeć innêm okiem i uchem jak nasze. Nieledwo najszczęśliwszém jestto miejsce, gdzie Hanna siedząca w zadumaniu nad brzegiem, patrzyła w głębię rzeki,

a rzeka gorzała
Żywym ogniem miesiąca, a nad skałą skała
W półświetle i półcieniu mnożyła postacie
To piekielnych mieszkańców, to niebieskich braci.

Wtém zaczęły się fale burzyć, piętrzyć, aż oku jéj odkryło się tajemnicze dno podwodne.

A na dnie tém, jak okiem rzucisz, same dziwy:
Srebrne liście rozwieszał jakiś las sędziwy,
Dziwny las, dziwne liście; podobne mu wzory
Zima w oknach maluje; tęcza swe kolory,
Róża ognie po jego konarach rozlała;
I las kwitł, błyszczał, świecił. Nad lasem pałała
Jak łuna od pożaru głowa jakiéjś wieży,
Jak druga Ławra, cała w złocistéj odzieży,
A pod nią ściany z lodu, a nie z żywéj wody,
Szumią, grają, lecz w sobie ściosane jak lody.
W tych ścianach wszelka ryba swobodnie przepływa,
Wiją się wodne węże, koral odpoczywa,
Drzemią muszle, a wszystko w tym pięknym nieładzie,
Jaki ręka uczona naumyślnie kładzie.
Sto gładkich kolumn, raczéj sto fontan przejrzystych,
Biło w wiecznym porządku do stropów złocistych;
A w tych wszystkich kolumnach, jako pod szkłem kwiecie,
Stały dziewice w całym gdzieś szukane świecie,
Cudowne swojém licem, postacią i okiem,
Ale wszystkie dziewice gasiła urokiem

Jedna, snadź ich królowa; na poklask jéj dłoni
Każda fontanna swoję dziewicę wyroni;
Fontanny swą koleją biją w złote stropy,
A dziewice lekkiemi przelatują stopy
Czarowne ściany zamku i gałęzie lasu:
Już pląsają po wałach wodnego tarasu,
Już na skale, już Hannę otoczyły wkoło,
Wzięły ją jak niemowlę, i nucąc wesoło,
I pląsając poniosły do swojéj królowéj,
Kędy on pyszny Zamek wodno-kryształowy.

Otóż widzimy Hannę w kole Rusałek w otoczeniu dziwami świata czarodziejskiego. — Staruszka Mokryna zmienia się w prześliczną krasawicę i mówi do niéj:

Zostań się z nami siostro! będziem cię kochali
Jak swą siostrę rodzoną, jak kochamy siebie.
Zostań z nami siostro! Nie będzie ci w niebie
Tak dobrze i tak miło, jak tu między nami!..

Takim zaklęciom możeby i nie oparła się Hanna, ale te czarodziejki chcą, żeby zrzuciła święcone blaszki, ten krzyżyk z błogosławieństwem od matki — lecz Hanna przyciska je do piersi i widziadła znikają. — Drugi raz doświadcza podobnych omamień nie nad wodą ale w zbożu na łanie.

Wśród stepu, jak las jaki różne zboża rosły:
Złoty jęczmień, pszenica, srebrne kłosy żyta,
Hreczka z dziewic rumieńcem, płowa prosa kita:
Z tych zbóż dziwny zamek podniósł się do góry:
Za dach go swemi ptastwo przysłoniło pióry,
I dach był jak kobierzec w różne wzory tkany,
Słomiane szczerém złotem świeciły się ściany:
I dach i ściany zda się, że w powietrzu wiszą,
Lada wiatru powiewy precz je rozkołyszą,
A jednak stoją; trzeba, to słońca promienie
Leją się doń ryczałtem; trzeba, to znów cienie,
Co najgłębsze padają; trzeba, wiatr przelata,
Trzeba, to tylko w ściany daremnie kołata.

W czarodziejskim tym pałacu rój motylów przemienia się w najpiękniejsze dziewice — także Rusałki—bo w wyobraźni ukraińskiego ludu widzieć je można pląsające i po wód powierzchni, i po kłosach łanów.

Ustępy gdzie Hannę widzimy w zbliżeniu z tym światem mytycznym, a co więcéj w walce z ponętnemi pokusami — są najszacowniejszą częścią tego utworu, który zawsze będzie należał do czystych klejnotów naszéj poezyi.

W dalszym ciągu treści, którą zamierzyłem skreślić, jest kilka jeszcze wybornych rysów, mianowicie, kiedy ten stary ojciec Hanny, co to oszalał po stracie córki tak nawet, że

jéj nie może poznać, kiedy mu ją tajemnie pokazuje Szulak; otóż kiedy ten stary ojciec ciągle w przekonaniu, iż jego córka zostaje w zamku starosty, zawołuje cieślów, sypie im hojnie pieniędzmi i każe budować cerkiew, a przy cerkwi tak wysoką dzwonnicę, żeby mógł zajrzeć do komnat pańskich, bo tam pewnie obaczy swoje dziecię... I obaczył ją—bo sam niechcący zdradził się przed Aronem, opowiadając jak Szulak woził go do Hanny, ale to— mówił—nie była Hanna, tylko czarownica, bo Hanna na zamku starosty.... Wyszpiegowano więc jéj kryjówkę — Hannę przyprowadzono na zamek, a gdy ją Aron podmawia i uspokaja, aby się nie przeciwiała staroście, wpada Szulak i przebija go nożem. — Za tę zbrodnię wtrącono go do więzienia; wtém Hanna uciekła ze swego zamknięcia—Szulaka ścięto, Hannę złapano i starosta usłyszawszy od niéj, że go nigdy kochać nie będzie, przestrzelił ją z łuku... Nabroiwszy tyle, skończył dni swoje na pokucie w poczajowskim klasztorze.

Z opowiadania tego widzi czytelnik ile tu zawikłania wcale niepotrzebnego. Mógł był poeta uprościć osnowę, a tém samém zachować piękną całość; tym sposobem i pojedyń-

cze charaktery odmalowałyby się wyraziściéj, a figury stanęłyby na nogach; w składzie jaki nadał swéj powieści jeszcze bardziéj mąci się tok opowiadania przez namnożenie epizodycznych anegdot o Kaniowskim, jak o tym zajeździe Żywotowa, o zabiciu Łużyńskiego i o tym kwestarzu Bernardynie. — Sąto kawałki bardzo ładne, ale tak męczące uwagę czytelnika, że to właśnie mi tłumaczy, dlaczego poemat ten nie zyskał téj wziętości na jaką zasługiwał. — Lekceważenie kompozycyi, nieujęcie całości w misterny ład, prowadzi zawsze do tego, że często w tym nieporządku, najpiękniejsze perły gasną... Romantyzm źle zrozumiany narobił téj szkody rujnując zasadę architektoniki w głównych pomysłach.

Starosta Kaniowski jest najlepszym bez wątpienia utworem w rzędzie prac poetycznych Alexandra Grozy; inne, będące w świeżo wydanym zbiorze osnute są na podaniach i klechdach gminu; rozwlekłość w opowiadaniu, widoczna sztuka, a ztąd brak prostoty, która stanowi najgłówniejszą wartość płodów gminnych, nie robi je tak ponętnemi, aby je każdy znał i powtarzał. — Tutaj przychodzi mi jeszcze i ta uwaga doświadczeniem nabyta, iż

utwory na tle podań gminu osnute, jeżeli tylko są dla siebie, a raczéj, jeżeli ściśle zamykają się w granicach świata, z którego wzięte, budzą bardzo słaby interes w czytelnikach, czyli po prostu nudzą — przeciwnie zlane z życiem historyczném, rzeczywistem, lub wplatane w dzisiejszą rzeczywistość, nabierają daleko więcéj poetycznego uroku. Dla téj przyczyny poeta wielkie motywa gminne powinien uważać za surowy materyał, a nie za jakiś wzór nietykalny, któremuby się poddał i w nim zamknął. — Był czas, że u nas pieśń gmina, klechda, podanie — detronizowały cywilizacyjne arcydzieła literatur świata — była w tém przesada, dla tego prędko skończyła się, a w zysku zostało nam bliższe poznanie tego żywiołu gminnego, w którym natchnienie i sztuka ojczysta skąpały się jak w odmładzającym zdroju wróżek.

Alexander Groza w najnowszym swoim poemacie *Trzy Palmy* *) pożegnał swój świat gminno-ukrainny, a uniósł się skrzydłami poetycznego natchnienia na pokrewne stepom pustynie Arabii, gdzie nie będąc panem miej-

*) Trzy palmy (powieść ze wschodu) Alexandra Grozy. Wilno, nakładem Zawadzkiego 1857.

scowości, czyli jak nazywają: kolorytu z pierwszéj ręki, co u pewnych estetyków najważniejszym bywa warunkiem każdéj kompozycyi — mógł zawsze zostać panem kreacyi, jaką mu się podobało na tém tle wschodu osadzić. Postawił się on na tym samym punkcie co i Lord Byron, który twory swéj poetycznéj fantazyi bardzo mało spowinowacone ze wschodem, rzucał na spoetyzowane skały wysp archipelagu, lub góry Albanii. — Nie potrzeba powiadać jaki byłby rezultat, gdyby opisy jego i excentryczne postacie chciano kontrolować z rzeczywistością, czyli z kolorytem miejscowym co do ducha mieszkańców i obyczaju ich życia. Podobnież i *Trzy palmy*, utwór fantazyi europejskiéj nie miał pretensyi rywalizować z pomysłem i kolorytem, którego z rdzennych poetów Hamary lub Modlakatu, tylko po prostu myśl rodzinną, chrześciańską rzucił jak wygnankę między niewiernych i wyśpiewał męczeńskie jéj dzieje.

Krótka treść pozna nas z osnową poematu. Zdobywczy Turek opanował Damaszek i Jerozolimę i poosadzał srogich satrapów na tych stolicach. Wszystko ugięło czoła — jedne tylko orły pustyni, Arabowie, opierali się

zwycięzcom pod wodzem swoim Izmaelem. — Aleć mostalem Jerozolimski, najtwardszy z ciemięzców, obskoczył go fortelem i napoły umarłego wziął jeńcem. Nie mogąc nasycić zemsty swéj na konającym, każe przywołać swego lekarza starca Eben-Tyma i rozkazuje mu, aby sztuką jaką włada, przywołał go do życia. Stambulski bowiem padysza potrzebuje głowy jeńca, inaczéj córkę jego, o któréj wie, że piękna jak huryska, weźmie do haremu, a głowę starca na haku osadzi. Eben-Tym przysiągł tyranowi na imie Chrystusa.

Że człeka — swojéj pieczy zwierzonego
Będzie pilnował jak oka własnego.

Siwobrody i wielkiéj doznający powagi Eben-Tym, postać to tajemnicza. Przed wielą laty o pielgrzymim kosturze przywlókł się do Jerozolimy.

Eben-Tym ojców porzuciwszy ziemię,
Przyniósł tu z sobą ciężkie smutków brzemię,
Lecz gdy się przeszedł po tych świętych górach,
Smutek na lekkich pierzchnął sobie piórach,
A myślom taka wróciła pogoda,
Jak to królewskiéj strugi jasna woda.
Kiedy ci serce srogi cios zakrwawi,
A wróg wszystkiego, wszystkiego pozbawi,

Człowiecze! spiesz się w te cudowne strony,
Gdzie każdy kamień świętą krwią skropiony,
Gdzie zbrodni ludzkich dosiągnęła miara,
Gdzie się najświętsza spełniła ofiara.
Duma twych zasług strasznie się poniża,
Obok zasługi Zbawcy, króla-krzyża;
Czém utrapienia, ciernie twojéj głowy,
Obok Chrystusa korony cierniowéj?!
Sèrce, co chciało ogarnąć świat cały,
Przebija żołdak, głupi, a zuchwały;
Czémże twe serce, obok tego serca?
Przy tym mordercy, czémże twój morderca?

Jestto najwznioślejsze miejsce poematu; poeta jakże ślicznie, jak prawdziwie pochwycił ten pęd wewnętrzny, jaki prowadzi dzisiejszych pielgrzymów do pomodlenia się na gruzach Solimy, gdzie się doskonała większa ofiara nad wszystkie ofiary, większe cierpienie nad wszystkie męki. — Rozpamiętywanie tego aktu, w miejscach gdzie się spełnił, i odniesienie go do własnych zmartwień i boleści — nie przestanie być wiecznie żywem balsamem dusz chrześciańskich.

Bardzo szczęśliwie zrobił poeta zawiązek téj walki między okrutnym Mostalemem pragnącym ocalenia swego jeńca, aby się nad nim pastwił, a Eben-Tymem, któremu rozkaz

władcy każe także przywrócić go do życia, a uczucie Chrześciańskie ocalić, choćby z ofiarą własnego życia.

To samo wystarczyłoby już do zrobienia téj walki dramatycznie interesującą; ileż tu analogii między położeniem tego wodza Arabów, a Josem Eben-Tyma lub jego współbraci! Poeta chciał jednak jeszcze bardziéj urozmaicić swoją powieść wprowadzając sprężynę miłości. Eben-Tym ma córkę Maryę, która równo z swym ojcem pielęgnuje jeńca.

Skroń Izmaela ogniem rozgorzałą
Marya dotknęła raz swą rączką białą;
Zgasł ogień w skroni; lecz w dziewiczém łonie
Zajął się pożar i ciągle w niem płonie.

Dwa te młode serca pokochały się miłością. Izmael opowiadał dzieje swobodnego i wojennego życia beduinów na pustyni; Eben-Tym smutne dzieje swojéj ziemi — uczucia układały się w równowagę, a na tém tle i w wyobrażeniach młodego jeńca odbywała sie przemiana, kiedy posłyszał z ust starca:

...że nie wszystkie żyły
Ludy rozbojem; że szczęście człowiecze
Nie idzie na świat przez krew i przez miecze.

Albowiem Bóg miłości nieograniczonéj zesłał swego syna w ludzkiéj postaci, aby zmienił życie zwierzęce między ludźmi;

A że król niebios do ziemi się zniża.
Człek go do niebios podniósł w mękach krzyża;
I złożył w grobie, przywalił kamieniem;
Grobowy kamień odstał bożem tchnieniem,
Wszedł Bóg w niebiosa, na ziemi została
Jego nauka... wiekuista chwała.

Tymczasem szpiegi Mostalema zaglądają do domku starego lekarza — chwila rozstrzygajaca los jeńca zbliża się. Eben-Tym odkrywa mu zamiary Mostalema względem jego osoby i każe uciekać; lecz szlachetny beduin nie zezwala na to, aby dwie opiekuńcze głowy padły ofiarą zemsty za jego ucieczkę. — Nie pozostaje nic innego jak wszystkim trojgu uchodzić na puszczę. Uchodzą więc; — przy krynicy Najświętszéj Panny, Izmael chrzest przyjmuje — Eben-Tym powierza mu Maryę i znajduje im kryjówkę śród skał, a sam wraca do miasta, aby przysposobić wielbłądy do odprawienia drogi przez pustynię. — Kiedy Marya wygląda powrotu Ojca przychodzi stary Dawid, żyd z tych okolic co i jéj ojciec, i

i równie jak on szukający ostatniéj pociechy na gruzach Syonu — od niego dowiaduje się, że widział, jak zbiry Mostalemowe porwali Eben-Tyma i jak ten posłał go z rozkazem do Maryi i Izmaela, aby czémprędzéj uchodzili z tych miejsc okropnych. — Idą więc skwarnemi pustyniami i odmlewając na siłach dostają się do oazy, gdzie padają prawie bez ducha, choć był i orzeźwiający cień i źródło żywéj wody. Na szczęście ich koczujący pasterze znajdują ich i poznają w Izmaelu swego Szejka, którego mieli już za straconego, a z którym runęła potęga pustyń. Jakaż to radość w taborze, kiedy wraca wódz pokolenia! — Lecz nie podzielać mu ani jego Maryi tych oznak wesela, dopóki Eben-Tym zostaje w mocy tyrana. Gotuje się więc nowa wyprawa Beduińskich pokoleń przeciw Mostalemowi — a choć złowieszcze znaki ostrzegają o niebezpieczeństwach wyprawy, Izmael nie daje się odwieść — postępuje pod mur Jerozolimy i widzi wszędzie gotowość obrony — w tém staje przed nim pasterz i powiada: źleś obrał godzinę zemsty: Mostalem ostrzeżony zgromadził siły wszystkich Baszów, i nieodbijesz już ojca Eben-Tyma, bo oto głowę jego ściętą,

wykupiłem za złoto i tobie daję w smutnym podarunku. Żałosny był powrót Izmaela na pustynne koczowisko — ale okropniejszy cios go ugodził: Marya nie przeżyła ojca! Zgasła, zabita przeczuciem tego, co jéj ojca spotkało! Izmael w chwili, gdy przed następującym nieprzyjacielem obóz Beduiński zwijał namioty i uchodził — nieodstąpił mogiły swéj Maryi i sam został — na szczęście dla jego boleści zerwał się uragan, podniósł morze piasków w powietrze.

I, co grób zlewał ognistemi łzami,
Izmael zniknął pod piasku falami.

Trzy zielone palmy wyrosły nad mogiłą piasków, jak trzy sztandary: nadzieji, pokoju, chwały, o nich dotąd śpiewa pieśń Beduińska.

Taką jest treść tego poematu; kompozycya pod wielu względami bardzo szczęśliwa; pod koniec jednak bohater Izmael wcale niepoetycznie rejteruje z pod Jerozolimy; chrześciaństwo przecież niepozbawia rycerskiego ducha? Należało mu tam zginąć, ale nie płakać na grobie kochanki. Mimo tego, całość dobrze ujęta — brak w niéj jednak, téj czytości rysunku, téj precyzyi słowa, a nade-

wszystko téj plastyki, co każdą postać, każdy jéj ruch tak uwydatnia mistrzowsko, iż myśl czytelnika nie męczy się i od razu oryentuje, ogarnia, i tak przyswaja sobie działające osoby i sceny, że się z niemi już nigdy rozłączyć nie może. Mniemam, że sam styl nieco amfiguryczny, sam sposób opowiadania wyforsowany liryzmem, i nie wszędzie szczęśliwy wiersz, nie pozwoliły się pokazać tym wszystkim naturalnym pięknościom, jakie poeta rozlał w swojéj pieśni hojną ręką; ztąd nie będzie nas dziwić, jeżeli poemat ten nie zrobi takiego wrażenia, jakie robią powiastki mierne co do głównego pomysłu i układu, a szczęśliwe i wdzięczne co do sposobu jakim są oddane. W potoczném życiu bywa toż samo: lada fraszka dobrze opowiedziana, zyskuje słuchaczy; kiedy nieraz zdarzenie, mogące wzruszyć do łez lub zaciekawić najobojętniejszych — z mniejszym talentem opowiedziane, napełnia słuchaczy znużeniem.

VII.

PRZEJŚCIE Z CYWILIZACYI STAROPOLSKIÉJ DO NOWOCZESNÉJ. — PAMIĘTNIKI EWY FELIŃSKIÉJ.

Nie należę do liczby tych, co utrzymują, że tylko to można dobrze pojmować i trafnie malować, na co się własnemi oczyma patrzało, lub czego doświadczało się w życiu. Aby opisać burzę, rozbicie się okrętu, bitwę, niekoniecznie trzeba było walczyć z falami rozhukanego morza, lub z bagnetem uderzać na nieprzyjacielskie szyki; dość bowiem widzieć z brzegu szalejącą falę, albo przypatrywać się niekrwawéj rewii, a resztę już na tém tle może dopełnić wszystko ożywiające uczucie i wyobraźnia. Podobnież ażeby wytłumaczyć serce

człowieka, jego uniesienia i upadki, potrzebaż samemu ulegać wszystkim porywom namiętności?

Zdaje mi się, że dosyć jest pojmować to uczuciem, widzieć i badać.

Jednakowoż i to pewna, że kiedy sam człowiek przechodził różne koleje życia, doświadczał wielkich nieszczęść lub niebezpieczeństw, natenczas przy talencie przedstawienia ich, potrafi obrazowi swemu nadać i więcéj prawdy i więcéj naturalności.

Dla téj saméj przyczyny i osoby, których życie mieszało się z ważniejszymi wypadkami, bądź przez czyny, bądź przez uczuciowy udział, co ulegały niezwyczajnym ciosom losu, a nadewszystko, co obdarzone były badawczym wzrokiem i umiały sądzić świat, pośród którego żyły — daleko nas silniéj i prawdziwiéj mogą zająć i wzruszyć, oświecać i przekonać, niż to, co na tle książkowego oczytania się, pozwalają bujać swojéj fantazyi.

Powyższa uwaga, jakkolwiek mogłaby bardzo stosować się do powieści i romansu, po którego autorach zawsze wymaga się studyów z realnego świata, to jednakowoż najwięcéj ściąga się do pisarzy pamiętników.

Sądząc prostym rozumem, zdawałoby się rzeczą niepotrzebną przypominać komu, co pisze pamiętniki swego życia lub swoich czasów, aby opisy czerpał ze zdarzeń, w których miał udział, bądź jako aktor, lub naoczny świadek, bądź jako sprawozdawca opowieści ust prawdomownych. Dobra wiara publiczna zawsze przypuszczała dotąd, że pamiętnik jest coś nakształt sumiennéj spowiedzi z przygód, wrażeń, wypadków doznanych w obcowaniu z ludźmi, co albo grali niepospolitą rolę w dziejach, albo odznaczali się jakąś osobliwością talentu, lub charakteru; że wreszcie taki pamiętnik zapisując drobniejsze szczegóły i rysy uchodzące najczęściéj oku historyka ogarniającego większe horyzonty, dostarczy tém samém materyału, z którego historyk-filozof urobi ogólne a trafione oblicze społeczeństwa pewnéj epoki. Nareszcie krom tego przymiotu posiłkującego dzieje, taki pamiętnik mając być żywym obrazem minionych czasów i ludzi, przekazicielem tradycyi, co z opowiadań starców przeniosły się do książek — wszczepia się w pamięć i serce nowych pokoleń, sąd ich urabia do ocenienia każdéj nowości, każdego przeobrażenia się pojęć moralnych, a nade-

wszystko każe ukochać i odmłodzić niejedno co minęło, aby było godne czci i miłości, lub niejedno odrzucić od siebie co potępił sąd Boga i ludzi, a co wlecze się za nami jak cierń uczepiony do sukni.

Tak' ja sobie wyobrażałem zadanie piszącego pamiętniki, tak sobie wyobraża każdy rozmiłowany w pamiętnikach Paska, Kitowicza, Kopcia, Wybickiego, Ursyna, Karpińskiego i innych niewielu, co mając samą rzecz na względzie, nie myśleli nawet, że są twórcami jakiejś nowéj formy literackiéj. To bowiem pewna, że kto usilnie szuka formy dla swojéj myśli, nigdy jéj nie znajdzie, a tém samém nie stworzy, bo taka myśl zakłopotana, macająca, jest już z natury swojéj jałową, nierodzajną; przeciwnie myśl owocująca przynosi z sobą zarazem i formę. Pasek zapewne nie biedził się, w jakiéj formie odda wesołe i awanturnicze koleje swego życia, a jednak stworzył najdoskonalszą pamiętnikową formę.

Wtrąciłem to postrzeżenie, bo uważam, że przemysł dzisiejszych pisarzy o nic się tak nie kłopocze, jak o wynalezienie formy dla swoich pomysłów, które nie mogą żadną miarą przyjść na świat bez téj ciężkiéj operacyi; że zaś forma,

jaką sobie ten i ów pisarz przyswoi, zupełne ma podobieństwo z pożyczanym frakiem, przeto chcąc swą istotę zastosować do sukni, kurczą się lub wyciągają ramiona, pierś się wypycha, lub oddech wciąga, a tak powstaje nadużycie i zużycie. Literaturę dzisiejszą możnaby w pewnym względzie napiętnować mianem epoki: nadużyć i zużyć.

Weźmy między innemi pamiętnikową formę, która nabyła u nas pewnéj wziętości takim Paskiem lub Kitowiczem — i zaraz znaleźli się zręczni pisarze, co pod tę formę podszyli skrzydłem swojéj wyobraźni zmiecione różne pyłki historyczne nieprzystające do siebie, a często fałszywego pochodzenia, lub zfałszowane umyślnie. Jeżeli im brakło wątku i imaginacyi do osnucia zajmującéj powieści, nadawali jéj diaryuszową formę bardzo swobodną, bo fragmentaryczną. Szczególniéj z czasów konfederacyi Barskiéj i późniejszych, narodziło się co niemiara takich pofałszowanych pamiętników, w których że najczęściéj występują osoby bardzo podrzędne, niefigurujące na większéj scenie dziejowéj, więc niepodobna kontrolować je; po tém tylko można poznać ich apokryficzność, że się same zdradzają ana-

chronicznemi sentencyami i pojęciami. Takie igraszki pióra nie miałyby zresztą nic zdrożnego, gdyby nie bałamuciły wyobrażeń i faktów historycznych dotąd nie dość ściśle i wytrwanie zbadanych, tém bardziéj, że podobne pamiętniki układane bywają przez dzisiejszych pisarzy z jakich nieforemnych i dorywczych notatek, albo z opowiadań pochodzących z mętnych źródeł, jak tego mieliśmy przykład w różnych urywkach, pismach i wzmiankach rehabilitucących związek targowiecki. Nie powiadam do tego, aby i Targowiczanin nie miał co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie się, jeżeliby pismo takie wyszło z pod pióra jednego lub drugiego matadora związku— lecz pamiętnik jakiego poplecznika, obskurusa, co mógł być tylko posłuszném narzędziem, niewiele wyświecić potrafi, a jeszcze mniéj warto na jego zdaniu polegać, chyba, że ma komu posłużyć za obronny szaniec.

Zresztą zdaje mi się, że aby pisać pamiętniki, coby miały powagę historyczną, potrzeba znaleźć się w pewnych niezwyczajnych warunkach. Mógł je pisać książe Saint-Simon na wysokiém stanowisku u dworu przy nadzwyczajnie rozległych stosunkach i znajomo-

ściach; mógł Tallemant des Reaux, trąba opinii mieszczańskiéj, zawistnie śledzący każdy krok arystokracyi, mógł Cezar, Żołkiewski, Jakób Sobieski hetmaniący wyprawom, mógł awanturniczy Pasek i skrzętnie gromadzący fakta i pogłoski Kitowicz, zresztą górujący patryotyzmem i światłem; Karpiński, Wybicki; mogło tyle jeszcze stojących dość wysoko, aby ogarniać szersze widokręgi i rozumieć działające sprężyny, ale historyi robionéj przez zaściankowe figury, obracające się w kółku powiatowém, a przynajmniéj z powiatowemi wyobrażeniami, uważam raczéj za niepotrzebne rupiecie, jak za pochodnię mającą rzucić światło prawdy na ludzi i wypadki; tém bardziéj, gdy liczne a przywiązane do chwili konieczności, którym muszą ulegać publikacye podobnych pamiętników, sprawiają, że każda draźliwsza dla wielu rodzin prawda bywa w nich usuniętą, lub tak osłabioną omówieniem; że jeźli nie czcza gadanina zostaje za całą korzyść, to korzyść ta bywa bardzo nikła; służy ona najczęściéj za materyał dla pisarzów powieści niemających dość fantazyi, aby wynaleźć, ani dość talentu, aby obserwować to, co ich otacza, i na co patrzą.

Niewielkiéj także powagi pod względem prawdy i rozumnego ocenienia wszelkich ruchów wojennych, używają niektóre pamiętniki i wspomnienia z Napoleońskich i innych kampanii, pisane częstokroć przez niższego stopnia oficerów, a nawet prostych żołnierzy. Małoznaczne zdarzenia na kwaterach lub w marszu, drobne epizody utarczek posterunkowych, mogą być oddane z humorem, dowcipem, i ciekawość nastrajać jak dobra powieść; ale ta przyjemność okupywana bywa najczęściéj wielkiemi bredniami co do rzeczy ważniejszych, i częstokroć zdarza się w sądach o rzeczy publicznéj, jak o działaniach należących do sfery wyższéj, do któréj autor pamiętnika nie był przypuszczony, a więc nie mógł być naocznym sprawozdawcą zdarzeń i pobudek — spotykać zdania i opisy, będące raczéj odgłosem ciemnéj opinii, niż sumiennego ocenienia.

Pozostał jeszcze jeden rodzaj pamiętników i autobiografii, zajmujący się wyłączniéj sferą towarzyską lub uczuciową, wielkie fakta krajowe mogą w nich być ocenione w odbiciu się na umysłach i stosunkach domowych, co jeśli jest trafnie pochwycone, wiele przydaje do wyjaśnienia historycznych zdarzeń. Wreszcie

skreślenie zwyczaju i obyczaju pożycia obywatelskiego, ducha prowincyonalnego, siła uczy, bo wyświeca przeszłość z téj strony, jaka najczęściéj w skład oficyalnéj że tak powiem historyi, nie wchodzi; bo nam powiada: co w życiu minionych pokoleń było dobrego i zbawiennego, i jak często dla lada błyskotnéj nowostki zwanéj modą, porzucaliśmy poczciwy obyczaj domowy, surowy i prosty, lecz pełen kleju i wyrosły na fundamencie. Zmyślenie potocznych zdarzeń, jest tu mniéj niebezpieczne, bo drobne szczegóły nie wymagają téj ścisłości i kontroli co historyczne; za to sam ton opowiadania, sama trafność z rzeczywistości dobranych przykładów i rysów, budzi wiarę w czytelniku, co ma pokrewne tym wspomnienia, tém łatwiéj; jeżeli talent umiał skorzystać z bogatego materyału przechowanego w pamięci.

Do tego ostatniego rodzaju odnoszę świeżo wydane Pamiętniki z życia Ewy Felińskiéj *) téj saméj, która przed ośmią laty opisała swoją

*) Pamiętniki z życia Ewy Felińskiéj autorki wspomnień z podróży po Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie. 3 tomy. Wilno, nakład Zawadzkiego 1856.

podróż do Syberyi. Powodzenie téj książki ciche lecz wymowne, miało przyczynę swoją nietylko w treści, ale i w talencie pisarskim pani Felińskiéj. Tegoż spodziewając się i po pamiętnikach z jéj życia, tém skwapliwiéj wziąłém się do przeczytania trzech grubych tomów. Nadzieja nie zawiodła, tém więcéj, że nie zrobiłem sobie przesadnego wyobrażenia o nadzwyczajnościach życia wiejskiego w oddalonym zakątku Litwy. Autorka téż nie sili się na epos dziwnych przygód, ale poprostu wdziękiem niewieścim, a dojrzałym rozumem matrony, opowiada dzieciom swoim wspomnienia sięgające ostatnich lat upłynionego stulecia. Zapewne jak sama powiada, życie prywatne, a szczególniéj życie kobiety z natury swojéj mniéj związane z ogółem, niewiele nastręcza wydarzeń podniecających ciekawość, zatém i pamiętniki opisujące takie życie, miałyby raczéj wartość portretu familijnego, a nie historycznéj kompozcyi. Lecz gdy nieraz się zdarza, że portret wyobrażający nieznaną jaką figurę, byle był dziełem dobrego mistrza, obstoi za olbrzymie historyczne płótno, partacza—tak i familijnym wspomnieniom Felińskiéj wyższe dałbym miejcee nad niejedne

okrzyczane Pamiętniki, co oratorskim tonem odkrywają nam rzeczy dawno i szczegółowiéj odkryte, i co żadnéj chwili dobrze scharakteryzować nie umieją, chociaż piszący powołany był na świadka w niejednym wielkim dramacie. Prosty wniosek: że człowiek stanu najczęściéj nie znajdował się na wysokości wypadków, kiedy kobieta czuciem swoim zawsze się do nich podnieść umiała.

Ztąd Pamiętniki Felińskiéj choć się obracają w sferze dziecięcych igraszek, a późniéj zabaw towarzyskich, przejażdzek z powiatu do powiatu, odwiedzin sąsiedzkich, wesel, imienin, znajomości na balach, wyborach, kondescensyach, nie tracą na wartości, bo jak sama to wypowiada dobrze w przedmowie, że „przeżywszy lat sześćdziesiąt, dotknąwszy różnych szczeblów towarzystwa, żyjąc w epoce dziwnych i niepospolitych przewrotów, nietylko w kraju naszym, ale i u obcych, byłam świadkiem naocznym, jak nasze towarzystwo ulegając silnym wpływom zewnętrznym i wewnętrznym, nagle się przekształcało, zrzucając dawną postać, a przyoblekając nową. Może mi się uda zatrzymać temi wspomnieniami kilka form, które całkiem znikły z naszéj zie-

mi, a które jednak stanowią ogniwo łączące przyszłość z przeszłością, tłumaczące powód przekształceń, których dziś widzimy skutki, nie pojmując dokładnie przyczyn, które je przygotowały.“

Można oddać zacnéj autorce tę sprawiedliwość, że umiała przenieść w pisane wspomnienia swoje nietylko cechy ziemiańskiego towarzystwa, pośród którego żyła i wychowała się w okolicach Słucka i Białorusi, ale nadto w malowanych charakterystycznych rysach skreślić obrazy niektórych form życia obywatelskiego, co już bezpowrotnie minęły, pokazując zarazem, jakim to wpływom ulegały wyższe warstwy, i jak ten wpływ do niższych się przenosząc, dokonywał zupełnego przeobrażenia stosunków.

Ciekawa ta figura tego Wendorfa stryja jéj, w którego domu wychowywała się od pierwszych latek! Szlachcic na kilku wioskach, otyły, małomówny, siedzący zawsze przy swoim kantorku, rządził się wybornie i robił kapitały, choć nie grał na giełdzie, ani się rozbijał za gospodarką—ale cała machina raz w tryb wprowadzona, trzymana karnością i uczciwością, szła bezpiecznie, pomimo, że

serdeczna staropolska gościnność przyjmowała w dom nietylko sieroty i ubogie kuzynki, nietylko guwernantkę z ośmiorgiem dzieci, ale jeszcze bliskie i dalekie sąsiedztwa, zajeżdżające dworno i konno a bawiące po całych miesiącach.

Zkądżeż wystarczył na te szczodroty szlachcic dobrego mienia, a nie żaden magnat, lub spekulant? Zkąd? odpowiedź łatwa — nie kasał się na zbytki, nie podróżował bez potrzeby za granicę i ani mu się śniło grać o lepsze z kleckim lub nieświezkim Radziwiłłem. Mebli tam ani powozów nie odmieniano co roku, sukien i błyskotek nie sprowadzano z Paryża, a na zagraniczne przysmaki, krom wina, cukru, kawy i pieprzu pewnie ani grosz nie poszedł. Spiżarnia domowa wystarczała na wszystko, choć jak powiada autorka, czerpano w niéj jakby w bezdennéj studni, a przecież nie było trwogi, że się wyczerpie... Cudowna obfitości mnożąca się w miarę gościnnéj szczodroty, gdzie szukać ciebie!? czy w dzisiejszéj tak zwanéj kalkulacyi, co z własnego domu ucieka, aby nie narazić się na koszt przyjmowania sąsiadów? Cały sekret w tém, że ojcowie nasi inaczéj rozumieli życie, jak

dzisiejsi wyznawcy samolubnego pysznoskąpstwa, co się wyzuli z owych serdecznych związków, rodzących się z wzajemnego podziału darów bożych, aby natomiast wykwintnemi zachceniami, błyskotkami, wygódkami, błyszczącą powierzchownością, stawiać się niby na téj linii cywilizacyi, na jakiéj stoi klassa najmajętniejsza i utytułowana.

Ale temu samolubnemu pysznoskąpstwu nie darzy się jakoś—a jak się nie darzy, przekona się czytelnik z trafnych postrzeżeń autorki.

„Kiedy zapuszczę myśl w przeszłość — powiada ona — i przypomnę, jaki panował dostatek po domach szlacheckich, jaki spokój o jutro, szukam gdzie się podziało źródło tego dostatku? kto je osuszył? Wszak nasza bogata ziemia rodzi tak samo, a może lepiéj niż przedtém rodziła; jeżeli podatki się zwiększyły, to téż i płody ziemi podniosły wartość. Nie karmimy po domach tyle rozmaitéj ludności potrzebnéj i niepotrzebnéj, ileśmy karmili dawniéj bo dziś wszystko idzie w rachunek; kraj nasz nie wymaga ofiar nadzwyczajnych, co się dawniéj trafiało, a jednak wszędzie ucisk. Mimo pozornéj okazałości, wszędzie się prze-

bija niedostatek rzetelny, a jeśli kto jeszcze trzyma się na nogach, jakąż pracą, wysileniem, ciągłą wojną odporną musi zdobywać to położenie, inaczéj prądby go uniósł.“

Ten przełom ducha narodowego odbył się w oczach autorki w samym początku bieżącego wieku; prowincye bliższe Zachodu wcześniéj się przeobrażały; Polesie, Litwa, Białoruś późniéj. „Niektórzy starzy ludzie — powiada ona — w rzędzie których można liczyć mego stryja, trzymali się jeszcze z miłością dawnych form, dawnych zwyczajów, ale młodzież biegła nowym torem, przesiąkła nowemi wyobrażeniami. Wielu téż ludzi dojrzałych, nawet przejrzałych, zrzuciwszy kontusz biegli niby drogą postępu w czwał za innymi, bo ta droga zdawała się im łatwa i przyjemna, zrobiwszy rozbrat z dawną prostotą z dawnemi wierzeniami. To téż zdaje mi się, była to epoka najgorsza, epoka dezorganizacyi. Każdy przykładał rękę, aby niszczyć co było zrobionego, wywracać dzieło wzniesione pracą ducha wielu wieków, opłacone wielą ofiarami; i myślał że pracuje dla dobra ogółu.— Nic łatwiejszego jak niszczyć: to téż wielu przybiegło z gotowością ustną; ale gdy przyszło od-

budowywać na nowo, zabrakło biegłych rzemieślników; a z budowy wzniesionéj wiekami, zostały bezkształtne gruzy.“

Takiemi to reflexiami i postrzeżeniami branemi z doświadczenia przeplata autorka swoje opowiadania, które dostarczają wymownych faktów, pokazujących w jaki sposób odbywał się ten proces wewnętrznego przeobrażenia narodu. Jeżeli nam z jednéj strony pokazuje dom zamożnego szlachcica, trzymającego się starego obyczaju tak w prowadzeniu gospodarstwa, jak w stosunkach obywatelskich, jak w całym trybie życia, to obok pozwala zaglądnąć na dwór Radziwiłłów kleckich lub niezwiezkich, za pośrednictwem swego stryja Wendorfa, zachowującego do późnéj starości nietylko obowiązek dobrowolnego trudnienia się interesami książęcego domu, ale nawet, kiedy książe Antoni następca na ordynacyę klecką umarł, a przeżył go książe Maciéj ojciec, zgrzybiały i zdziecinniały, co się już na pokojach nie pokazywał, Wendorf regularnie co niedziela, sam zaszły w lata starzec, zabierał się i jechał z attencyą do Radziwillimontów, rezydencyi książęcéj.

Nie była to próżna ceremonia, ale trady-

cyonalny obyczaj stawienia się swoją osobą w tém naturalném ognisku, jakiém bywały zdawiendawna dwory możnych panów i senatorów. W tém bowiem ognisku światła, poloru, znajomości rzeczy publicznéj, protekcyi, wyrabiał się duch obywatelski, zawiązywały solidarności interesów, ustalała się opinia o ludziach i rzeczach. Główne to ogniwo trzymało w spójni całą społeczność szlachecką — to téż kiedy raz prysło, kiedy taki Radziwiłł przestał znaczyć wpływem, kiedy głosy ziemiańskich przyjaciół nie dawały mu już powagi i w rządzie siły, bo i on zrównał się drugiemi w obec pierwszego lepszego urzędnika, został tylko zwyczaj, kończący się śmiercią jednych, a wystąpieniem młodszéj generacyi, przeobrażonéj naciskiem nowych stosunków. Chwila tego przejścia wybornie charakteryzuje się w tych dwóch Radziwiłłach ordynatach kleckich, ojcu i synie, co choć zawsze jak dawniéj przyjmowali tłum szlachty, ale już nie mieli klucza do serc obywatelskich; bo kiedy stary wojewoda szedł po obiedzie spać, to zostawiony syn dla bawienia gości usypiał w najlepsze. Z tego powodu zabawną czytamy anegdotę w pamiętnikach Felińskiéj:

„Pomiędzy obywatelami zebranymi w Radziwillimontach znajdował się młody człowiek Hipolit Korsak. Umiał on doskonale przeistaczać siebie w księcia wojewody trockiego, który był stary, nizkiego wzrostu i ułomny, z nosem garbatym spuszczonym prawie na brodę. Sama widziałam to przeistoczenie, bo czasem Korsak za wielką prośbą robił z siebie księcia. Wtenczas kurczył nogi, zniżał się, zakładał w tył ręce, podsuwając pięście pod frak i sięgając niemi do łopatek, tak że się garb formował, a gdy do takiéj postaci przeciągnał twarz, że nos spuścił się na wargi, wtenczas ta karykatura naśladowała wybornie postać wojewody. Otóż tą sztuką Korsak jednéj niedzieli zabawił gości w Radziwillimontach. Po obiedzie książe Wojewoda porzuciwszy gości, poszedł spać do swego pokoju. Zastępca gospodarza książe Antoni, który miał ten pociąg co ojciec, zasnął w krześle na dobre. Wtenczas Korsak przechadzając się po pokoju wraz z innemi, nagle zrobił postać Wojewody, a stanąwszy przed krzesłem śpiącego księcia i udając głos Wojewody, przemówił: Drzemiesz, widzę panie Antoni.“

Drzymanie to nazwałbym symbolem téj

epoki, będącéj na pograniczu dwóch światów, jednego co konał, a drugiego co się jeszcze nie wykluł.

A teraz skierujmy uwagę na blizki Nieśwież, tę rezydencyę sławnego Panie Kochanku ostatniego pana na Litwie, co zgasłszy w Białéj w 1790 roku, leżał lat kilkanaście w kaplicy, czekając pogrzebu, którego się nie mógł doczekać od swego następcy na ordynacyę, wychowanka Puław, rozrzuconego księcia Dominika. O, to już innego odlewu Radziwiłł! Wielki pan, lecz bez żadnéj tradycyi, coś nakształt członka jokej-clubu. Szlachta starym zwyczajem wali się do Nieświeża, oddając mu powinną attencyę i czeka, żeby w ręce jego złożyć choć moralną reprezentacyę okolicznych powiatów, żeby go podnieść sercami, jeźli ostrzem szabel nie mogła—ale młody panicz lekce sobie waży ten różnorodny tłum sąsiadów, dawnych przyjaciół i domowników Radziwiłłowskich, bo ich przyjmuje—w stajni, lub wyprowadza w pole, na tępienie susłów!

W rzeczy saméj młody książe zapamiętale kochał się w koniach, jak boży dzień przesiadywał w stajni, którą ubrał w zwierciadła,

firanki i sofy, a jeźli nie palił z bicza, to jeździł w kompanii z rezydentem swoim Łopottem wylewać susły. Jeszczeby ta igraszka nie kłóła bardzo w oczy, ani gorszyła przywykłych nawet do szanowania kaprysów pańskich, ale kiedy książe ożeniwszy się z Mniszchówną z Wiśniowca, ledwie do Nieświeża powrócił, już zajęty panią S. myśli o podwójnym rozwodzie z świeżopojętą żoną, i kochanki z mężem — musiał gorszący przykład jeszcze bardziéj oddalić od niego serca Litwinów.

Za jedném złém szło inne. Nowy rodzaj życia, jakie książe prowadził, nadwerężał fortunę, tę fortunę, co niedawno wystarczała nietylko na podejmowanie ogromnego dworu i nigdy nieubywających gości, ale nawet na wielkie ofiary ponoszone w potrzebach rzeczypospolitéj. Przejażdżki zagraniczne, świecenie się na koronacyi Napoleońskiéj, a głównie nierząd domowy, nietylko pochłaniały ogromne dochody ordynacyi, ale spowodowały sprzedaż i zastawę niektórych kluczów.

Drobniejsi zaczęli wyprawiać to samo, na mniejszą stopę. Największe majątki w kilku leciech z rąk uciekały. Jakiś Lichodziejowski odziedziczywszy po skąpym stryju ogromne

dobra i kapitały przetrwania je w mgnieniu oka, i zadłużone wioski oddaje pod *exdywizyę*.

Autorka patrząca na częste zmartwienia stryjowskie z powodu mnożących się bankructw i exdywizyi, mogących pochłonąć i jego kapitały polokowane na większych fortunach, poświęca jeden ustęp téj nieznanéj dotąd chorobie społecznéj.

„Z początku exdywizye miały jakieś dziwne oblicze i zdumiewały; szczegolniéj jeśli padały kolosy istniejące od dawna, których trwałość zdawała się być niepożytą jak piramid egipskich, i które niejako były zrosłe z losami narodu. Ale powoli wyobraźnia się oświoiła, fortuny padając jedna po drugiéj, zostawiały tylko zdziwienie, jeżeli która stała jeszcze na nogach, i już nie było wiary w jéj trwałość. Istotnie, na Litwie szczególniéj, mało która z większych fortun nie uległa rozkładowi, a te które zostały podtrzymane, powiększéj części zupełnie obcym wypadkom winne były swoje ocalenie.

Wpatrzywszy się z większą uwagą w koleje, którém przechodziło towarzystwo nasze, zdaje się, że to wstrząśnienie prawie ogólne

wielkich fortun z ich posad i rozdrobienie na części, było jedną z dróg opatrznych, któremi wielki Twórca społeczeństw przeprowadza je przez rozmaite formy bytu. Wielkie fortuny w dawnych czasach były ciałem potrzebném do wyrażenia idei, która była duszą tego ciała. Bez współuczestnictwa tego ciała, idea w czyn wcielićby się nie mogła, ani działać na drugich. Póki te fortuny były ożywione ideą dążącą do połączenia w jedno różnych części i podtrzymania całości, póty miały moc atrakcyjną: nietylko nie ulegały rozkładowi, ale skupiając koło siebie mniejsze siły, same się przezto wzmacniały, także nawet to, co uroniły, co wydały z siebie, nie stanowiło ilości ujemnéj, ale stawało się siłą dodatnią. Jak upuszczenie krwi, kiedy jest tego potrzeba, nie osłabia chorego, ale go wzmacnia, magnat polski rozdając wioski, ugaszczając tłumy, rósł jednak w majątek i znaczenie."

Te wzajemne rękojmie musiały się utrzymywać w społeczeństwie solidarnie ze sobą związaném, a uorganizowaném na sposób tylko naszemu krajowi właściwy. To téż kiedy np. padła taka olbrzymia fortuna Jeremiego

Wiśniowieckiego, nikt nie powiedział olbrzymowi, złożonemu niemocą. Tyś trup! — ale owszem naród miał sobie za obowiązek nagrodzić to synowi koroną, co ojciec poświęceniem się stracił.

Dobrowolne złożenie posłannictwa, wyosobnienie się z ogółu przez poślubienie cudzoziemskiego obyczaju, a nawet języka, zrobiło zamęt towarzyski, na który autorka własnemi patrzała oczyma, zapisując te wszystkie pojawy w miarę jak się przesuwały przed nią zdarzenia i osoby. Prostota, skromność szlacheckiego życia, wychowanie w rygorze religijnym i obyczajowym, czuły się jakby olśnionemi i upokorzonemi tą błyskotliwą nowością, chociaż instynkt wewnętrzny powiadał, a zgubne przykłady rozpusty, nierządu, lekkości, uczyły, że te zmiany nie wyjdą na lepsze. Ona sama, młoda dziewczynka, wychowana w innych pryncypiach, i na żywych przykładach patryarchalnéj prostoty, opowiada jak nieraz przyjazd w dom stryjostwa jakiéj eleganckiéj damy z wielkiego warszawskiego świata, szczebioczącéj po francuzku, nabawiał ją taką trwogą, że uciekała w najskrytsze kąty; czego

znowu nie robiła względem innych gości, choćby samych Radziwiłłów, póki jeszcze nie wyzuli się z ogólnego obyczaju. To pewna, że z razu maniery i konwersacya francuzka mające w sobie coś zawsze gryzącego i drwinkującego, pryskały jakby witryolem na ducha i obyczaj staroświecki, wypalając pierwszy, a barwę zmieniając w drugim, na jakiś niepewny, wyblakły kolor kosmopolityczny...

Jednakże pomimo tylu przeobrażeń się bolesnych, resztki wielkiego życia owiewały jeszcze to społeczeństwo. Trzy grube tomy pamiętników Felińskiéj opisują nam ówczesne pożycie obywatelskie, zjazdy familijne, bale, wesela, imieniny, przenosiny, gdzie młodzież bawiła się całą duszą do upadłego. Prawdziwa ochota była wtenczas w stosunku odwrotnym do zewnętrznéj okazałości — salony nie lśniły od złota, jedwabiów i luster, stroje robiły się w miejscu ze skromnych tkanin, jadła nigdy nie brakło, a o ostrygi, trufle, strasburgskie pasztety, drogie wina, nikt nie dbał. Co Bóg dał, a ziemia rodziła, zaspakajało najwybredniejszych.

Był to jeszcze ostatni połysk téj żywotno-

ści, co już nie miała pola, gdzie się rozwinąć — literatura, sztuki piękne, nie znalazły jeszcze licznych uprawiaczy i wielbicieli— a więc nie absorbowały czynności duchowéj, która karmiła się, że tak powiem, samemi niespodziankami, samem zdumieniem na odgłos dalszy lub bliższy olbrzymich dramatów napoleońskich. Trafnie i bardzo szczęśliwie dojżała autorka Pamiętników, dwa rysy ówczesnéj epoki, któreby uszły uwagi niejednego obserwatora, a przez kobietę dostrzeżone zostały; chcę tu mówić o *mistyfikacyi i szaradzie.*

Te bagatelne na pozór igraszki dowcipu należą przecież do charakterystyki społeczeństwa. Mistyfikacya była to improwizowana komedya, odegrana wśród rzeczywistych stosunków potocznych. Dowcipnisie, potrzebujący zajęcia siebie i zajęcia drugich rozdawali role, układali intrygę, prowadzili ją zazwyczaj czyimś kosztem, kogo chcieli wyżartować lub poprawić. Niektóre koncepta jak zwykle, bywały szczęśliwe i niewinne, czasem posunięte zadaleko, bo połączone z cierpieniem wskazanéj na cel ofiary. A jednak takie panowało porozumienie się i wyrozumienie w towarzy-

stwie, tak mało było zarozumienia i dumy, że nigdy z najmocniejszego żartu nie wynikła żadna nieprzyjemna katastrofa. Autorka opisała kilkanaście takich mistyfikacyj i mistyfikatorów, jak ów jenerał Zawisza, co do kutwy Lichodziejowskiego sprosił całe Wilno i w domu jego dał zaproszonym obiad. Skąpiec myślał, że to siurpryza, lecz nazajutrz, gdy kuchmistrze, cukiernicy, winiarze, przyszli dopominać się o zapłatę, zadrżał, ale w końcu zapłacił; co mi przypomniało drugą podobną anegdotę o Suwarowie, do którego Potemkin zawsze zapraszał się na obiad, aż nareszcie rad nie rad musiał mu uledz i wyprawił sutą ucztę Potemkinowi, sam zaś jadł tylko jakąś postną polewkę, którą mu jego zwyczajny kuchta uwarzył; za to też gdy przyszło do zapłaty, odesłał wszystkich kucharzy i kupców do Potemkina, wymawiając się, że on tych przesmaków nie kosztował nawet. Druga z takich anegdot rozpowiada o jednym assesorze, lubiącym rozwozić polityczne plotki. Otóż śród balu, kiedy najweselėj idzie zabawa, przeraża wszystkich odgłos dzwonka pocztarskiego — wchodzi feldjegier i wręcza

papier assesorowi — byłto rozkaz porwania go na Sybir. Wsadzony na sanki, pojeździwszy z godzinę, wraca napowrót do sali balowéj. Żart ten dokonany na ojcu licznéj rodziny, mogący w téj jednéj godzinie ubielić najczarniejsze włosy, wywołał tylko uciechę w gościach, a w assesorze najwspaniałomyślniejsze przebaczenie.

Obok tych mistyfikatorów na większą i mniejszą stopę rozwijała się *Szarada i logogryf*, ta niby delikatniejszych i wyższych umysłów igraszka. Posłuchajmy co o téj manii opowiada pani Felińska: „Nie było to upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale było w duchu czasu i rozprzestrzenione szeroko. Jedni robili szarady, drudzy odgadywali. Były one nietylko przedmiotem chwilowéj zabawy, ale i korrespondencyi. Amatorowie przesyłali sobie pocztą szarady do odgadywania; nawet między nieznajomymi zawiązywała się korrespondencya osnuta na wspólném upodobaniu. Widno, że to nie było upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale publicznie, kiedy pisma peryodyczne tak politycznéj jak literackiéj treści przy każdym numerze zamieszczały szarady lub logogryfy: w jednym numerze była szara-

da, w drugim odpowiedź; a niejeden co nie dbał o treść gazety, i nigdy jéj nie czytał, z największą niecierpliwością wyglądał poczty i chwytał co prędzéj do rąk gazetę, aby obaczyć nową szaradę, albo wyczytać słowo dawniejszéj.—Zjawiły się w téj rzeczypospolitéj szaradowéj sławy większe i mniejsze, które używały znaczenia zdobytego zdolnością w rozwiązywaniu, albo zręcznością w układaniu szarad i świeciły jaśnie na pewnym widokręgu. Niejedna poważna głowa przez godzinę lub więcéj pogrążała się w głębokiém dumaniu; myślałbyś że ją zajmują ważne interesa, obchodzące byt własny lub cudzy? bynajmniéj, myśli ona nad słowem zagadki, układając różne kombinacye, aby prawdziwy sens pochwycić.“

Póki towarzystwo znajdowało zajęcie i uciechę w tych niewinnych zabawach, grały w niém jeszcze ostatki tych czerstwych, swobodnych i prostych dawniejszych obyczajów ziemiańskich— lecz niebawem karty rozpostarły milczące panowanie i w nich grążyły się młodociane uczucia i namiętności, jak w piekielnym ogniu, który pożerał i trawił lecz nie oczyszczał....

Ten główny, poważniejszy rys epoki pochwyciła pani Felińska w trzechtomowém opowiadaniu, doprowadzoném do ośmnastego roku swego życia, gdy oddawała rękę Gotardowi Felińskiemu, bratu znanego autora Barbary. Pełno tu jest zajmujących szczegółów o osobach bądź dziś żyjących na Polesiu i Litwie, badź zapisanych w pamięci znajomych i młodszego pokolenia. Dlatego nas odległych od tych prowincyj, mniéj obchodzą te częste nader drobiazgowe opisy osób obcych nam nawet nazwiskiem. Jaki pan W. miał nos, jakie oczy panna K., w jakim ten chodził fraku, a jakiego koloru sukienkę przywdziała ta lub inna dziewczynka? cóż to ma do rzeczy? — Mniemam, że ten cały przybór bez archeologicznéj wartości, bo na archeologię za świeże te zabytki, powiększył tylko i tak już grube tomy, których czytanie wystawia niekiedy cierpliwość czytelnika na próbę. Rozwlekłość nie jest żadnym przymiotem, a najmniéj w pamiętnikach; Benvenuto Cellini najrozmaitszy awanturnik, jaki był na świecie i Pasek tejże miary co tamten, ledwo spisali po jednym tomie, gdy nasza autorka trzy napisała, obejmu-

jące okres lat ośmnastu, co stosując do jéj lat sześćdziesięciu najmniéj jeszcze sześć tomów spodziewać się możemy. Przyczyną rozwlekłości byłżeby pośpiech? nie wiem; ale szczerze radziłbym zacnéj autorce zażyć więcéj czasu i być zwięźlejszą.

VIII.

BOGACTWO FANTAZYI W ROMANSIE.

Powieść Jana Potockiego.

Przed kilkunastą laty, dziennik francuzki *La Presse* wielce podówczas znienawidzony, ale mimo tego niezmiernie czytany, umieścił był w feuilletonie jakieś osobliwe przygody, jakiegoś awanturnika w Hiszpanii. — Było to opowiadanie tak pełne poetycznéj fantazyi, tak porywające oryginalnością sytuacyi, że świat czytający nietylko z gorączkową ciekawością wyglądał dalszego ciągu, ale i dziwił się jakim sposobem tak szczęśliwy utwór znalazł się pod piórem autora pamiętników Mar-

grabiny de Crequi podpisanego pod ową powieścią?

Dalszy jednak ciąg zajmującego feuilletonu nie pokazał się nigdy; lecz natomiast czytaliśmy w kolumnach dzienników, a następnie w sprawozdaniach *Gazette des Tribuneaux* oskarżenie *Pressy* i podpisanego autora, o kompilacyę zapomnianych dwóch romansów: *Avodoro* i *Dix journees de la vie d'Alphonse van Worden*, przyczém wydało się, że właściwym ich autorem był Jan hr. Potocki. — Wyznaję, że moja narodowa duma niezmiernie podniesiona była tém zdarzeniem; kto bowiem pamięta jakiemi to potęgami byli wówczas w codziennéj literaturze francuzkiéj; Balzak, Dumas, Eugeniusz Sue, Jerzy Sand—ten pojmie, ile pochlebiającym musiał być ten tryumf dla wszystkich rodaków Jana Potockiego, kiedy ukazanie się jednéj z jego powiastek wywleczonéj z zapomnienia, zrobiło więcéj wrzawy niż wszelkie inne feuilletonowe publikacye, a zrobiły nietylko samym ztąd wynikłym procesem, ale i rzetelném zajęciem się publiczności francuzkiéj.

Pressa zbita z tropu, sponiewierana przez nienawistne jéj gazety, nie chciała daléj pro-

wadzić zaczętéj powieści, kiedy ją można było znaleźć w kramie antykwarskim, lub w jakiéj czytelni; czegom mocno żałował, będąc oczarowany urokiem téj bezprzykładnéj fantazyi, w porównaniu z rozwodnioną i wyśrubowaną fantazyą dzisiejszych europejskich pisarzów powieści i romansów.

W kilka lat późniéj dowiedziałem się z wielką przyjemnością od p. Edmunda Chojeckiego, pisarza z talentem, że miał w rękach swoich oryginalny utwór Potockiego, pod ogólnym tytułem: *Manuscrit trouvé à Saragosse*, i że go wytłumaczył na polskie. Niebawem téż ukazał się przekład jego w Lipsku, nakładem Bobrowicza w sześciu sporych tomach.

Nie wiadomo mi, czyli ówczesne pisma publiczne zwróciły na tę nowość uwagę, lub téż przepuściły ją w milczeniu, lekceważąc, jak każdy przekład francuzkiego romansu, chociaż przy ściślejszém zastanowieniu się, przez to przepolszczenie wracało tylko do nas, co było naszą własnością. Zapewne, że język francuzki, którym pisarz ten lubił myśli swoje wyrażać, pozbawiał literaturę naszą połowy praw do tego utworu; lecz z drugiéj strony sam wynalazczy pomysł, rozwinięcie one-

go, powiązanie szczegółów, mistrzowska charakterystyka, bezdenna nauka i zdumiewająca znajomość miejsc i ludzi, a nadewszystko ta jego fantazya wulkaniczna nie lawę dymy i żużle miecąca, ale strugi złota i djamenty— czyliż to wszystko nie było własnością przyrodzoną człowieka, który nietylko wziął życie na téj ziemi, ale ją szczerze miłował, a nawet w cięźkich chwilach i do prac narodu należał?

Nie potrzebuję przypominać, ile w upłynioném stuleciu literatura, a nadewszystko filozofia francuzka wywierała wpływu na umysły; rzecz to wiadoma, ale nie wiem czy sobie zrobił kto tę uwagę, iż natura tego wpływu była stokroć groźniejszą dla wszelkich różnic i znamion narodowych, niż jest dzisiejsza gallomania, albowiem zcierała ona i z serc i głów wszystko, cokolwiek wyrobiło się w nich pracą kilkunasto-wiekowych tradycyj, i społeczeństwo, jakby wytrzeźwione z bogactw i nabytków duchowych i rodowych, popadało naraz w jakąś czczą formułkę nadającą mu blichtr bezbarwnego kosmopolityzmu. Uczucie narodowe napadnięte wielkiemi słowami: światła, wolnomyślności, cywilizacyi, poloru,

gustu, przytém nieświadome swojéj istoty, bo nieumiejące jeszcze zastanawiać się nad sobą, aby potęgować własne siły żywotne, poddawało się temu wpływowi prawie bez walki, robiąc ogromną hetakombę z wiary, tradycyi publicznych i domowych, obyczajów, zwyczajów stroju, a nawet macierzystego języka.

Do tego to wieku należał Jan Potocki, a jako jenialny umysł, pełen przytém nadzwyczjności charakter, rzucił się weń, i zapragnął nauką przebić się przez ten świat, który niekończył się na jego własnéj ojczyźnie, ale obejmował całą półkulę. Europa, Azya i Afryka stały się celem jego podróży i badań historycznych, archeologicznych, chronologicznych, etnograficznych. Od granic chińskich po stubramne Teby przetrząsł wszystkie początki ludów — bo historya początków wszelkich społeczeństw najeżona najdziwaczniejszemi terminami i dziwaczniejszymi hypotezami ciągnęła ku sobie ten umysł rozświeżony szaloną pamięcią, jak w przepaść. Gdy prace tego rodzaju obchodziły niejeden kraj, ale całą ludzkość, trzebaż je było wyrażać w języku ówczesnéj ludzkości; czyli po francuzku; zwłaszcza, że łacina ten język powszechny uczono-

ści pokąd nauka krzewiła się pod skrzydłami kościoła, wyszła już była z używania. Potocki tedy pisał po francuzku i myślał jak ówcześni filozofowie, mimo tego w pracach uczonych i to najważniejszych nie spuszczał z oka własnego kraju o tyle, o ile ten wchodził w jego poszukiwania historyczne i archeologiczne, co do początków ludów osiadłych na ziemiach słowiańskich; co właśnie stanowi dowód, jak lubił uogólniać naukę, i podnosić ją prawie do rzędu abstrakcyi. — Dążność ta zrobienia nauki własnością powszechną, tłumaczy się w Lineuszu, Cuvierze, Arago, Humboldzie, bo ich warsztatem jest cały obszar stworzonego świata,— lecz aby w historycznych badaniach puszczać się po wszystkich zamorskich narodach i nurtować w ich zamierzchłych początkach, i to w chwili, kiedy własny naród łaknął dziejowego światła i krytycznego obrobienia swych źródeł, na to mogła się tylko zdobyć zarażona pysznym filozofizmem, choć w gruncie najszlachetniejsza dusza. Dla téj to przyczyny, pomimo ogromu nauki znamionującéj prace Potockiego rozstrzelone w narody i najrozmaitsze przedmioty, zawsze jest w nich coś spaczonego, jakby mniéj mu szło

o wykrycie a więcéj o zwalenie jakiéj objawieniem lub powagą wieków uznanéj prawdy. Nieżdaje mi się, aby który z naszych pisarzy miał był wówczas dość bystrości umyślu, a nadewszystko odwagi swych przekonań, do stawienia czoła Potockiemu w jego historyczno-filozoficznych zaciekach — to jednak pewna, że dzieła jego, drukowane w bardzo szczupłéj liczbie exemplarzów, przechodziły prawie nieznane narodowi. Wszakże zaprzyjaźniony z nim osobiście, a mieszkający wtedy w Petersburgu hrabia de Maistre, nie przepuścił mu tych wybryków szarpiących się na powagę objawionych dogmatów; a jak skarcił tę pychę uczoności nieopartéj na głębokim gruncie, jak osądził to oderwanie się od ducha narodu, jak przypomniał mu powinności obywatela, znajdziemy w jednym ustępie listu pisanego doń w r. 1810 z powodu dzieła: *Principes de Chronologie pour les temps anterieurs aux Olimpiades* (St. Petersbourg 1810). .

„W każdym kraju znajduje się pewna liczba rodzin zachowawczych, na których wspiera się gmach państwa, a te są, tak zwaną arystokracyą, czyli szlachtą. Owóż dopóki szlachta trwa w czystości, dopóki przenika ją duch

zupełnie tak będzie myślał jak ja; to już nie podpada najmniejszéj wątpliwości, zwłaszcza, że w umysłach już się zaczyna to przeobrażenie. Ten Potocki, jak się spodziewać, będzie miał także syna, i pewnego dnia powie mu z posępną powagą: słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego dziada....

„Toby cię srodze zmartwiło kochany hrabio.“ —

Niewiem, czyli pełne nauki i bożéj mądrości listy de Maistra sprowadziły Jana Potockiego na prostszą drogę? ale nie zdaje mi się; pyszna nauka i pyszniejsza filozofia nie odrazu ulega powadze chrześciańskich mędrców; dopiero po pewnym przeciągu czasu, kiedy się wyczerpią jéj krótkotrwałe zasoby, ustępuje miejsca żywszéj prawdzie i czystszéj nauce.— A jednak jakaż to ogromna szkoda dla naszéj literatury i nauki, że Jan Potocki nie poprzestał na sławie swego kraju, że odrzucił język ojczysty, że tak mu się niegodnemi zdawały nasze skarby i pamiątki rodzinne! A przecież umysł pragnący owéj nieograniczonéj wiedzy byłby i u nas dosyć miał do czynienia, co więcéj, przez samo zagłębianie się w naszą przeszłość, przez poznanie jakiemi drogami ple-

miona słowiańskie urabiały się i rosły w naród, jakie wpływy wychowały to społeczeństwo, co mu dawało moc i jedność życia, a co targało węzły, co władzę warowało, a co wątliło—ileż mógł być przyczynić gruntownego światła Rzeczypospolitéj, będącéj wtenczas właśnie w tym stanie pasowania się między życiem a śmiercią, kiedy tysiące rad i doradzców, widoków i systematów, a tylko jednego nie dostawało lekarstwa, coby wróciło zdrowie. —

Pozwoliłem sobie tego przypuszczenia, nie w téj myśli, abym miał wierzyć, że napisanie kilku, nawet kilkudziesięciu rozpraw i dzieł o historyi Rzeczypospolitéj, mogło ją było ratować — ale zdawało mi się, że taka nauka, i taka bystrość umysłu, jaka znamionowała Potockiego, potrzebną była wśród téj wewnętrznéj pracy przedsiębranéj przez naród. Wałęsanie się trąciło nawet prawie odstępstwem. A jednak nie jego to wina, lecz tych co mu dali wychowanie. Rzucony od młodu w ręce francuzkich nauczycieli, wożony po francuzkich akademiach, stracił ten instynkt wyssany z mlekiem, co każe pielęgnować własne gniazdko, i kochać wiarę ojców, choć

gdzieindziéj rozkoszniejsze są gniazdka, a filozofowie tacy dowcipni.

Nie podnosiłbym tych niewczesnych żalów, gdybym nie miał przekonania o wielkiéj stracie ztąd wynikłéj dla naszego piśmiennictwa — a głównie gdy się zastanawiam, jakie życie, jaki polot fantazyi, jaka głębokość i prawda uczuć, przebija się w utworze, o którym mówić zamierzyłem.

Nie jest to żadna przesada, ale *Rękopis znaleziony w Saragossie* śmiało można policzyć do najoryginalniejszych utworów w rodzaju powieściowym, i postawić go obok *Złotego osła* Luciusza Apoleusza, Dekameronu, Nowellistów włoskich i hiszpańskich, więcéj dobrym smakiem i ogromną wiedzą, będącą po stronie Jana Potockiego.

Wspomniałem już, że nie wiem czyli krajowe dzienniki pisały o tym romansie Jana Potockiego przy pierwszém jego wyjściu w tłumaczeniu polskiém—mniemam jednak, że mało się nad nim zastanawiano, kiedy przy różnych uwagach nad romansami i powieściami, nie przytaczano go za doskonały wzór, za niewyczerpaną studnię do napisania stu tomów romansów, jakie zazwyczaj pisane bywają

gwoli codziennéj konsumcyi tego towaru. Powodzenie *Rękopisu znalezionego w Saragossie* musiało wszakże być wcale niezłe, kiedy wydawca lipski wydał teraz drugą, ozdobną, sześciotomową edycyę. Czytająca publiczność dowiodła tym razem dobrego smaku, rozkupując tę książkę, która ma tę własność do siebie, że podobnie jak wszystkie doskonałe utwory w rodzaju powieściowym, może być czytaną po wielokroć razy, tak jak czytamy Dekameron, Heptameron, Donkichota, Gil-Blassa, Walter-Skota. Bogactwo szczegółów rzeczywistego i naukowego świata, upoetyzowane oryentalną fantazyą, poostrzone dowcipem, zaprawne urokiem opowiadania budzącego i utrzymującego nieustanny interes, przewija się w tym utworze zupełnie tak, jakbyś w kosmoramie patrzał na coraz zmieniające się sceny, odgrywane na tle widoków hiszpańskich, afrykańskich, włoskich, mexykańskich, a nawet w krainach duchów, wywołanych kabalistycznemi formułami, i tak uprzytomnionych, że wyobraźnia twoja nie przypuszcza na chwilę, żeby to mogło być złudzeniem. Był to wielki czarodziéj ten Jan Potocki; w precyzyi, z jaką opowiada i maluje twory saméj

fantazyi, wiele ma podobieństwa z Hofmanem, z tą jednak różnicą, że niemiecki humoryśta sam wierzył nakoniec w swoje hallucynacye, gdy przeciwnie Potocki nie pozbywał się swego trzeźwego filozofizmu, i jeżeli czytelnika jakimś nadprzyrodzoném zjawiskiem przeraził, lub natchnął w nim wiarę w stosunek zaświata z naszym padołem, nie omieszkał najskrupulatniéj rozburzyć téj złudy wyjaśnieniem zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, co mogły na to przypuszczenie naprowadzać.

W téj myśli ułożony jest nawet cały ten romans, którego treść chciałbym opowiedzieć, ale tylko w najgrubszych rysach; albowiem niema żadnego sposobu, ani streścić, ani poklassyfikować tego mnóstwa wchodzących osób co opowiadają historye swego życia, życia swoich przyjaciół, znajomych, aż do historyi wiecznego żyda. Czuł to i autor, kiedy sam się skrytykował przez usta tego geometry Velasqueza, co przysłuchując się nieskończonym opowiadaniom naczelnika cyganów, zmordowany coraz nową powieścią, wysnuwająca się z powieści, porobił sobie rubryki na tabliczkach, aby mógł wiedzieć co poczém idzie i do czego należy.

W ogóle pomysł do układu swego utworu wziął Potocki ze wzorów, jakie miał w tysiącu nocy i innych powieściach perskich lub arabskich; zaczém i Bokacyusz, i królowa Nawary i tylu innych poszło. Jednakowoż nie przestał na samym pretekscie małéj wagi do opowiadania swych powieści, ale wprowadził interesującego bohatera, którym jest młody Alfons Van Worden, rzucony w stek najdziwaczniejszych przygód. Tak tedy umiał zająć czytelnika w dwojaki sposób; raz osobami stającemi na pierwszym planie, których los gmatwa się i rozstrzyga, których charaktery doskonale utrzymane, nie zacierają się w steku tysiąca osób i zdarzeń; po drugie samemi opowiadaniami, gdzie nie rzadko można spotkać motiwa do całych romansów, i podziwiać sceny zadziwiającéj świeżości.

Ależ starajmy się skreślić główniejszą osnowę. Młody szlachcic walloński Alfons Van Worden, w którym płynęła po matce krew maurytańska Gomelezów, zostaje wyprawionym przez ojca na dwór madrycki. Dzielny i bogobojny młodzieniec opuszcza rodzinny zamek w Ardennach i wsiadłszy na okręt, przybija do Kadyxu, zkąd lądem dąży do kre-

su podróży. Na nieszczęście czy szczęście, obiera drogę przez góry Sierra Morena, i choć go gospodarz w Anduhar ostrzega o niebezpieczeństwach téj drogi, napastowanéj przez złe duchy, rusza śmiało, lecz opuszczony przez mniéj odważnych służących, dostaje się do oberzy Venta Quemada, gdzie właśnie czytał ostrzegającą tablicę, aby żaden podróżny nie śmiał przepędzać w niéj nocy. — Przestroga nie zmieszała nieustraszonego młodzieńca; postanowił nocować w pustéj karczmie, gdzie jednak noc mu przyjemniéj zeszła, niż się spodziewał, bo zajechały dwie prześliczne księżniczki tunetańskie, które odkrywszy mu, że jest ich krewnym przez Gomelezów, zakochały się w nim odrazu, ubolewając tylko, że nie mogły zostać jego żonami, chybaby przeszedł na wiarę proroka, na co naturalnie bogobojny Alfons się wzdrygnął—ale mimo tego przysiągł im, że co zaszło między niemi wieczną pokryje tajemnicą.—Koniec końcem, po twardym ale bardzo rozkosznym śnie, gdy go zbudziło palące słońce, ujrzał się pod szubienicą między dwoma wisielcami. Figiel ten nieprzyjemne sprawił wrażenie i obudził w nim przekonanie, że był igraszką złych dnchów, wszakże

mimo tego nie zapomniał o przysiędze, i choć go w dalszym ciągu wystawiano na najmocniejsze próby, i na pokusy a namowy do przejścia na wiarę proroka, nie dał się ani namówić, ani nastraszyć. — Tryumfem wytrwałości naszego bohatera było przypuszczenie go do tajemnic tych gór, gdzie garstka Maurów z pokolenia Gomelezów od kilku wieków exploatowała bogate kopalnie złota. Zamiarem starego Szejka było nawrócić najzłudniejszemi pokusami na wiare proroka i dać mu tron w Tunecie, ale młodzieniec nie zgubił duszy; że zaś umiał dochować tajemnicy, przypuszczony został do podziału ogromnych skarbów wydobytych z kopalń. -- Takiém odkryciem skończyły się jego przygody w górach Sierra Morena, trwające przez dni siedmdziesiąt, poczém puścił się do Madrytu, gdzie spłynęły na niego zaszczyty i dostojeństwa.

To są ramy, w których mieści się nieskończona liczba powieści i zdarzeń, wymyślanych na uprzyjemnienie pobytu Alfonsowi, a głównie na przeciągnienie go do islamizmu. Szczególniéj historya wiecznego żyda, opowiadana przez niego samego, był bowiem i kabalista, który umiał go zaklęciem sprowadzić, zmie-

rzała do podkopania w bohaterze wyobrażeń chrześciańskich. — Autor rozwinął z tego powodu bogactwa swojéj erudycyi, lubo powiększéj części czerpał je z bezbożnego dzieła Dupuis: *Origines des cultes*; szkoda tylko, że na zbijanie tych uczonych błędów użył tego oryginała geometrę Velasqueza, a nie naszego bohatera, który tylko oburzeniem się protestował.

Te ustępy są może najmniéj zajmujące; za to mnóstwo innych hojnie rozsianych rysów co chwila wprowadza w zdumienie nad głęboką znajomością serca ludzkiego, i nad wysokim talentem twórczym, nigdy niezakłopotanym o wynalezienie jakiego niespodziewanego zwrotu lub rozwiązania. Zdawałoby się, że piszący prawie nie układał sobie planu, tylko pod piórem rodził się koncept, prawdziwie natchniony położeniem, jak to i w życiu nieraz bywa, gdy popadłszy w kłopot, lub sytuacyę nadzwyczajną, wytężonemi tylko siłami duszy, i nieobrachowanym wyskokiem, ratujemy się w nagłéj potrzebie.

Długo byłoby wyliczać ustępy nacechowane temi oryginalnościami, tak zgodnemi z usposobieniem samegoż autora, który miał

być człowiekiem bardzo oryginalnym w całém swojém życiu trawioném jakąś gorączkową niespokojnością, pędzące go w niebezpieczne podróże na stepowiska Tartaryi i Chin, na puszcze Afryki, a nawet w nadpowietrzną żeglugę balonem, w tych czasach kiedy ten wynalazek był prawie w kolebce, i zagrażał największą katastrofą *).

Radbym w tym mojém opowiadaniu zwrócić uwagę czytelników przynajmniéj na niektóre miejsca wybornie wykonanych obrazków, a zalecających się humorem, jakiegoby mu pozazdrościć mogli wszyscy humoryści dzisiejsi. Wybór tu jest trudny, bo to piękne, a to interesujące. to pełne świeżości, a to dowcipu, to wzrusza i unosi, owo bawi i nieraz

*) W r. 1788 aeronauta Blanchard pokazywał doświadczenia z balonami w Warszawie; do téj napowietrznéj podroży tak się zapalił Potocki, iż rzeczywiście w towarzystwie Blancharda i sługi swego Turczynka wzniósł się balonem z ogrodu pałacu Mniszchowskiego ponad miasto. Dał on tu dowód odwagi i krwi zimnéj, bo gdy rozpalony zanadto piecyk żelazny groził obróceniem w perzynę całego mechanizmu, a ów Turczynek przejęty obawą chciał wyskoczyć z łódki, Potocki z wycelowanym doń pistoletem zmusił go do pozostania i pomocy przy wyrzuceniu owego pieca. Zapędzeni wiatrem, niedaleko Woli wysiedli szczęśliwie.

do śmiechu pobudza. — Jakaż to przedziwna historya tego rozbójnika Zoto, zaczynająca się od historyi jego własnego ojca, prowadzącego rzemiosło ruśnikarza w Benewencie! Prawdziwie trudno się oprzeć, żeby nie przytoczyć choć w skróceniu jednego ustępu, przypominającego najlepsze nowelle włoskie Fiorentina, Giraldi Cintio, lub Bokacego.

„We trzy lata po ożenieniu mego ojca, siostra młodsza mojéj matki zaślubiła handlarza oliwą, nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jéj parę złotych kulczyków i takiż łańcuszek na szyję. Matka moja wróciwszy z wesela, zdawała się być pogrążoną w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie; ona długo wzbraniała się mu ją wyznać; nakoniec odkryła żal swój, że nie miała podobnych jak siostra kulczyków i łańcuszka. Ojciec mój nic na to nie odrzekł, tylko misternéj roboty strzelbę, nad którą lat cztery pracował i cenił sobie trzysta neapolitańskich uncyj złota, wyniósł na miasto i sprzedał za 80 uncyj, za co kupił kulczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka moja tegoż samego dnia poszła pochwalić się przed żoną Lunarda i niesłychanie ucieszyła się, gdy

znaleziono kulczyki jéj daleko piękniejsze i bogatsze.

„W tydzień przyszła w odwiedzinach do matki mojéj żona Lunarda, i miała warkocz przytwierdzony wielką złotą szpilką, zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta róża zapuściła w serce mojéj matki dotkliwe kolce. Znowu zaczęła się dręczyć, aż ojciec przyrzekł, że jéj taką samą kupi; tymczasem taka szpilka kosztowała 45 uncyj, a on nie miał tyle pieniędzy ani sposobu zarobienia ich, więc popadł w ciężki smutek.

„Aż pewnego dnia wszedł do sklepu Condotiere tamtejszy, niejaki Grillo Monaldi, przynosząc pistolety do wyczyszczenia, widząc zaś posępność ojca mego, zapytał o przyczynę i ten mu wszystko wyjawił. Na to Monaldi: Panie Zoto, jestem ci więcéj winien, niżeli sam sądzisz; przed kilkoma dniami znaleziono mój sztylet w ciele człowieka zamordowanego na drodze do Neapolu. Sąd posłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspaniałomyślnie oświadczyłeś, że go poraz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet ten wychodził z twego warsztatu i mnie samemuś go sprzedał. — Ofiarował mu zatém 45 uncyj; ojciec

mój przyjął z wdzięcznością, i zaraz pobiegł kupić złotą szpilkę, w któréj tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

„Należało się spodziewać, że pani Lunardo znowu się ukaże w bogatszym jakim klejnocie, lecz inny powzięła zamiar; oto chciała pójść do kościoła z najętym lokajem w liberyi. Lunardo niesłychanie skąpy, przystawał łatwiéj na kupno klejnotów, bo mniéj było straty; ale zupełnie odmiennego był zdania, gdy go proszono o dwie uncye złota dla próżniaka, który nie wiedzieć czego przez pół godziny miał stać za ławką jego żony.

„Jednakże pani Lunardo tak go męczyła, że postanowił nakoniec dla oszczędności sam ubrać się w liberyę i pośpieszyć za żoną do kościoła. Odtąd znałazła, że mąż równie był zdolnym do tego rzemiosła, jak ktokolwiek inny, i w nadchodzące święta ukazała się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Sąsiedzi śmiali się, ale ona przypisywała to uczuciu zazdrości.

„Owóż gdy zbliżała się do kościoła, dziady i baby zaczęli krzyczeć na całe gardło: Mira Lunarda che folu criadu de sua mugiera. Po-

nieważ jednak żebracy tylko do pewnego stopnia posuwają śmiałość swoją, przeto spokojnie weszła do kościoła, gdzie rozstąpiono się przed nią z wszelkiém poszanowaniem. Podano jéj wodę święconą, posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wraz z innemi kobietami w kruchcie.

„Za powrotem do domu matka moja zaczęła natychmiast obszywać stary niebieski kaftan mego ojca, starym galonem odprutym od ładownicy. Ojciec zapytał o przyczynę, na co opowiedziała mi postępek siostry i grzeczność jéj męża. Lecz ojciec mój odparł, że nigdy się na to nie zdobędzie; wszelako następnéj niedzieli najął za uncyę ugalowanego lokaja, który poszedł za matką moją do kościoła. Pani Lunardo musiała tym razem ustąpić siostrze.

„Tego samego dnia, po mszy, przyszedł do nas Monaldi i powiedział memu ojcu, że wie o dziwactwach jego żony. „Jeżeli spiesznie temu nie zaradzisz, będziesz nieszczęśliwym na całe życie; masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub téż jąć się rzemiosła, któreby zaspokoiło jéj skłonność do wydatków. Chwycisz się pier-

wszego sposobu, ofiaruję ci moję laskę. któréj często używałem z nieboszczką moją małżonką. Nie jest to wprawdzie jedna z tych czarodziejskich lasek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł a nawet czasami i skarbów, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec, a drugi przyłożysz na plecy twojéj żony, zaręczam, że wkrótce ją wyleczysz z tych grymasów. Z drugiéj strony jeśli pragniesz zaspokoić wszelkie jéj żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych zuchów w całych Włoszech, którzy nateraz radzi przebywają w Benewencie, jako w mieście pogranicznem. Sądzę, że mnie rozumiesz; namyśl się i daj odpowiedź!"

„Monaldi położył swą laskę na warsztacie i odszedł. Tymczasem matka moja wróciła z lokajem wielce uradowana, lecz czekało ją niespodziewane przyjęcie. Ojciec pochwycił ją za ramię, i czarodziejską laską zaczął wykonywać rady Monaldego. Matka padła zemdlona — małżonek przestraszył się, wyrzucił laskę i u nóg błagał przebaczenia.

„Nie pozostało mi nic innego jak donieść Monaldemu o małym skutku czarodziejskiéj laski i prosić o drugi środek.—Monaldi na to:

Dziwi mnie, że nie mając serca ukarać własnéj żony, .myślisz, że się zdobędziesz na zastępywanie podróżnym na publicznéj drodze. Wreszcie możemy się o tém przekonać; serce ludzkie składa się z tylu przeciwieństw. —

„Odtąd ojciec mój uzbrojony w szpadę i sztylet, z postacią zuchwałą, przechadzał się co wieczór pod gałeryą Madonny. — Po dwóch tygodniach jakiś nieznany mu człowiek zbliżył się doń i rzekł: Oto sto uncyj złota, za pół godziny ujrzysz dwóch młodych ludzi z białemi piórami na kapeluszach. Zbliż się do nich i spytaj: który z Panów jest margrabią Feltri? — jeden z nich ci odpowie: ja nim jestem. Natenczas pchniesz go sztyletem, ale uważaj dobrze — w samo serce. — Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie — i został rozbójnikiem....“

Przecudny ten kawałek malujący tak doskonałymi rysami walkę prożności niewieściéj i słabości mężczyzny co nie może zwalczyć kobiecego grymasu, a z zimną krwią topi sztylet w piersi pierwszego przechodnia — jest tylko ustępem do téj przedziwnéj historyi rodziny rozbójniczéj, w któréj mały Zoto odgrywa rolę nieubłaganéj zemsty na takim samym jak

on malcu, tylko dziecku księcia. Z jednéj i z drugiéj strony prawdziwa zaciętość i walka demokracyi z arystokracyą.

Do ustępów najbardziéj obfitujących w wyborną charakterystykę osób, i sceny wysokiéj Homilii, jest opowiadanie naczelnika Cyganów, jego przygoda z własnym ojcem, tak wielkim pedantem porządku, że jedynak jego nigdy nie mógł postać nogą nietylko w mieszkaniu, ale w domu ojcowskim, wszakże pewnego dnia ciotka wzięła go ze sobą, chcąc staremu zrobić niespodziankę — wchodzą do pokoju—niema nikogo; czekają więc na przybycie dziwaka; tymczasem chłopcu się nudzi i włazi na piec, gdzie stał kocieł z atramentem; dziwak ten miał bowiem za największą przyjemność obdarzać wszystkich literatów madryckich atramentem przez siebie sporządzonym—słychać kroki za drzwiami: chłopak chce zeskoczyć i potrąciwszy, tłucze gliniany kocieł, zalewając całą izbę czarną powodzią.. Nie było co robić jak umknąć i biedz, gdzie oczy poniosą!... Dziwne to przygody, których ten chłopak w świat samopas rzucony doświadczał! któryż z naszych dzisiejszych romansopisarzy ma coś tak oryginalnego, jak owe

psoty młodych uczniów, wyrządzone owemu świątobliwemu Teatynowi, który tak zwycięzko opiera się najniebezpieczniejszym pokusom?

Walka ta poczciwego zakonnika nietylko jest głęboko psychologiczną, ale i wzruszającą. Bokacy ani żaden z nowellistów dawnych nie byłby tak historyi téj skończył, jak ją przeprowadził Potocki, w czém właśnie dowiódł niezmiernéj swéj wyższości.

A teraz ileż rozmaitości w charakterach! ile tam pochwyconych rysów w głębokich jak widać, studyach nad ludźmi i światem! Co może być pocieszniejszego i melancholiczniejszego jak ten zapalony matematyk Don Henrico, któremu brat przybywający z dworu Ludwika XIV i nic nieumiejący, tylko stroić się i tańczyć sarabandę, porywa z przed nosa narzeczonę, i stopień pułkownika artyleryi! — Biedak nie śmie nawet upominać się, tylko przebolawszy ten cios, idzie na komendanta do Ceuty, gdzie nikt jego wielkich kombinacyj w umiejętności Cohorna lub Vaubana potrzebować nie będzie. — Lata goją największe rany — toż i rany Don Henryka przywrzały, ożenił się, miał syna i sam uczony, nie kazał

go nic uczyć, ciągle powtarzając: Synu, nic ci nie trzeba umieć, tylko sarabandę i menueta; pamiętając bowiem na własne nieszczęścia, których źródłem była sarabanda i maniery francuzkie, chciał jedynaka wychować do lepszéj doli. — W powieści téj wyborna przychodzi scena, gdy jakiś zbieg Francuz prezentuje się pod tytułem markiza. — A umiesz Waćpan tańczyć sarabandę? — Francuz za całą odpowiedź porywa skrzypeczki, gra i skacze. — Don Henrico nieposiada się w uniesieniu, że dostał przecie człowieka, który mu syna wyedukuje. — Doskonała satyra! prawdziwa, bo z życia wzięta...

Jeszcze jeden rys z tysiąca rysów. Jestto historya uczonego matematyka Diego Herwesa, a trzeba wiedzieć, że Potocki musiał wybornie znać nauki matematyczne, bo nieraz całe rozmowy i porównania układa z formuł algebraicznych. — Otóż ten Herwes wypracował dzieło w hiszpańskim języku, co było nowością, dzieło traktujące o lygarytmach i analizie, któremu dał tytuł: „*Odsłonione tajemnice analizy wraz ze świadomością nieskończoności wszelkiego rozmiaru.*“ Tytuł wprawdzie tajemniczy, ale rzecz nie bez wartości umiejętnéj.

Budując wiele na pracy swojéj, która miała mu otworzyć wyższy zawód w świecie, zebrał co miał funduszu na druk i dał rękopis do cenzury. Cenzorowie wydziału teologicznego zaczęli stawiać niektóre trudności, z powodu, że analiza ilości nieskończenie małych, zdawała się sprowadzać do atomów Epikura, którą to naukę kościół surowo potępił. Wytłumaczono im, że to chodziło o ilości oderwane, nie zaś o cząstki materyalne i cofnięto zaskarżenie. Z cenzury przeszło do drukarza—odbito wielki tom in 4to w 1000 egzemplarzach, który autora kosztował 700 pistolów — gdy się zaś spodziewał wziąć za egzemplarz po trzy pistole, miał w nadziei 2300 pistolów czystego zysku. Cała edycya przeniosła się naturalnie do sklepu księgarza, który za pewnym ustąpionym sobie procentem miał zająć się sprzedażą książki. — Herwes tymczasem mieszka sobie w oberzy i czeka na pieniądze zbierające się u księgarza—jakoż wyczekawszy kilka tygodni, zgłasza się i odbiera odpowiedź, że jeszcze nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Dotąd jest to historya zwyczajna wszystkich autorów; teraz następuje mniéj zwy-

czajna, ale jednakowoż powtarzająca się i za naszych czasów, lubo pod innemi formami.

Herwes wróciwszy do gospody z pustą kieszenią, zastał na domiar nieszczęścia nadwornego alguazila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu, i zawiózł do wieży Segowskiéj. Dziwném jest, że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca: Egzemplarze wystawione w oknie u księgarza, wpadły w ręce kilku ciekawców, uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich przeczytawszy tytuł: Odsłonione tajemnice analizy, rzekł, że musiał być jakiś paszkwil przeciw rządowi; drugi przypatrzywszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem, że niezawodnie była to satyra na Don Pedra Alanyez ministra skarbu, gdyż analysa była anagrammem nazwiska Alanyez; następnie zaś część tytułu o nieskończonościach rozmiaru t. j. tak o nieskończenie małych jak o nieskończenie wielkich, wyraźnie stosowała się do tego ministra, który w istocie materyalnie był nieskończenie małym, nieskończenie grubym, moralnie zaś nieskończenie wyniosłym i nieskończenie poziomym. Wkrótce wszyscy balwie-

rze a zn nimi cały lud nauczył się tych dowcipów na pamięć. Odtąd nie nazywano inaczéj ministra Alanyeza, jak Senorem Analizą nieskończoności wszelkiego rozmiaru. — Doszło to do uszu dygnitarza, który nie wchodząc w bliższe szczegóły, kazał naprzód uwięzić autora, następnie skonfiskować wydanie. Dziś zapewne ministrowie są mniéj uraźliwi, a więcéj światli jak Senor Analiza, ale za to jakżeż często trafia sie słyszeć zwykłych czytelników, nawet liczących się do intelligencyi, tłumaczących sobie najprzewrotniéj rzeczy same przez się najprostsze! Czytać a rozumieć—wcale nie jest synonimem.

Otóż to co nadaje tak wysoką wartość téj książce Jana Potockiego, to, co jéj zapewnia równą trwałość jak tworom Bokacego, Cerwantesa, Lesaga, Fieldinga, Walter Skota; — chociaż z drugiéj strony nie życzyłbym nikomu naśladować tak zawikłanego planu, jakiego Potocki trzyma się w swoim romansie; taki tam bowiem nawał osób i zdarzeń, że czytelnik najbystrzejszy nie mogąc ogarnąć całości, czuje się nieraz znużonym, i w gniewie cisnąłby książkę, gdyby za każdém zniecierpliwieniem się, nowa jąka powiastka czarownym

sposobem nie więziła jego ciekawości i uwagi. Jestto więc raczéj niewyczerpany skarbiec powiastek, a nie całość obmyślana i rozumnie przeprowadzona, co dowodzi, że siła fantazyi górowała w Potockim nad innemi władzami duszy.

IX.

MONOGRAFIE HISTORYCZNE I ARCHEOLOGIA.

Cmentarz Powązkowski i Wzory Sztuki średniowieczněj.

Zdawałoby się biorąc rzeczy w logicznym porządku, że z dobrze poznanych i przetrawionych cząstek, można dopiero całość zupełną układać; z poznania drobnych sprężyn, i na pozór oderwanych faktów, z ocenienia działających w nich charakterów wyprowadzać ogólne spostrzeżenia i wnioski odnoszące się do całych epok. Przynajmniéj w pisaniu historyi warunek ten byćby powinien niezbędny; bo jakżeż można ręczyć za pewność wniosku, jak uznać trafność poglądu, jeżeli niema da-

nych, jeżeli prócz gołego nazwiska człowieka, nie będziemy o nim więcéj wiedzieli jak, że taki lub inny tytuł nosił, urząd piastował? jeżeli o jakim wypadku sądzić mamy li tylko z oficyalnéj relacyi, a nie z wrażenia i wpływu jaki mógł na społeczeństwie zrobić.

Tymczasem zazwyczaj dzieje się przeciwnie. Ogólne historye idą przed historyami pojedyńczych narodów; te, poprzedzają dzieje osobnych okresów i panowań szczególnych; ostatnie zaś zwiastują dopiero obrazy historyczne pewnych głośniejszych traktatów, wojen i innych dziejowych zjawisk, a między tymi i monografie pojedynczych ludzi.

Wsteczne to na pozór postępowanie, ma jednak swoją uzasadnioną przyczynę, swoją konieczność. Naród się bowiem pierwéj interesuje poznaniem ogólnych dziejów świata, którego jest cząstką, pierwéj zwraca uwagę na koleje jakie przebył, pierwéj czerpie pojęcie i uczucie wielkości swych przeznaczeń, niż pyta o dokładność szczegółów; bo szczegóły albo mu są wiadome z żywo przechowującéj się tradycyi, albo téż zapisane w aktach domowych, ukrywanych zazdrośnie. W póżniejszych dopiero latach dziejowego życia narodu,

kiedy pewne epoki odbiegły w głąb, kiedy się wiele tradycyjnych włókien porwało, rozpoczyna się na obrazie wielkiemi rysami oznaczonym, miniaturowa praca szczegółów: wypełniają się puste lub nieokreślone miejsca, barwią się twarze, światło w cień zaziera, występują całe postacie ożywione i działające.

Tego rodzaju praca odpowiada zupełnie potrzebom dzisiejszéj badawczości usiłującéj wszystko wyprowadzić na widownię, aby odkryć najtajemniejsze sprężyny poruszające wypadkami i ludźmi, i o nich sąd potomny, sąd historyi wydawać. Nieoceniony jest to przywilej, niezmierna potęga, przed którą staje wszystko: wielkie i małe, rozumne i ciemne, szlachetne i podłe, zbrodnicze i cnotliwe, aby odebrało swoją nagrodę złą czy dobrą, — a współczesnym na wszelkich stopniach hierarchii społecznéj niosło ostrzeżenie i przykład. Szczególniéj co do bliższego poznajomienia się z osobami stojącemi bądź u steru władzy, bądź mającemi wpływ na sprawy kraju, zwyczajnymi lub wyjątkowymi, statystami, hetmanami, mężami kościoła, myślicielami i uczonymi, wiek dzisiejszy zrobił i robi wiele. Coraz wyłania się jaka postać z mroków dziejowych,

któréj rysy uzupełnione i uwydatnione a często i powiększone tém szkłem, co patrzy *con amore* na swój przedmiot, przybliża nam odległe czasy i ledwo nieuobecnia.

Historyczne prace przyjąwszy u nas ten kierunek mają tę niepośledną zasługę, że dzisiejsze pokolenia wiążą z umarłemi, zapomnianemi pokoleniami; ludzki węzeł uczuć namiętności, czynów, pragnień, ofiar i cierpień, zadzierzga się na nowo, pasma duchowe splatają się, i co minęło nie ginie, ale ożywia się w pamięci. — Ile zaś to podnosi moralną stronę, łatwo zrozumieć. — Charakter wielki, niezłomny, jednego odlewu, ma zawsze coś sympatycznego, udzielającego się, i że tak powiem: zaraźliwego, w dobrém znaczeniu. Stary to pewnik jeszcze od czasów Plutarcha, od tego Plutarcha w którego żywotach nietyle podziwiam jego znajomość starożytności, w obyczajach nawyknieniach i najskrytszych postępkach życia bohatyrów, ile wielkie uszanowanie dla nieszczęścia i gorącą miłość cnoty — bo cnota i nieszczęście to główne przedmioty jego czci po bogach.

Monografia historyczna ma więc dziś podwójne znaczenie: moralne i scientyficzne; sa-

ma bowiem umiejętność zyskuje na tém, gdy w dramacie dziejowym pokazują się nam, nie grobowe tablice z gołém imieniem, ale potęgi dające się z każdéj strony obejrzeć.

Guizot rozumiejący zadanie historyka, bo sam i wiele mówił i zrobił w tym przedmiocie, niedarmo przywiązał niepoślednią wagę do monografii powiadając: *des monographies étudiées avec soin me paraissent le moyen le plus sûr, pour faire à l'histoire de veritables progrès.*

Że monografie są widocznym postępem w nauce historyi, że wiele przyczyniają się do rozbudzenia dla niéj interesu powszechniejszego, możnaby to i u nas pokazać kilkoma przykładami.

Monografia M. Balińskiego, Szajnochy, Bartoszewicza, M. Dzieduszyckiego, który w swoim Zbigniewie Oleśnickim i Skardze, zamknął prawie dwa wieki kościoła i Rzeczypospolitéj, i zapaleniem tych dwóch pochodni rozjaśnił głębiéj mroki przeszłości niż ktokolwiek przed nim uczynił; — monografie te mówię, nietylko zpoufaliły nas z przeszłością, ale wlały w nią interes rzetelniejszy bo zasadzony na tym wrodzonym pociągu do śledzenia tajemnic natury ludzkiéj, czy ze strony

serca, czy charakteru, czy umysłu czy fantazyi. Ukazanie jednéj całkowitéj postaci, pociąga za sobą poznanie innych, a zatém i poznanie wszystkiego, co je otaczało w spółczesnym świecie; ztąd przez ściślejsze badania poprzestające na mniejszym obrębie zdobywają się pewniki, odsłania się prawda, ten najwyższy cel historyi, ta prawda co ma jeszcze tę własność, że bardziéj ku sobie pociąga niż najartystyczniejsze zmyślenie.

W rzeczy saméj nic większego nie dodaje uroku historyi, jak prawda wydobyta z pomroku czasów, zawikłań, nienawiści, namiętnych uprzedzeń — bo daje rzeczywistość taką, jaka była, jaka jest i będzie. Obok prawdy historycznéj, jakże bladym jest każdy romans! — Dziwić się potrzeba, że smak publiczny nad historyę romans przenosi, jakby to w historyi nie znalazło się to wszystko co się mieści w romansie? W niéj przecież spotykamy życie ludzkie, życie domowe, wewnętrzne, z najrozmaitszemi i najdramatyczniejszemi scenami, widzimy serce ludzkie z najżywszemi i najtkliwszemi najmiętnościami, a wszystko skąpane w nieporównanym uroku, bo w uroku rzeczywistości. Podziwiam i unoszę się jak każdy

inny nad władzą wyobraźni i fantazyi, władzą twórczą, wywodzącą z niczego postacie, które ożywia, barwi, każe i żyć i ruszać się, — rozsypującą skarby duszy po najzawilszych kolejach losu; lecz obok tych połóżmy osoby, co żyły rzeczywiście, co przeszły nie przez urojone rózgi losu, co wrzały gorączką krwi, namiętnością, co doznały radości i smutków, rozkoszy i cierpień robiących na nas zazwyczaj tak potężne wrażenie — a przekonamy się, że osoby takie pokazane z bliska, poufale, w świetle dnia, daleko silniéj przyciągną i głębiéj utkwią w duszy, niż najokrzyczańsze utwory poetyczne i romansowe.— Jeżeli istota żyjąca, to dzieło rąk bożych ukaże nam się w rysach przypominających boskie jéj pochodzenie, natenczas piękniejszą jest niż najzawołańszy płód wyobraźni człowieczéj. Pan Bóg bowiem największy podobnoś ze wszystkich poetów. — Romantyczność przygód, uczuć romansowość, charakterów idealność, spotyka się nieraz w rzeczywistości — dlaczegóżby nie mogła się znaleść pod piórem historyka? Dzieje namiętności ludzkiéj dawniejsze są przecież niż oficyalne traktaty, kongresy, manifesty, uniwersały, rozprawy sejmowe i t. d. —

w nich téż bywa właściwe źródło tych publicznych objawów tak zazwyczaj suchych, a zapisywanych tak skrzętnie w rocznikach narodów.

Monografie, jak mówiłem, najwięcéj nastręczają sposobności odsłonienia stron wewnętrznych, psychicznych człowieka, przez co nietylko dostarczają historyi ogólnéj gotowych i zupełnych postaci i robią ją prawdziwym dramatem życia, ale nadto podnoszą czytelnika do téj wysokości moralnéj na jakiéj stał mąż będący tych studyów przedmiotem.

Z tego wynika pewna konieczność w wyborze osób mających niepospolite w historyi znaczenie, a sądem świata uznanych za coś wyższego, przodkującego spółeczeństwu czynami poświęceń się, pracy, nauki, charaktérem, męztwem, bystrością organizacyjną, wytrwałością niedającą się złamać przeszkodom.

Widzimy w składzie towarzyskim miliony jednostek pełniących obowiązek włożony na nie pozycyą, stanem, majątkiem, powołaniem, pełniących źle lub dobrze — w to nie wchodzę — ale zawsze krążących w tym deptaku, który zowiemy życiem powszedniém—zasługi ich lub grzechy osądzi sędzia Najwyższy—

w Niebie—osądzą ich znowu po ludzku krewni, znajomi, najbliżsi sąsiedzi, ale kraj cały, a jeszcze mniéj świat, nie może się nimi tak interesować, żeby aż potrzebował wiedzieć wszystkie szczegóły ich życia prywatnego, nie wychodzące poza obręb zwyczajności. Takie i tym podobne jednostki, choćby im powznoszono monumenta trwalsze od spiżu, nie miałyby nigdy prawa zajmować naszéj uwagi, chyba samemi monumentami, gdyby te miały wartość dzieł sztuki. — Dla téj przyczyny, mniemam dość naturalnéj, pisarze monografij historycznych wymijają zazwyczaj te jednostki, co nie przerastają głową społecznéj rzeszy, co w niéj toną jak krople w morzu, a wysadzają takie, co były głośne za żywota, co zostawiły po sobie niezatarte ślady instytucyj, dzieł pisanych, malowanych, rzeźbionych, dobroczynnych zakładów, wynalazków, ulepszeń, co wreszcie życiem swojém przyłożyli się bądź do wielkości Rzeczypospolitéj, bądź do jéj upadku. Scena historyi — to wielka arena, a nie teatr maryonetek.

Dziwi to więc, kiedy u nas, w tak jeszcze niedoskonałéj gałęzi historycznéj, natrafiamy na produkcye monograficzne uwłaczające nie-

jako temu rodzajowi. Czemuż zawsze z użyciem, chodzi u nas w parze nadużycie? Czemu mając zaledwo kilka monografij godnych tego nazwiska, wyraja się zaraz cały szereg monografij osób zupełnie, lub bardzo mało znanych narodowi, osób o których wprawdzie dało się napisać wiele, bo o kimże coś napisać niemożna? ale nie idzie za tém, aby na wielkiéj szali zasług, stały one wyżéj od tych, co nie znalazły swoich biografów, lub co mają szczęście, czy nieszczęście, spoczywać snem wiecznym gdzieindziéj jak na Powązkowskim cmentarzu.

Chcę tu mówić o publikacyi znanego i zasłużonego pisarza naszego K. W. Wójcickiego, która drugi już rok zeszytami wychodzi pod tytułem: *Cmentarz Powązkowski pod Warszawą*.

Dziennikarskie nekrologi tyczące się osób mniéj więcéj znanych w kołach towarzyskich a niknących codziennie, dają się zupełnie usprawiedliwić — bo pamięć ich, choćby najjaskrawszym wieńcem pochwał nakryła, niema najczęściéj pretensyi do dłuższego trwania w pamięci narodu, jak żywot dwudziestoczterogodzinny zadrukowanego na wszystkie boki arkusza. Lecz aby dzieło osobne, aby pióro

tak zasłużone poświęcać wspomnieniom tylu nieboszczyków, skazanych z natury swéj na zapomnienie, — nie widzę wyższéj przyczyny, chyba tę, że autor chciał nam dać przedstawienie średniowiecznego tańca umarłych, *danse Macabre*, gdzie śmierć z kosą zmiata głowy ukoronowane, umitrzone i utrefione zarówno z nieczesanemi — chudego pachołka z senatorem, klechę z prałatem, żołnierza z hetmanem. Zapewne widok to budujący i nauczający o marności rzeczy ludzkich, obracających się w proch niwellującéj nicości — ale zdaje mi się, że nie o to szło szanownemu autorowi Powązkowskiego cmentarza. Chciał on poprostu wziąć pochop do napisania żywotów tych osób, co spoczęły na Powązkach, a zasługami życia zarobiły sobie na pamięć u potomności.

Wszakżeż wyraźnie odstępuje od téj myśli, gdy powiada w przedmowie, że cmentarz Powązkowski jest jak księga zawsze otwarta, któréj pierwsze kartki on zaczyna, „a czas je daléj i obca już ręka zapisywać będzie,“ — więc potrzeba rozumieć, że nie same wybrane żywoty zasłużonych osób, ale stek nekrologów, pisanych zapewne w żalu przez kre-

wnych, przyjaciół, znajomych, znajdzie tu swoje pomieszczenie, zwyczajnie jak na cmentarzu.

Dogodny to jest pomysł dla serca i dla wielu miłości własnych, ale niebogacący literatury naszéj interesującemi i ważnemi biografiami.

Wiedząc tylko z posłuchu o téj publikacyi szanownego Wójcickiego, wyobrażałem sobie, że on pochop weźmie do swoich żywotów z tych tylko grobów co kryją znamienitsze kości, i że kreśląc takie wspomnienia, da coś w rodzaju skończonych monografij. Tymczasem gdy mnie doszły wydane dotąd zeszyty, przekonałem się, że to jest zbiór nekrologów, gdzie między stekiem imion znanych na jednéj może ulicy, a dziś nieobchodzących nikogo, chyba najbliższych potomków w prostéj linii, (którzy jeśli mają pamięć serca, to im przypominać nietrzeba), zawadzi się tu i ówdzie głośniejszy i zasłużeńszy nieboszczyk. Jakoż na paręset nazwisk kilka ledwo, jak: Malczeskiego, Żołkiewskiego, Dmochowskiego Fr., Godebskiego, Majewskiego, Skorochoda, Ludwika Osińskiego, Kruszyńskiego Jana, Krzyżanowskiego Adryana, Ra-

kowieckiego i kilku Pijarów, może mieć dla ogółu czytelników żywszy interes; chociaż niewiem dlaczego przy bogactwie biograficznych zasobów autora, znajdujemy zamiast pełnych żywotów, tylko słabe wzmianki i szczegółki dopełniające to, co już zkądinąd ma być wiadome. Zamiast tedy takich ułamków, jakie podane są o Malczeskim, Godebskim, Dmochowskim i o wielu innych, miło byłoby nam czytać doskonale wyczerpnięte żywoty. Natomiast autor innéj chwyta się metody; do lada wzmianki o jakiéj osobie (niespoczywającéj na cmentarzu Powązkowskim) dodaje długie przypiski, co wszystko tworzy prawdziwą mieszaninę, magazyn biograficzny, z którego zawsze można czerpać materyał, ale który nie tworzy umiejętnie i artystowsko pomyślanego i obrobionego dzieła.

Oto mi właśnie idzie i na téj kładę nacisk: że zamiast udatnéj całości, znalazłem mieszaninę nieprzetrawionych notat. — Chociaż z drugiéj strony nie mogę powiedzieć, żeby autor nie trzymał się pewnego planu; owszem trzyma się z ścisłością prawie do stronniczości posuniętą, a to szczególniéj z tego względu, że wyraźnie stroni od nagrobków

tych osób co miały tytuły, zaszczyty, wysokie urzędy cywilne lub wojskowe, a nawet duchowne; za to szeroko rozwodzi się o Dziubińskim, Zakrzewskim teorbaniście, Widackim i tym podobnych; co zaś się tyczy artystów dramatycznych i wszelkiego rodzaju muzykusów, tym już poświęca bardzo szczegółowe opisy i zatrzymuje się dłużéj, niż to wszystko warte.—Przyznam się jednak, że daleko więcéj zainteresowałaby mię biografia prymasa Poniatowskiego, Stanisława, Antoniego, Franciszka Potockich, nie wchodzę pochwalna, czy ganiąca, ale zawsze odnośna do ludzi, których, jak mówi Pasek: w kaszy zjeść nie można. Niechcę przesądzać, lecz może być, że autor nie miał materyałów do napisania o nich; chociaż na brak materyałów względèm innych nieboszczyków wcale narzekać nie może. Ta sprawiedliwość oddana cieniom byłaby rzeczywiście na swoim miejscu; surowo sądzić ich można, pomijać zaś lub niczem zbywać — nie godzi się.

Teraz jeżeli mi wolno jeszcze jedną zrobić uwagę — powiem, iż nie tyle zapewne ze złéj chęci autora porodziły się te różne niestosowności, ile wola jego uległa źle obmyślanemu

planowi, który go wciągał w niepotrzebne gadaniny o dawno zapomnianych ludziach. — Obszerne wiadomości historyczne, obfitość studjów, mogły były naprowadzić szanownego Wójcickiego na pomysł szczęśliwszy, a odpowiadający dwom zarazem celom. Komuż, jeżeli nie jemu przystało obdarzyć kraj zbiorem starych monumentów, rozsypanych po kościołach ziemi naszéj? Byłaby to śpuścizna wzięta wprost po Starowolskim, lecz podniesiona krytyką historyczną i uzupełniona środkami dzisiejszéj sztuki; co zaś do trudu zbierania napisów i rysunków, takowy wyrównywałby mozolnéj a mniéj wdzięcznéj pracy około opisywania żywotów powązkowskich nieboszczyków, których powiększéj części można było nie ruszać, gdy tak sobie spokojnie odpoczywali na łonie wieczności. Że dzieło podobne nie przedstawiałoby nadzwyczajnych trudności, wiemy ztąd, iż znaczna część grobowych pomników obrobioną lub spisaną została w monografiach różnych miast jak: Krakowa, Warszawy, Lwowa, Poznania, Tarnowa, Wilna, Przemyśla, oraz w wycieczkach przedsiębranych przez naszych archeologów.— Zapewne niejeden napis może być mylnie podany,

niejedno wytłumaczenie fałszywe, a historyczny domysł płonny; lecz zawsze tyle jest zrobionego, że dodawszy poprawki, i to co opuszczoném zostało, łatwo dałaby się wspaniała całość ułożyć.—Zebranie podobnych materyałów nie podpadałoby nawet wielkim trudnościom; bo cóż łatwiejszego jak zobowiązać tu i owdzie z miejscem obeznane, a historycznéj nauce nieobce osoby, ażeby wiernie kopiowały napisy kamieni grobowych, jeżeli napis jest z nowszych czasów, lub robiły odciski z nich, jeżeli kamień sięga 15go, 14go lub 13go wieku, lub nakoniec wzywały pomocy dobrych rysowników do zdjęcia monumentu, jeżeli tenże zasługuje na to pod względem sztuki. Archiwa radzieckie, kościelne mogłyby nieraz przybyć w pomoc z niejedną historyczną skazówką, tyczącą się nagrobka; tym sposobem zyskiwałyby się dla historyi publicznéj i familijnéj ciekawe, a pewne skazówki, przeciw którym nie śmiałby nikt dotknięty czy nieukontentowany niedostateczną pochwałą protestować, chyba archeolog lub historyk za pomyłkę lub niedokładność. — Pióro historyka miałoby także piękne pole rozwinąć swój lot ilekroć trąciłoby o święte lub wielkie prochy jakiego

bohatyra narodu, a czytelnik znachodziłby jeszcze tę niezrównaną przyjemność, że pytałby dobrze odwzorowanych rysów śpiącego snem kamiennym bohatyra, o potwierdzenie tych dzieł i myśli, jakie o nim zanotowała historya. Ta przeszłość narodu w monumentach, co znikają codzień, co w większéj połowie znikły już ze świątnic—tworzyłaby rzec można, źródłowy dokument do historyi naszéj. Dotąd posługiwano się zazwyczaj Starowolskim, choć jego spis napełniony tylą myłkami przepisywaczy, choć w nim opuszczone są prawie wszystkie napisy gotyckie, których paleografi ówcześni czytać już nie umieli, czy nie chcieli. Praca ta sama prosi się, aby ją podjęto; i dziwię się, jakim sposobem z tą miłością do starożytnych zabytkow tak dziś hucznie otrębywaną, tak exploatowaną na wszystkie boki, nikt się nie zabrał do niéj, nikt ją nie uznał za potrzebniejszą za naglejszą, niż publikacyę *Wzorów sztuki średniowiecznéj*; które to wzory świadczą wprawdzie o bogactwie pradziadów, a nawet niekiedy o dobrym ich smaku, ale jeszcze nie dają świadectwa, żeby wszystkie miały być owocem sztuki wylęgłéj na naszéj ziemi. — Kto potrafi zaręczyć, że każda monstrancya, ka-

żdy kielich, każda broń, każdy naszyjnik, klejnot, rzeźba, obraz, zbroja, umieszczone tamże, były dziełem polskiego złotnika, płatnerza, rzeźbiarza, malarza, i t. p.? Nie chcę tu bynajmniéj uwłaczać szlachetnemu pomysłowi wydawców Wzorów sztuki średniowiecznéj, ale do tego zmierzam, że każde położenie ma swoje naglejsze potrzeby, że kto, z przeproszeniem, butów nie ma, nie powinien sobie sprawiać żółtych rękawiczek. Toż w stanie dzisiejszym naszéj ogólnéj krajowéj kultury, powinniśmy unikać zbytkowych przedsiębiorstw, czyli takich, co przystoja li narodom rozwijającym się samodzielnie na prawach ciągłego doskonalenia się w administracyi, gospodarstwie, umiejętnościach, sztuce, przemyśle i fabrykach; przejmowanie bowiem ostatecznych rezultatów kultury od narodów wysoko stojących w cywilizacyi, i zaszczepianie ich na nieprzygotowanym do tego gruncie, przybiera znaczenie kaprysu mody, pochlebiać może dumie narodowéj, ale nie czyni narodu bogatszym w rzetelną zdobycz, wynikłą z ciągłéj pracy i usiłowań. Francuzi bardzo wiele dzieł poprzedniczo wydali, ozdobnych i nieozdobnych, zanim przyszło im na myśl publi-

kować: *Le moyen âge et la Renaissance;* u nas nie było nic przygotowawczego, i odrazu zdobyliśmy się na to samo, jakbyśmy chcieli pokazać światu: patrzcie i u nas są zabytki sztuki nieustępujące francuzkim, i u nas są artyści, co je powtórzyć potrafią złotem i farbami chromolitografii! — Tymczasem zapomniano o tém, że Francuzi mając dzieła ściśle umiejętne, w których obrobili i rotrzęsnęli różne gałęzie sztuki w rozmaitych wiekowych przejawach, a wszystkie zabytki wprzód zdeterminowali, ocenili, zamknęli w porządny systemat, wynikły z charakteru tych zabytków — dopiero pomyśleli o dziele więcéj przystępném dla téj massy czytelników, co nie poświęca się wyłącznie archeologii, lub historyi sztuki, coby rada zakosztować owocu badań, bez współudziału w jego uprawie i pielęgnowaniu. Takiego rodzaju dziełem, jest właśnie *Le moyen âge*—które znowu porodziło nasze *Wzory sztuki średniowiecznéj*. Ilekroć tóż rozmyślałem sam w sobie, a i drugich pytałem o zdanie, jaki cel jest tego zbiorowego i przepysznego dzieła: jaki wpływ mieć może na naszą kulturę, w czém przyczyni się do wyświecenia przeszłości; czy będzie kluczem do determino-

wania i ocenienia zabytków starożytnych; czy nam da lepiéj poznać życie domowe przodków, stan rzeźby, malarstwa, rzemiosł, fabryk? Nie umiałem sobie i mnie nie umiano coś więcéj odpowiedzieć, jak tylko: że Wzory sztuki średniowiecznéj, mogą się niezmiernie przydać naszym malarzom i pisarzom powieści, będącym często w kłopocie, jak ubrać swoich bohatyrów, na czém ich posadzić, jak uzbroić itp.

Przyznam się, że dużo zachodu i kosztu dla tak małéj dogodności, zwłaszcza że czy poecie, czy malarzowi nie na wiele się przyda biegłość archeologiczna, jeżeli tak jeden jak drugi nie mają poczucia i znajomości wewnętrznego człowieka, jeżeli jeden i drugi nierozumieją ducha minionych wieków.

Takie to mniéj więcéj zdanie formowano sobie o celu i znaczeniu publikacyi *Wzorów*— gdyż samego ucieszenia wzroku, lub pochełpienia się bogactwem, nie mogę liczyć do celów.—Przyczyna jedna, dla któréj nie umiemy sobie zdać sprawy z tych dawnych zabytków, odkopiowanych z takim przepychem i sumiennością, tkwi, zdaniem mojém, nie w samém dziele, którego intencya była najzaszczytniejsza, ale w tém, że nikt po dziś dzień nie umię

sobie odpowiedzieć na pytanie: jaką jest sztuka polska, i w czém jéj charakter odrębny?

Ambarasujące to pytanie jeden tylko Sobieszczański najwięcéj objaśnił przez zgromadzenie i z grubsza uporządkowanie wszelkich zabytków starożytnéj Polski tak w architekturze, jak rzeźbie, malarstwie, wyrobach, sprzętach i t. p.—Dzieło jego—to ojczyste muzeum, w którém pokazuje co znalazł w naszéj ziemi — co zachowały podania i opisy—i dając przykład jak daléj iść należy, nie sili się rozwiązać zagadki—ale po prostu materyał archeologiczny gromadzi, ogląda i porównywa. Gdyby jego przykładem daléj prowadzono tę pracę na skromny przadsięwzięty rozmiar, możebyśmy i doszli nakoniec tych głównych, a wyrazistych znamion sztuki polskiéj, którą zapowiadamy *a priori*, nie mając pewności, czy były jakie znamiona osobne odróżniające sztukę polską od włoskiéj, niemieckiéj i t. p. Nie podlega bowiem najmniejszéj wątpliwości, że z nabytkami obcéj cywilizacyi, przychodzącéj do nas z różnych stron, przychodził i popęd do sztuki—ale pytanie zawsze zostaje nierozstrzygnięte: czy na przedchrześciańskiéj płonce szczepione uczucia i pojęcia artysty-

czne znoszone z cudzych krajów, przybierały z czasem jaki słowiański charakter?

Gdyby szanowni wydawcy *Wzorów sztuki średniowieczněj w Polsce* w dołączonych opisach do rycin, tłumaczyli każdy wzór, czyli zabytek sztuki, w sposób uczący nas, w czém są cechy sztuki polskiéj i gdzie ich upatrywać należy, i jaką ideę wyrażają, co symbolizują? natenczas niktby nie śmiał i nie potrzebował pytać o wyjaśnienie celu publikacyi, historyk każdy zabytek związałby zaraz z epoką jego powstania i miałby wyobrażenie o stopniu kultury—artysta zaś wierząc, że pod tą firmą wyrażał się duch narodu, rozmyślałby i tworzył sobie pojęcia o kierunkach narodowéj sztuki, które mogłyby niejako zastąpić tradycyą, tę tradycyą tak trudną do odszukania, iż niektórzy przypuszczają, że jéj nigdy nie było. Przypadkowie tylko wpadłem na tę materyą i zatrzymałem się dłużéj, nie żeby ją wyczerpać do dna — lecz że mi dostarczała ważnego argumentu o niestosowném przyswajaniu sobie ostatecznych wyników obcéj cywilizacyi i kultury—czyli o tych forsowanych skokach, które mogą zdumiewać, ale rzetelnego postępu nie dają; raz że nie są wyrazem

żadnéj potrzeby rzeczywistszéj, po drugie, że tylko to nosi znamie własności narodu, co z niego wychodzi i na jego ziemi dojrzewa.

Poszło to jak mniemam, z potrąconego projektu o wydaniu nagrobków — który, acz się tak prosty wydaje a tak dostępny, że tylko poń rękę wyciągnąć — czemuż ciągle był wymijany dla jakicheś wyrafinowanie szczytnych celów sztuki, których dotąd na horyzoncie naszym dopatrzyć się trudno.?

X.

SZTUKA POLSKA I SZTUKI PIĘKNE W POLSCE.

Słownik malarzów Rastawieckiego i Pieśni ludu Kolberga.

Dopiero od niewielu lat zaczęto u nas pisać o sztuce, szczególniéj malarskiéj, i to w sposób okazujący ogólne zajęcie się tym przedmiotem, co przekonywa o pewném spopularyzowaniu się pojęć artystycznych.

To rozprawianie o sztuce gruntowne lub błędne, a najczęściéj błędne, bo słabość ludzka więcéj ma pociągu do rzeczy, któréj nierozumie, kazałoby domniemywać się, że duch narodu uczuwa rzeczywistą potrzebę wypowiedzieć to pędzlem lub dłutem, czego jeszcze

niezdołał wypowiedzieć żywém i pisaném słowem.

Dążności téj nie możnaby nic a nic zarzucić, jako odpowiadającéj zwykłym warunkom rozwijającéj się cywilizacyi; zachodzi tylko małe pytanie, czy w dzisiejszym stanie cywilizacyi wszystko odbywa się drogą instynktów wrodzonych, czy téż bywa przygotowane sztucznemi środkami?

Odpowiadając na to winienem zrobić drugie pytanie: co się działo ze sztuką w Grecyi, Rzymie i wiekach średnich, kiedy nie było gazet, ani osobnych artystycznych dzienników, ani drukowanych książek o estetyce i o dziejach sztuki?

Oto działo się bardzo dobrze, bo jakoś wtedy rodziły się utwory nietylko zyskujące powszechny oklask w danéj chwili, ale i do dziś trwające jako wzór nieśmiertelny. Ustna pochwała znawców, entuzyazm rzeszy, wyrokował o dziele. Ztąd sztukmistrz zdobywał się na coś takiego, co zupełnie trafiało do ducha i wyobraźni narodu, co nosiło piętno i charakter zewnętrzny i wewnętrzny. Przy takiém usposobieniu, nie mógł on już hołdować żadnym zbiorowym teoryom, które dopiero wy-

lęgły się w tak zwanych akademiach co czerpiąc z pewnych uznanych już wzorów, przestały czerpać z wiecznie świeżego źródła natury i ducha ludzkiego. Odkąd sztuka stała się świecką, czyli odkąd wyłamała się z pod władzy wszystko napełniającego ducha, odtąd zaczęła hołdować formie i znalazła sie w kłopocie i niemożności napełnienia jéj duchem, co się tém tłumaczy, że formę łatwo znaleźć, ale ducha pożyczyć trudno, kiedy go w piersi niema.

Otóż to są tak zwane sztuczne środki, któremi dzisiaj najwięcéj posługują się i ci co piszą o sztuce i ci co ją uprawiają.

Pierwsi zazwyczaj niechcąc pozostać w tyle za tem, co się w innych narodach robi, uznają potrzebę pobudzać do uprawy różnych gałęzi sztuki; wychodzą bowiem z téj zasady, że aby postęp był zupełny, trzeba pielęgnować wszystkie owoce cywilizacyi. — Lecz w tym przypadku wyścigają najczęściéj wrodzoną zdolność i czynność narodu, który niezdobywszy się jeszcze na płody godne historyi, już ma swoję historyę. Co do samych sztukmistrzów, ci będąc pod naciskiem opinii, rzucają się w zawód najczęściéj bez usposobień du-

chowych, często bez wrodzonych zdolności, i przyswajając sobie obce formy i style, nabywając więcéj lub mniéj biegłości, że tak powiem rzemieślniczéj, dostarczają wyrobów, ale ojczystéj nie bogacą sztuki.

Ten sposób postępowania, nieodrodne dziecko dzisiejszéj epoki analitycznéj i eklektycznéj, często nasuwa powątpiewania uwłaczające nietylko zdolnościom, ale i duchowi narodu; bo jeźli ten sam naród dowiódł twórczości swojéj bądź w poezyi, bądź w wymowie, nie idzie zatém, aby duch jego nie mógł być już produkcyjnym w sztuce plastycznéj. Przykłady czerpane z pochodu narodowego w historyi, nic tu nie dowodzą, a przynajmniéj nierozcinają stanowczo pytania; — rzecz bowiem pewna, iż pomimo całéj świetności niektórych historycznych okresów pędzących cywilizacyjny ruch do najwyższych szczytów, mogło im nie dostawać tych właśnie warunków, co jedynie i wyłącznie zrodzeniu się i rozwojowi sztuki sprzyjają. Dzieje powszechne zachowały nam bijący przykład w Semickich narodach, u których niekwitło nigdy ani malarstwo ani rzeźba, pomimo, że wysoki stan ich cywilizacyi miał wszelkie prawo do-

wieść twórczości swojéj i na tém polu. Czemu to przypisać? Oto wyobrażeniu religijnemu, które zabraniało współubiegać się z Twórcą w dziele tworzenia istot, mogących cześć Bogu należną odbierać. Nie brakło więc owym narodom ani twórczych sił ducha, ani zdolności tworzenia, ale przeszkadzał warunek przywiązany do natury ich cywilizacyi. Na téjże zasadzie i historyi polskiego narodu wzięta w najbujniejszéj chwili szesnastego wieku, nie może świadczyć za nieudolnością wrodzoną naszemu plemieniowi do sztuk plastycznych. Rycerski, polityczno-sejmujący, religijnie-polemizujący stan szlachecki, nie miał czasu zajmować się sztukami pięknemi; żywe słowo i czyn, absorbujące najżywotniejszą stronę ducha, wystarczały potrzebie; na wznoszenie i ozdabianie zaś świątyń pańskich robiono pobożne fundacye, i dość na tém; orężna szlachta umiała zrobić ofiarę z majątku, ale nie troszczyła się o to, czy Polak, czy Włoch czy Niemiec będzie murował, rzeźbił, malował. — W miarę wielkości funduszu starano się o sławniejszych lub mniéj sławnych majstrów, w miarę gęściejszych fundacyi i krzewiącego się przepychu, cisnęli się zagraniczni kunstmi-

strze, a będąc zazwyczaj stanu mieszczańskiego, osiądali po miastach i wstępowali do cechów. Sztuka więc krajowa w dzisiejszém pojęciu wyrobić się nie mogła, bo ta część narodu co przechowywała tradycye, co czynami pisała historyę, co życie Rzeczpospolitéj skupiała w sobie wyłącznie, co bogactw szukała w roli, a sławy na polach bitew, ta się nie rozumiała na sławie artystowskiéj, nie była zdolną do niezbędnéj sedenteryi, ani téż czuła potrzeby tłómaczyć to pędzlem lub dłutem, co mogła publiczném wypowiedzieć słowem, lub napisać czynami. Wszędzie gdzieindziéj, tak zwany stan pośredni, z krwi jednoplemiennéj, pielęgnował sztukę i robił ją tém samém narodową: u nas miasta przypuszczone tylko w rzeczach podrzędniejszych, jak rzemiosła i handel do ogólnego życia i ruchu, osiadłe zazwyczaj przez obcych przychodniów, mogły mieć rzemieślnicze bractwa i cechy malarzy i snycerzy, ale nie miały wyzwolonych w dzisiejszém pojęciu artystów, coby się wznieść mogli do wysokości narodowego ducha, i uznali się czynną jednostką w wielkich sprawach Rzeczpospolitéj. Że sztuki piękne były u nas exotyczną rośliną, że

samodzielnie nie wystrzeliły na rodzinnym gruncie, przyczyną jest nie jakaś wrodzona niezdolność, ale skład społeczeństwa uorganizowanego na warunkach mniéj przyjaznych temu rodzajowi twórczości. Dziś przeto z upadkiem tych warunków, z przeobrażeniem się tak uderzającem narodowego żywiołu, sztuki piękne coraz więcéj zyskują adeptów, i naród zaczyna coraz więcéj rozumieć ten język, którym uczucia swoje tłómaczy. Jestto zatém nowy rodzaj, w którym próbuje sił twórczych nowy język, którym uczucia swoje tłómaczy. Kiedy Grecy pieśnią i czynem wypowiedzieli pierwszy nawał uczuć, a zapragnęli cześć swoją bogom okazać, nieśli im w darze malowidła i posągi: każde państwo stawiało w Delfach budynek i nazywało go swoim *skarbcem*, bo tam składano obrazy przedstawiające ich najsławniejsze zwycięztwa i stawiano posągi mężów zasługujących na najdroższą pamięć. Aczkolwiek zatém zwrot ten umysłów odpowiednio dzisiejszym kierunkom ducha, przygotowany bywa sztucznemi środkami piszących o sztuce, niemniéj jednak wypływa z instynktowego pociągu, z potrzeby rzeczywistéj. Jak we wszelkich początkach, tak i tu dają

się postrzegać liczne niedostatki: ślepe naśladownictwo, ciasnota akademicznych teoryi, gonienie za formami, a nie za zgłębieniem ducha — jednakże nie można powiedzieć, żeby niezaczęto już odgadywać pędzlem tego języka, jaki się stanie kiedyś rzetelną naszą własnością.

Bardzo znakomite pióro w artykułach o *Sztuce Polskiéj* rzuciło wiele powątpiewań co do przyszłości sztuki w naszym kraju Piszący zasadził się głównie na tém, że z dawien dawna, a szczególniéj w najświetniejszych chwilach Rzeczpospolitéj nie sympatyzowano u nas z sztukami pięknemi. Chwilę tę przypadającą na czasy Zygmuntów Jagiellonów tak kreśli: „Przepełniona i kipiąca życiem czara, wszystkie wtenczas u nas zalewała brzegi; krew gorąca i chciwa czynów biła wciąż tętnem mocném a przyśpieszoném; rozbudzone, a spotęgowane siły narodowe szukały sobie wszędzie pola do działania i wynurzania się: wszędzie widać jakiś demoniczny i nieprzeparty popęd do spróbowania wszystkiego, do zawierzenia się wszystkiemu, do mierzenia się ze wszystkiém! Jeźli więc kiedykolwiek, to wtenczas zaprawdę była dla

nas pora i sposobność doświadczenia sił naszych także w rzeźbie i malarstwie... Zachęty były tak wielkie i powszechne, przykłady tak bliskie i liczne! — Dürer się prawie o Polskę ocierał *), z Flamandyą tyleśmy w tym wieku mieli stosunków i związków; a Włochy, te Włochy, gdzie właśnie wówczas tworzył Rafael i Michał Anioł, Tycyan i Weronez, były prawdziwą Mekką, do którėjśmy w celu nauki i ogłady tłumne i nieustanne odbywali pielgrzymki. A jednak nawet i wówczas nieokazaliśmy do owych sztuk plastycznych ani powołania *ani nawet pociągu!*"

Zdaje mi się, że powyżėj przytoczonemi uwagami o warunkach niesprzyjających sztukom plastycznym, starałem się usunąć to zaprzeczenie wszelkiego powołania do sztuk plastycznych w naszym narodzie: co zaś do twierdzenia, że nie mielismy nawet żadnego do nich *pociągu*; dobitniėj jeszcze zaprzeczyć można historycznemi faktami. Szczególniėj w XV wieku kościoły nasze, jak pokazują ślady, ozdobione były przedniemi rzeźba-

*) **Właściwie brat Albrechta Jan Dürer, który przyozdabiał malowaniami Zamek Krakowski.**

mi w ołtarzach, które późniejszy zepsuty smak niby klasyczny, poniszczył; o wybornych bizantyńskich malowaniach świadczy kaplica św. Krzyża w katedrze krakowskiéj, o dziełach dłuta niepospolitych, mówią nagrobki królów polskich na Wawelu; opisy i lustracye przechowały pamięć bogactw sztuki nagromadzonych po zamkach. Rastawiecki w przedmowie do drugiego tomu swego *Słownika Malarzów polskich* tak właśnie wyraża się o *pociągu* do sztuk pięknych Jagiellońskich Zygmuntów: „Zygmunt I sztuk wielki miłośnik i znawca, sprowadzał biegłych w każdym zawodzie artystów z Włoch i Niemiec. — Jan Jakób Caraglio odlewał mu medale, rzeźbił na kamieniu drogim; Jan Maryan Mosca wykonywał dzieła medalierskie i rzeźbiarskie; w tych ostatnich pracował Jan z Sienny, Bartłomiéj florentczyk zarazem budowniczy, Mikołaj de Castiglione i kilku innych Włochów; Melchior Boys tudzież Albert Glim, raczéj Hanns Klimm zowiący się, zdatni goldszlegerowie czyli złotnicy norymberscy, odrabiali królowi w śrebrze wspaniałe ołtarzowe obrazy, Jan Dürer brat Albrechta zdobił malarską pracą zamek krakowski, Suesa z Norymbergi

obrazy wzbogaciły główniejsze krakowskie kościoły. — Używał też król nie mało i własnych krajowych malarzy, z których kilku tytułowali się nadwornymi, co wyższéj ich zdolności domniemywać się upoważnia. — Panowanie Zygmunta Augusta pod względem sztuk, było tylko przedłużeniem rządów ojcowskich. Król ten szczególniejsze miał zamiłowanie w kamieniach drogich i rzeźbionych, w kunsztownych wyrobach ze złota i srebra. Arcyzasobny a do podziwu bogaty gabinet jego takowych to kosztowności, oglądał i opisał nuncyusz papiezki w Polszcze r. 1560 Buongiovanni biskup Kamerynu, przydając iż znalazł skarb ów króla polskiego, przewyższający wszystkie w tym rodzaju weneckie i papiezkie dostatki. Opis ten po włosku wydrukował Sab. Ciampi (Bibl. oritica).“

Przytoczenia te najoczywiściéj dowodzą, równie jak wysoka wartość zabytków jeszcze tu ówdzie pozostałych, między innemi kaplicy Zygmuntowskiéj na Zamku, że był pociąg i smak niezmyślony do sztuk pięknych; co więcéj, publikacye takie jak: *Wzory sztuki średniowiecznéj w Polsce*, jak *Słownik malarzów polskich* trzechtomowe dzieło, nic innego nie

dowodzą, tylko, że u nas od najdawniejszych czasów kochano się w utworach artyzmu. — Z tego powodu wyrażenie się autora rozprawki o *Sztuce polskiéj: że w owych czasach* (odrodzenia) *nieokazaliśmy do sztuk plastycznych ani powołania, ani pociągu* — zda mi się być nie ze wszystkiém słuszne, bo przecież faktom i dowodom tak mozolnie. tak skrzętnie zebranym przez naszych archeologów a i dochowanym zabytkom trudno zaprzeczyć. Nie mogło téż być inaczéj; zważając bowiem na stosunki z Włochami i zachodem, na wymagania cywilizacyjnych postępów i nowości, i nasza kultura musiała układać się do równowagi, przybierając to wszystko co należy do warunków narodu zostającym na wyższym szczeblu wykształcenia. Owszem mieliśmy pociąg do sztuk plastycznych, jak również do wszystkiego co stanowiło polor zagranicy, ale nie idzie zatém, żebyśmy samodzielnie piastowali kwiat sztuki, żeby on z ducha narodu wystrzelał, jak wystrzeliły instytucye, życie społeczeńskie i w pewnym względzie literatura. Dlatego bardzo słuszne są wątpliwości autora rozprawy, które jak na wstępie powiada, nasunęły mu się przez pytanie postawione w Towarzystwie

naukowém krakowskiém (w oddziale archeologii): *Czy istnieje sztuka polska, a jeśli istnieje, jakie są jéj cechy?* — O ile mi wiadomo Towarzystwo dotąd nierozwiązało téj kwestyi ani *pro* ani *contra*, co zapewne ztąd pochodzi, że w niemałym znajduje się kłopocie coś stanowczego o tém istnieniu i tych cechach sztuki powiedzieć, kiedy ze wszystkich prac w tym przedmiocie przedsiębranych, nigdzie niemożna się domacać tych rysów charakterystycznych jakie powinny być własnością sztuki polskiéj. Podobnie jak znawca za jednym rzutem oka poznaje czy malowidło jest bizanckie, niemieckie, włoskie, lub flamandzkie, tak powinienby poznawać charakter naszych obrazów nie z tego wszelako, że na nich zobaczy długie proporce i skrzydła hussarzy, delije i kiciaste czapki lub kontusze, lecz z ducha w jakim każda kompozycya oddana. W rysach tę szkołę odznaczających musiałby przemawiać osobny koloryt właściwy północnemu niebu, typowy wyraz fizyonomii, stósowna naturalność grup, i owa treść żywotna nie dająca się niczém określić, a pojętna li tylko temu, kto się wykarmił mlekiem matki, powietrzem téj ziemi,

podaniami, obyczajem, wiarą — a wreszcie, i to najgłówniejsza, na utworach naszéj sztuki powinno być piętno ideału, który, jak pięknie autor rozprawki powiada: „zawsze wybranych, choć nie zawsze szczęśliwych znamionuje, powinny one mieć ten wyższy polot, który w zaświacie szuka rodzinnego sobie gniazda, tę potęgę natchnień, która nieraz ziemię utraci, ale rajską dziedzinę ułudy, jako swoją zadzierży.“ — Czy i kiedy potrafimy przykładami wykazać te wszystkie znamiona, jakie powinnyby cechować sztukę polską: nie mógłbym powiedzieć, zwłaszcza, że szczere wyznanie więcéj tu waży, niż najpiękniejsza ułuda. Szczerze zaś wyznać potrzeba, iż pomimo pięknego pocztu malarzy uznanych za naszych, bo liczba ich tysiąca dochodzi, nie natrafiłem jeszcze na żaden utwór ich pędzla, o którym z ręką na piersi, mógłbym wyrzec: oto jest dzieło mistrza! ono skupia w sobie wszystkie tajemnice naszego ducha, wytyka drogę przyszłości, i jest tak nasze własne, że go nam nikt zaprzeczyć nie zdoła.

Historya więc malarstwa polskiego, zebrana w trzechtomowym słowniku p. Rastawieckiego,

nie jest bynajmniéj historyą téj sztuki, ale zbiorem nazwisk malarzy, tém chyba sławnych, że sztuki ojczystéj niepotrafili stworzyć. To zatém, co wszystkie inne narody uprawiające sztukę plastyczną, posiadają jako grunt i powagę, to jest tradycyę, nie powiem, żeby było naszym udziałem. Pracowite w téj materyi dzieła, dowodzą najczęściéj przeciwnéj rzeczy, jak zamierzały dowieść. Słownik ów malarzy, któremu największa należy się pochwała za staranne zebranie najdrobniejszych szczegółów i wskazówek, mogących rozweselić czoło niejednego zbieracza i archeologa, przeprowadza czytelnika przez tysiąc nazwisk, z których większa połowa, goła jak dłoń, nie przynosi ze sobą żadnego dzieła, coby o ich zdolności świadczyło, żadnego tytułu, prócz że w księgach magistratualnych lub cechowych stało: *pictor*. I liczba pozostałych pięciuset, byłaby jeszcze dość imponującą, gdyby w niéj się mieścili sami krajowcy; lecz i tu większa część i to najznamienitszych, jest przybyszami z Włoch, Francyi, Niemiec, Flandryi, bo zaledwie Nagler lub Fuessli wspomniał, iż ten lub ów przejeżdżał przez Polskę, już zaciągnięty został w szereg na-

szych malarzy. Wyborny to zresztą odwet za kilku znakomitych ludzi, jakich nam cudzoziemcy tak niesłusznie zaprzeczają. — Koniec końców na nasz rachunek bardzo mało zostaje. Ledwie kilka uznanych jak: Stoss, Ziarnko, Leksycki, Czechowicz, a nadewszystko i tylko Czechowicz, daléj Smuglewicz, Orłowski, Stachowicz... I możnaż na tych wątłych filarach budować gmach ojczystéj sztuki? Czy podobna upatrzyć w tém inną jaką tradycyę, prócz téj, że naród—i tu znowu cytuję słowo autora rozprawy — że naród ani przez cały ogólny ciąg swoich dziejów, ani w szczególnych epokach największego rozwielmożenia, nie objawiał najmniejszego powołania do plastycznéj twórczości, i w téj dziedzinie ani jednego nie wydał dzieła, któreby zostało w wiekowéj pamięci dziejów a powszechnéj czci pokoleń. Świadectwo o sztuce dać tylko mogą utwory sztuki, a nie najwymowniejsze i najpracowitsze pisma. Gdyby do dni naszych nie przechowały się były posągi, fryzy partenonu, torsy i szczątki budownictwa greckiego, mielibyśmy słabe tylko wyobrażenie o sztuce plastycznéj Hellady, a choćby natomiast znalazł się jaki spis wszystkich rzeźbiarzy i budowniczych,

jakie estetyczne uwagi nad płodami kunsztu starożytnego, nigdyby nie zastąpiło to braku dzieł dłuta lub pędzla. Najlepszy na to dowód, że dziś o malowidłach owych Apellesów, Zeuxisów i innych nie mamy prawie żadnego wyobrażenia, a przynajmniéj bardzo małe, jakie można mieć li przez analogię odkrytych w Pompei i Herkulanum ściennych malowideł... Dlatego w tradycyi sztuki ma to tylko wagę co istnieje, co dotykamy zmysłami, co na nas wpływ wywiera. Próżna więc usilność wmawiać w siebie, że mamy historyę sztuki, a tém samém tradycyę żywą. Toż i dzieło p. Rastawieckiego nieprzestając być bardzo ważnym zbiorem wskazówek dla archeologa i kollekcyonisty, nie obudza w nas wiary, żeśmy mogli mieć i mieli narodowe malarstwo, bo obrachowawszy ściśle, p. Rastawiecki daleko więcéj zrobił dla historyi malarstwa w Polsce, niż sama sztuka malarska zrobiła, aby zasłużyć na swoją historyę.

Niechciałbym wcale przez zdanie wypowiedziane wyżéj, być źle zrozumianym, ale nie od owych luźnych rzeczników, co to sami nigdy nic nie zrobiwszy w życiu, czują się zawsze w obowiązku pisać po dziennikach sza-

bliste artykuły podejmowane w obronie narodowych illustracyi; tacy z podpisem lub bez podpisu małą różnicę robią na szali prawdy. Tém więcéj pragnę być zrozumianym—tak od autora Słownika, któremu oddaję wszelką słuszność pod względem tego, co w Słowniku założył sobie dokonać, jak od artystów, którym nie przeto odejmuję przeszłość sztuk pięknych w Polsce, aby ich serce napełnić zwątpieniem w przyszłość, lecz żeby niepotrzebném widmem i niejedną ztąd wyprowadzoną fałszywą teoryą nie bałamucili sobie wyobrażeń, i nadaremnie nie gonili za tém, czego niema, a co właśnie potrzeba stworzyć. — Na pozór zdaje się nic, powołać do nieśmiertelności tysiąc imion wszelkiego gatunku piktorów— bo jużcić drukowany papier ma także swoją nieśmiertelność—lecz w istocie, obudza to w dzisiejszém pokolenin malujących i rzeźbiących (najczęściéj nie z powołania), tak silną porcyę zarozumienia i pychy, iż więcéj im nie trzeba, jak chwycić za pędzel i paletrę, aby znaleźć się na liście przekazanych drogiéj pamięci narodu, ma się rozumieć, jeżeli ktoś z równą skrupulatnością zechce dopełniać trzytomowy Słownik malarzy polskich. — Otóż w tém wi-

dzę najwybitniejszy wpływ tradycyi sztuki, ale czy korzystny? nie sądzę. — Wiem tylko, że więcéj należy do środków excytujących, jak uczących i kształcących — z gołych nazwisk, z wyliczeń tytułów obrazów, z rzadkich biografii, trudno nabyć pojęcia o duchu i charakterze tylu dzieł rozlicznych. Vasari ten Plutarch artystów, może zapalić, bo admiruje i opisuje arcytwory, na które patrzał, i kreśli ludzi, których znał. Powołanie tylu niepowołanych na reprezentantów historyi sztuki krajowéj, ośmiela tylko najrozpaczliwszą mierność, lecz choćby i nie ten wzgląd, może urojony — to samo już odwoływanie się do antecedencyi sztuki polskiéj, któréj właściwie nie było, gmatwa zdrową myśl i poczucie, stawia niejako zaporę twórczości samodzielnéj, tak niezbędnéj, jeżeli na prawdę myślimy w sztuce plastycznéj tam stanąć, gdzieśmy stanęli w poezyi.

O ile tedy z powyższych przyczyn uważam podobne rozpalenie się dla sztuki najniższego stopnia środkiem artyficyalnym, o tyle znów wierzę, że dla każdego narodu przychodzą pewne momenta, w których próbuje sił swoich w tym rodzaju tworzenia. Że i my

bliżsi go niż dalsi jesteśmy, dowodzą niektóre szczęśliwe próby uzdolnionych artystów, dowodzi sympatya publiczności dla płodów malarstwa i rzeźby. Utrzymują niektórzy, iż z powodu niedostatku u nas szkół malarskich i akademii sztuk pięknych, nie możemy myśleć, aby się sztuka wzniosła do tego stopnia jak gdzieindziéj, że nasi artyści wyjeżdżając za granicę na naukę, tracą tym sposobem uczucia i pojęcia rodzinnego charakteru. Lecz na to znajdują odpowiedź w wyborném piśmie Waldmüllera *(Andeutungen zur Belebung der vaterländischen bildenden Kunst)*, który z gruntowném doświadczeniem rzeczy dowodzi, jak właśnie akademie przyczyniły się do upadku sztuki, że tylko szkoły mistrzów podnieść ją mogą jedynie. I słusznie; są bowiem rzeczy, jak mówi, w świecie estetycznym, których się nigdy wyuczyć nie można, i o których stosowności lub niestosowności w praktyce daleko trafniéj ostrzega nas wewnętrzne uczucie, niż wszystkie prawidła, niedające się do wszystkiego zastosować. Że nauka w szkole mistrza odebrana, usposabia gruntownie nawet do innych rodzajów twórczości leżących poza obrębem malarstwa, przekonywa przykład

Michała Anioła. Wykształcony na malarza w mistrzowskiéj szkole Ghirlandaja, równie po mistrzowsku zdolny był używać dłuta, a kopuła św. Piotra, Kapitol, pałac farnezych, *porta pia*, i *Vigna Giulio* dają mu w potomności sławę niezrównanego architekta. Ma się rozumieć, że aby w takiéj szkole skorzystać, trzeba przynieść do niéj siłę twórczą, uczucie charakteru i piękności—bez tych przymiotów będą tylko takie same nazwiska, z jakich się składa słownik trzytomowy naszych malarzy; temi zaś przymiotami obdarzony młodzian, na téj tylko drodze nieakademicznéj, może rozwinąć w sobie i spotęgować dary wrodzone. Niepodlega bowiem najmniejszéj wątpliwości, że gdyby akademickie nauczanie było właściwym środkiem tworzenia kunstmistrzów w wysokiém tego słowa znaczeniu, natenczas sztuka w Europie musiałaby stać na takim szczycie, na jakim nie stała jeszcze nigdy; gdy niema jednego kraju, gdzieby nie było akademii malarstwa i rzeźby; a jednakowoż przekonywamy się, że z każdą ćwiercią wieku sztuka zostająca pod opieką akademiów, coraz bardziéj chromieje i tylko tam się krzepi, gdzie się od nich odstrychnęła.

Pytanie to wybornie i dowodnie rozstrzygnął Waldmüller, i właśnie przyszedł jakby w pomoc naszemu położeniu pod tym względem; bo chociaż nie mamy jeszcze z takim talentem mistrzów, coby otwarli swoje własne szkoły, zawsze wskazana jest droga, ktorą do prawdziwéj umiejętności przyjśćby można.

Kilkakroć przytaczany artykuł o *Sztuce polskiéj* zamieszcza wymowne ustępy, dążące do przekonania nas, że sztuka plastyczna, to dziecko pięknych stref południowych, nie może kwitnąć na północy. „W surowym klimacie, stępione zmysły, powiada autor, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrzego ukształcenia; wszystko co w Grecyi i Włoszech było naturą, we Francyi i Niemczech będzie tylko kulturą; mozolnym nabytkiem, co tam przyrodzoną własnością.“ W dalszym ciągu twierdzi, jako narodom północnym odjęty jest dar kształtowania plastycznego, który szczęśliwym i prawie wyłącznym jest udziałem Hellady i Italii, dlatego powinni pozostać w spiritualnych sferach sztuki, w których dźwięk jedyną jest formą uczucia, a słowo jedyném ciałem myśli,

czyli powinni przestać na muzyce i poezyi. Nakoniec zastosowując to do naszego borealnego kraju, powiada, że marmury smutnie odbijają od półrocznego śniegu, a wzrok nienawykły do światła i słońca, nie jest zdolny oddać téj nieskończonéj skali farb i półcieni, która wciąż drży w powietrzu; uczucie kolorów ścina się pod szarą powłoką naszego horyzontu, a nagota, na któréj tylko kształcą się artyści, nie jest podobną przy głodzie i wstydzie.

Wszystkie te wyrzuty bardzo umiejętnie zestawione i wycelowane na to, aby nam odjąć wszelką nadzieję marzenia nawet o sztukach plastycznych—nie są przecież tak usprawiedliwione i umotywowane, żeby się nic nie dało przeciw temu twierdzeniu powiedzieć.

Podobnie jak poëzya ludów północnych może iść o pierwsze z poezyą uprzywilejowanych w dziedzinie twórczości ludów południowych, chociaż charakterem się różni—tak samo i sztuka północna, a zatém i nasza, może być różną charakterem od greckiéj i włoskiéj, szczególniéj co do przepychu form, lecz za to wynagradzać te niedostatki siłą spirytualną.

Już nawet wieki średnie rozwiązały tę trudność, gdy często w utworach niecelujących pięknością form, umieszczał artysta piękność duchową, wewnętrzną, czyli ten wyraz, który potężniéj przemawia niż efektowo wystudyowane kształty i bogactwo kolorów. To zwycięztwo myśli nad formą, ducha nad ciałem, długo może zastępywać nam upośledzonym dzieciom mrozów i śniegów, te korzyści jakie artysta pełnemi dłońmi zbiera pod pięknėm niebem Italii. Nie będzie to nawet mozolnym nabytkiem, bo wielkiém czuciem obdarzony mistrz z taką łatwością wytłumaczy świat swój wewnętrzny pędzlem, z jaką południowy bogactwo otaczających go przedmiotów nieba i ziemi w marmur lub na płótno przelewa. Świetność, bujność kompozycyi tryszczącéj życiem, czar kształtów, gra tęczowych barw, mogą nie wchodzić w charakterystykę sztuki północnéj, za to inne przymioty, płynące z głębokości wewnętrznéj, jak: odgadnienie charakterów, cieniowanie namiętności, wyraz zaświatowéj zadumy, szczęścia w cierpieniu, przytém olbrzymiość i szorstkość natury tak jeszcze dziewiczo pięknéj, nadadzą sztuce od-

mienne piętno — bo nieskończenie — choć inaczéj utrzymuje hrabia w panu Tadeuszu:

> do obrazu trzeba
> Punktów widzenia, grupy, ansemblu i nieba;
> Nieba włoskiego!

Zapewne, może to będzie *gust Soplicowski*, jak mówi pani Telimena, ztémwszystkiém sztuka plastyczna w tych rysach i w tym duchu czerpiąca, stać się może równie oryginalną na północy, jak oryginalną jest na południu. Zresztą przychodzi mi jedna uwaga, któréj lekko zbyć nie można. Autor rozprawy z wielkim naciskiem przypisuje jednym tylko Grekom i Włochom zdolność do plastycznego tworzenia; ludziom zaś północy „brak przedewszystkiem téj intuicyi form, téj tajemniczéj morfopedyi, która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli, kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca.“ — Przyznaję, że zdolność tworzenia plastycznie wrodzoną jest u południowców, „których duch — jak mówi — nawpół się z materyi wyzwala, a nawpół jéj ulega, nawet się w niéj rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiem jest kształtem, a uczucie, ledwiebyśmy nie rzekli, dotknięciem.“ — Jednakowoż wrodzone te ar-

tystyczne przymioty nie są żadną rękojmią, żeby jedynie na południu sztuka kwitnąć mogła—wszak dzisiaj ani w Grecyi, ani we Włoszech nie kwitnie, co dowodzi, że są pewne szczęśliwe chwile spływające na narody, aby tym sposobem objawiały bujność wewnętrznego i zewnętrznego życia — chwila przechodzi, a z nią wrodzona zdolność utraca siłę produkcyjną.--Wierzę i przekonany jestem, że Grecy i Włosi poczynali w sztuce, że tak powiem: przez intuicyę—lecz czy twórczość ludów północnych drogą rozmysłu i zagłębiania się nie może nam odsłonić równie cudownych tajemnic serca człowieka i natury? Sama nagość cielesna, co ma być tak niezbędnym warunkiem do wykształcenia zmysłu artystowskiego, mniéj tu potrzebna na północy, z wyjątkiem studyów anatomicznych, bo tu więcéj nagota ducha przeważa, czyli: głębokość myśli i uczucia, zapanować musi nad formą, uszlachetnić ją, idealnie zrobić piękną, choćby pod najnieestetyczniejszym łachmanem lub siermięgą.

To pewna, że sztuka niekoniecznie jest przywiązaną do jednego kraju, ani do jednego miejsca. Duch jéj wieje od wschodu do zachodu, i wszędzie znajduje powołanych do

oddania mu hołdu, byle wprzód był poznany. Źródła na chrzest dla wybrańców tryszcze w każdéj strefie — tém źródłem: prawdą i natura — toż i Słowianie równie jak sięgnęli po mistrzostwo słowa, tak sięgnąć mogą po mistrzostwo w sztuce plastycznéj — jeżeli bowiem w jedném dali rękojmię, dadzą i w drugiém — bogactwo duchowe zawsze jest jedno i całe, tylko różne bywają warunki, wpływające na objaw jego w dziełach twórczych.

Zdało mi się rzeczą potrzebną dotknąć téj walki wywiązanéj między zaciętymi propagatorami sztuk pięknych u nas, a autorem dzielnéj rozprawki: *Sztuka Polska*, który rzuca im rękawicę i aby zgniótł ich odrazu, neguje przeszłość i przyszłość malarstwa i rzeźby. Natarcie było bardzo na swojém miejscu, szczególniéj na dzienniki, które zapalając się do każdego z przyszłych Rafaelów, próbujących sił swoich w lada szkicu albumowym, do lada koncerciku wykonanego przed światem Druskiennickim — do lada tenoru lub sopranu, podziwianego po rogatki warszawskie: sprawiały wrażenie, szczególniéj za granicą, że musi to być jakiś raj ziemski, gdzie od rana do nocy o niczém nie ma myśleć ani co robić,

tylko admirować obrazy, klaskać wirtuozom, i unosić się w siódme nieba na fali tonów.... Z drugiéj jednak strony zanegowanie sztuki było nieco za przesadne, tak dalece, że czułem się w obowiązku wystąpić nie jako pośrednik, bo tu nie idzie o pogodzenie zwaśnionych, ale jako zwolennik prawdy tak niezmiernie pożądanéj, zwłaszcza gdy bałamucenie opinii nie wchodzi u nas nawet w poczet półgrzeszków. — Zdania tego jednak nie stosuję do autora artykułu: *Sztuka polska*; bo pobudką do napisania téj diatryby przeciw artystom i rzecznikom artyzmu, było słuszne; oburzenie się jego na mimowolne może, lecz dość naiwne schlebianie nietylko całéj artystomanii, jaka nas ogarnęła, ale i tym fałszywym wyobrażeniom, co miłość sztuki chcą nam dać za jedyny cel życia.

Ponieważ ustęp ten poświęciłem uwagom o Sztukach, nie od rzeczy będzie wciągnąć w tę całość nowo wydane dzieło: *Pieśni Ludu Polskiego*, zebrane przez Oskara Kolberga *). Zdawało się, że od niejakiego czasu odstąpiła już naszych zbieraczy chęć gonienia za pieśnią

*) Warszawa nakładem wydawcy, w Drukarni Jaworskiego. 1857. Serya I.

gminną, i podnoszenia jéj do wysokości doskonałych płodów sztuki. Taki był bowiem w pewnym okresie szał do tych pieśni, że tylko porównać go można z dzisiejszym entuzyazmem do nazwisk polskich piktorów, Bogu ducha winnych. Przeminęła gorączka, a co było dobrego przeszło już w wieczystą dzierzawę ojczystéj literatury. Pojawienie się nowego Zbioru pieśni ludu dokonanego przez p. Kolberga, byłoby niekonieczną nowością, gdyby nie przynosiło nic więcéj, jak oklepane wyrzekanie Maćka na niestateczność Maryny, lub żale Kaśki za utraconym panieńskim wiankiem, lecz prawdziwie rozmiłowany w swoim przedmiocie autor zbioru, i pojmujący pieśń gminną ze strony jeszcze niezużytéj i niewyzyskanéj, nie poprzestał na samych słowach pieśni, ale co daleko trudniejsze i mozolniejsze, zebrał do nich muzykę, tak jak mu ją lud śpiewał: „Muzyka zatém jest głównym przedmiotem tego zbioru, powiada w przedmowie. Uderzony wcześnie oryginalnością i krzepkością pieśni ludowych, od lat kilkunastu robiłem wycieczki po kraju w celu skrzętnego i wiernego ich spisywania; to téż pochlebiam sobie, że w nieprzebraném u nas źródle melodyj

zaczerpnąłem najciekawszy jéj zapas; taki przynajmniéj, jaki już potrafi dokładnie odznaczyć muzykalność ludu naszego. Oddaję nutę w nieskażonéj prostocie, tak, jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystrojenia harmonijnego, bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnéj, niczém niezmąconéj czystości, jak ją natura natchnęła.“ W rzeczy saméj takie melodye tylko co nie mają obcéj przemieszki ze świata sztuki, stanowią główną wartość podobnego zbioru. Karol Lipiński acz wielki sztukmistrz, niedość zgłębił był to zadanie w muzycznych melodyach, dodanych do pieśni Ludu w Galicyi, a zebranych przez W. Zalewskiego. — Dzieło p. Kolberga wydane bardzo starannie, z melodyą poprzedzającą tekst, z oznaczeniem miejsca, gdzie melodya była wysłuchaną i z wskazówką zbioru, w którym się już znajduje, może się policzyć do rzadkiéj liczby książek starannie i umiejętnie wydanych, a nadewszystko stanie się prawdziwym skarbem niewyczerpanego materyału dla każdego kompozytora muzycznego.—Przypuszczam téż, że tym sposobem muzyka narodowa czerpiąc w tych melodyach, snadniéj wyrobi sobie oryginalny charakter,

niż gdyby ciągle nasłuchiwać miała dolatujące nas zdala dźwięki Meyerbeerów i Verdych.

Ile dostrzegłem z przejrzenia książki, pieśni te i melodye pochodzą najwięcéj z Mazowsza, z Lubelskiego, z Pomorza i niektórych stron Litwy — co składa tom dość obszerny — drugi, jeżeli ten będzie dobrze przyjęty, o czém ani wątpię, obejmie inne zapewne strony dopełniające całości.

Niedawno widziałem zacnego zbieracza pieśni i melodyj u stóp czarujących Pionin i w Tatrach, jak naprawiając słabe zdrowie powietrzem gór i leczącym zdrojem, nie tracił ani jednéj chwili i nawiedzał góralskie chaty, lub przestawał z bacami i juhasami na polanach, od których umiał wyłudzać melodye i słowa, zdaniem jego, nieustępujące pierwszeństwa innym. Wierny swemu zadaniu, z dziwną cierpliwością i wytrwaniem prowadzi podjętą pracę, godną powszechnego uznania, bo mu nie idzie o jakiś drobiazg archeologiczny, mogący obchodzić kilku amatorów, ale o odsłonienie tych skarbów twórczości, jakie lud nasz bezsprzecznie posiada, a w których może się najlepiéj charakter jego odzwierciedla.

Dołożyć jeszcze i to powinienem, wracając do owego wydania Pieśni Ludu, że przy książce znajduje się kilkanaście rycin kolorowanych, wyobrażających ubiory wieśniaków z różnych stron kraju; w tém nie byłoby nic osobliwego, gdyż przy pieśniach dodawano je często—lecz zazwyczaj były to rysunki bez żadnéj wartości, bo bez charakteru— tym razem rysowane są wybornie, i mogę po prawdzie powiedzieć, że pierwszy to w swoim rodzaju zbiór kostiumów, zasługujący na to miano i dający rzetelne wyobrażenie. — Dotąd zazwyczaj upiękniano artystycznie naszych chłopków—i byli nieznośni do patrzenia,—jak równie bez wartości dla malarza, coby tych studiów użyć chciał do swojéj kompozycyi.

XI.

POEZYA CHRZEŚCIAŃSKA I DANTYSZEK.

Romantyzm, który trafnie ktoś zdefiniował „liberalizmem w literaturze“ dopuścił się wielu grzechów i zboczeń przybierających zbyt jednostronny kierunek, szczególniéj w tém, że jak wszystkiego rodzaju liberalizmy, tak i on, erę literatury poczynał rachować od napisania pierwszéj ballady, a poczytując pracę poprzednich wieków, z bardzo małemi wyjątkami, za błahe, niebyłe i niepotrzebne, nieuznawał tém samém historycznego pochodu ani tradycyi.

Osobliwy ten sposób pojmowania przeszłości umysłowéj narodu, odbił się szczególniéj w pewnych pisarzach historyi naszego piśmiennictwa, którzy wychodząc z téj zasady, że wpływ klassycyzmu nie dał się rozwinąć samodzielnéj literaturze, że wolne ducha poloty skrępował obcemi formami, rzucili pôtępienie szczególniéj na tych pisarzy naszych co pisali po łacinie. Skutkiem tego systematu uszczuplili oni granice umysłowéj kultury, a nawet nie byli w stanie oznaczyć z czego i jak i dla czego Rej i Kochanowski zaczęli pisać po polsku? Tak znamienity początek wyglądał zawsze na skok gwałtowny nie dający się rozumnie usprawiedliwić żadnemi ułamkami przekładów biblii, ani pieśniąmi kościelnemi, ani temi okruchami pozmiatanemi z książkowych okładek; — były to bowiem twarde, bełkotliwe dźwięki języka usiłującego zostać piśmiennym, a nie jakieś odbicie się zrodzonéj twórczéj myśli, która pragnęła przemówić zarówno do uczonych i do prostaczków, do wielkich i do maluczkich.

Nie przypuszczenie łaciny do literatury narodu, było niczem inném tylko nieuznaniem ogromnego cywilizacyjnego wpływu wywiera-

nego przez kościół Rzymski w ciągu kilkunastu wieków; a tymczasem najwyraźniéj to widać, że nasi pisarze łacińscy, których szczególniéj zbudził wiek odrodzenia, przygotowali te wyobrażenia w narodzie jakie Rej i Kochanowski rozszerzali i opiewali późniéj w ojczystym języku. Propaganda reformacyi usiłująca przyciągnąć klassy mniéj wykształcone, pobudziła u nas kościół i wiernych mu, że myśl swoję począł również w języku dla większych mass zrozumiałym objawiać, do czego niemało przyczyniły się i zmiany w wewnętrznéj konstytucyi Rzeczypospolitéj zaszłe; gmin szlachecki przypuszczony do obrad sejmowych, do współudziału w rządzie, nie mógł używać mowy uczonych i dyplomatów.

Przejście do własnego języka odbywało się u nas późniéj niż gdzieindziéj, bo w połowie szesnastego wieku. We Włoszech szkoła św. Franciszka Serafickiego wychodząca z łona samegoż kościoła odezwała się językiem ludu i przysposobiła przyjście Danta i całą wspaniałą literaturę włoską. We Francyi trubadurowie zbudzeni wojnami krzyżowcmi przygotowali tę literaturę co ze stopni tronu zapanowała nad wszystkiemi różnicami idioma-

tów i prowincyonalizmów. Charakterystyczne te zmiany nowożytnéj cywilizacyi i literatury daleko wcześniéj odbyły się na zachodzie i południu, niż u nas; opóźnienie to wszakże nie mowi na niekorzyść narodu, ani na niekorzyść kościoła, bo kiedy pierwszy zapragnął nowéj formy cywilizacyjnéj, drugi mu ją dał, nigdy i nigdzie nie chcąc zostawać poza obrębem życia w narodzie.

Mylne było to wyobrażenie, znajdujące nawet pewną powagę, jakoby kościół średniowieczny tamował swobodny rozwój ojczystego języka i piśmiennictwa, a tém samém, że z jego winy język i piśmiennictwo polskie rozwinęły się u nas tak późno i tak nieswojską formą. Postawiwszy natomiast pytanie: czy moglibyśmy byli z odrzuceniem formy cywilizacyjnéj kościoła, to jest łaciny, przyjść do tak wysokiéj kultury równającéj nas z pierwszemi narody, w piętnastém i szesnastém stuleciu, znajdziemy odpowiedź: że zapewne kultura nasza byłaby się rozwinęła na innych warunkach, może swojskich, samoistnych; że bylibyśmy mieli dochowane pieśni naszych gęślarzy, a ztąd i wcześniejszą ojczystą literaturę, któraby nie na odrodzonym klassycy-

zmie, ale na swojskich wyrosła sokach. Lecz coby się wtenczas stało z bytem i znaczeniem Rzeczypospolitéj, czy oparłaby się mongolskim napadom, czy nie doznałaby losu Serbii i Bulgaryi?—to nie wchodzi zazwyczaj w powierzchowną odpowiedź teoretyków historycznych, opłakujących gorzkiemi łzami stracone pieśni napół pogańskie i dzikie, które zazapewne duchowieństwo jako rzecz przeciwną nauce kościoła gorliwie tępiło. Nie przeczę, iż zaczynać literaturę zabytkiem piastowskim, lub dawniejszym coby stawał na równi Nibelungów lub Kalewalli, przyczyniłoby jéj wspaniałości i ozdoby, ale z drugiéj strony nie można tak za nic ważyć sobie ani tych praw Kazimierzowskich jakiemi mało który naród wówczas się mógł pochlubić, ani zapominać o takich Długoszach, Witelionach, Grzegorzach z Sanoka, Kopernikach, Krośnianinach, Dantyszkach, dlatego, że pisali po łacinie. — Polskie piśmiennictwo było u nas tylko spopularyzowaniem literatury łacińskiéj, która dotknięta czarodziejską rószczką epoki odrodzenia, zaczęła od połowy piętnastego wieku dźwigać się i zbliżać do wielkich klassycznych wzorów. — Dlatego jedna i druga łączą się

nierozerwanym węzłem; jedna przygotowuje drugą; jedna drugą objaśnia i dopełnia.— Ta sama myśl w dalszym ciągu, tylko w odmiennéj formie. Niestosownie więc chcieć ją objaśniać i wywodzić od ułamków piosnek gminnych dziś pozbieranych, a poczytywanych za odwieczne zabytki, jakby te kiedykolwiek zostawały w związku z organizacyą społeczeństwa i instytucyj w Rzeczypospolitéj, jakby pisarze i poeci Zygmuntowscy nie byli wychowańcami téj kultury chrześciańskiéj, europejskiéj, tylko ogładzonymi wiejskimi bardami, co napół wierzą jeszcze w Lela i Polela. — Chęć ugminnienia i spoganizowania wielkiéj przeszłości narodu, wchodząca w rachubę dzisiejszych zwolenników gminności i słowianomanów, naprowadziła na te nietrafne zestawienia i analogie, które każdego rozważnego badacza musiały zaraz uderzyć i wywołać zdziwienie, jakim cudem odbył się w literaturze polskiéj ten nadzwyczajny skok z pieśni gminnéj lub jakicheś ułamków uronionych po kronikach, do tych Kochanowskiego ód i hymnów noszących cechę owych płodów sztuki, co są zazwyczaj wynikiem wykwintnéj cywi-

lizacyi, na ktorą się kilka wieków tradycyonalnie składało.

Rozważniejsze i głębsze prace nad dziejami piśmiennictwa naszego podały zapomnieniu ten rodzaj zapatrywania się na przeszłość umysłową narodu, a zarazem przywróciły łacinę do praw i znaczenia, odjętego jéj przez romantyzm, który wolał rodowód swój wyprowadzać od wymarzonych bardów ludowych, niż uznać pomimo umizgów do średniowiecznych zamków, baronów i turniejów, cywilizacyjną siłę kościoła i w niéj szukać klucza do rozwiązania przyczyn nagłego wzrostu literatury. Romantyzm odwołujący się do wieków średnich i chrześciaństwa, bo tak zaczynał wszędzie póki nie skończył na gminności, nie chciał nic wiedzieć w swojém uwielbieniu dla pogańskiego Słowianizmu, o darach jakie przynieśli na tę ziemię kapłani rzymscy tworzący z surowych materyałów społeczeństwo prawdziwie chrześciańskie. Była to nieloika, jeśli nie śmieszność nowatorstwa.

Taka luka zrobiona w ciągu i na początku literatury, spowodowała kilku piszących do ujęcia się za prawami łaciny; — najdzielniéj jednakże, bo najpraktyczniéj, poparł znacze-

nie i zaletę naszych poetów łacińskich Syrokomla, ogłaszając przekłady wytwornym rymem dokonane Elegii Janickiego i Kochanowskiego; poematu Klonowicza i Ód Sarbiewskiego. Nie wchodzę tutaj czy przekład nie jest gładszy i bardziéj dzisiejszy niż same oryginały, czy zatrzymały się w nim jakie cechy stylu właściwe każdemu z tych rymotwórców, czy téż znikły w tym harmonijnym dźwięku bardzo szczęśliwéj faktury wiersza? — są to punkta mniejszéj wagi, obok téj wysokiéj zasługi jaką ma tłumacz przyswajający dzisiejszym czytelnikom te wszystkie klejnoty naszéj poezyi łacińskiéj zwykle pomijane z obojętnością, a nawet podane zapomnieniu u własnych rodaków, kiedy pośród oświeconych cudzoziemców oddawna doznawały wziętości, i że tak powiem, propagowały poza granicami sławę narodu, co oświatą i duchową podniosłością znakomitych mężów, dotrzymywał kroku najprzedniejszym cywilizacyom.

Uronione te bogactwa odzyskał Syrokomla i przekonał zarazem, że łacina, acz martwy język, była naówczas jedynym środkiem, za którego pomocą naród dawał się poznawać innym narodom i zyskiwał to stanowisko wyż-

sze, co wpływa na interesa powszechne państw, a tém samém odgrywa nie niemą, ale czynną i umysłową rolę w pracy ogólnego postępu. Cała nasza literatura łacińska, była jedném słowem wymowną protestacyą przeciw wszelkim zarzutom barbaryi i jasném świadectwem dokonanych postępów na drodze wykształcenia religijnego i umysłowego.

Cudzoziemcy do dziś szanować ją umieją lepiéj niż my sami. Sarbiewskiego czytywano i rozbierano po uniwersytetach niemieckich i angielskich, przekładano go wprzód niż go Syrokomla przełożył. — Edycye wychodziły wszędzie, tylko u nas najrzadziéj. Rytmy Dantyszka przed stu laty prawie wydał Böhm we Wrocławiu, teraz znowu wydaje go razem z hymnami Kopernika, Hippler, dołączając przekład obok tekstu. U nas o nie mało kto pyta. Co za szkoda, że Syrokomla nie zaczął od Dantyszka i nie przełożył tych hymnów pełnych prostoty i namaszczenia bożego, tém cudowniejszych, że wypłynęły z duszy długo miotanéj burzami świata, długo olśniewanéj blaskami tronów i dworów; a ciągle pojonéj czarującemi truciznami pólbożków reformy

przemawiających z całą elegancyą i pychą klassycznego renesansu.

Ażeby zrozumieć nieraz wielkość człowieka i poety z innego czasu, nie należy go mierzyć na skalę dzisiejszych wymagań i pojęć, ale postawić śród świata i ludzi, pośród których wyrósł w to, czém był. Z Dantyszka zostało dla nas trochę żalu do świata za jego niestateczne uciechy i rozkosze, i pobożność prostaczka wyśpiewana ubogim, skromnym rytmem na wszystkie uroczystości kościelne obchodzone na cześć Zbawiciela i Najświętszéj Panny. Mała spuścizna! powié kto, tak mała, że może i niewarta świetnego rymu i języka dzisiejszych poetów.— Zapewne, brylantów myśli, stylu Horacyuszowéj werwy tu nie szukać, ale za to jest jakiś nieopisany urok wiejący z tych strof kościelnéj łaciny, urok żadną sztuką niedający się naśladować, bo téż wypłynął z głębi duszy co wśród otaczającéj go wielkości i zaszczytów, sławy głośnéj i dumę budzących przyjaźni, zzuwała ze siebie insignia władzy, laury i herby na polu dowcipu, nauki, dyplomacyi zdobyte, i jakby w jednéj koszulce z ułomnościami swemi stawała przed oblicznością Najwyższego Sędziego. Są to mo-

dlitwy pokajanego serca, przeto sztuki w nich niema, ani téż podług wymagań sztuki sądzone być powinny; a jednak zdaniem mojém najcenniejsze te kwiaty, jakie w tym rodzaju literatura nasza posiada.

Tradycya téj poezyi chrześciańskiéj była jeszcze bardzo żywą, i upowszechnioną za czasów Dantyszka. Poeta, malarz, rzeźbiarz, zgoła wszelki sztukmistrz w tém źródle czerpał natchnienie, bo tam spływało wszelkie uczucie i życie, tam się mieścił ideał najszczytniejszych tęsknot i marzeń. Potrzeba było aż zatrząść podwalinami kościoła, aby tradycya ta tuląc się w cienie katedr i klasztorów, zostawiła wolne pole interesom i widokom ziemskim, wśród których sztuka stała się świecką i poczęła hołdować sama sobie i dla siebie.

Poezya czerpiąca w źródle tak żywém jakiém były tradycye cudowne sięgające jeszcze pierwszych wieków chrześciaństwa, miała przyczynę i warunek swego istnienia w samym przedmiocie, który opiewała, była bowiem związaną z wyobrażeniami pojmowanemi i wyznawanemi przez ogół chrześciaństwa; ztąd popularność jéj przechodziła wszystkie popularności, o jakie się kuszą dzisiejsi sztukmi-

strze napróżno; a choć o sztuce nikt wówczas nie rozprawiał, ani estetyk nie wydawano, jednakowoż sama ilość, wielkość i wyborność utworów osnutych na tych tradycyach i legendach, przewyższa szczytnością i siłą natchnień dzieła późniejszéj sztuki świeckiéj. Wielka rzeka poezyi ożywiająca całe wieki średnie, podobna jest do tych ogromnych biegów wód nowego świata, co skrapiają tysiącomilowe lądy, a jednak źródło ich nieznane gubi się gdzieś w rozpadlinie niedostępnych gór.

Porównanie to jeszcze z tego względu ma prawdę za sobą, że jak bardzo późno zaczęli się ludzie wywiadywać zkąd się biorą te wody co skrapiają ziemię, tak podobnie niedawno zaczęto wywiadywać się zkąd powstały te nieśmiertelne utwory, któremi zasilała się wiara naszych ojców? Wieki bowiem, które niemi się karmiły, nie dbały o ich historyczny wywód. Od piątego téż do szesnastego wieku poetyczne tradycye o Zbawicielu, o Boga-Rodzicy, o Apostołach używały nieograniczonéj powagi we wszelkich utworach swobodnéj myśli. Potęga ta tradycyi poza granicami nauki i dogmatu rozszerzała się nieskończenie; one

to panowały udzielnie w duszy ludu, jak w wyobraźni poety i artysty, gdzie się przeobrażały w najwdzięczniejsze i najgłębsze utwory. Po tysiącu latach wiara utrzymująca te tradycye ostygła, racyonalizm wysuszył źródła żywe poezyi religijnéj, a długi szereg pomników literatury średniowiecznéj popadł w głębokie zapomnienie.

Dantyszkowe hymny jeszcze należą do tego okresu żyjącéj tradycyi; cały cykl tak zwanych apokryfów téj epopei religijnéj ludu, nie przeszedł był do zbiorów ułożonych systematycznie i krytycznie komentowanych, jak to późniéj się stało. — Wyobrażenia te, wiara w nie, przenikła zarówno pierś uczonego poety, jak i prostaka; choć więc tu i ówdzie uczoność klassyczna wplatała jakie reminiscencye mitologii pogańskiéj: Styxowi kazała płynąć w piekle, Febowi ziemi przyświecać, Parkom nić życia przecinać, ztémwszystkiém byłyto raczéj kwiatki stylu, niż sama treść rzeczy.

Powyższy ten ustęp o poezyi chrześciańskiéj zdawał mi się potrzebnym, dla ocenienia Dantyszkowych hymnów z téj strony z jakiéj sądzone być powinny; inaczéj, idąc za sądami historyografów literatury i krytyków

estetycznych, trzebaby je było odesłać do kategoryi hymnów liturgicznych, o których sztukmistrze zazwyczaj mówią z politowaniem jakby o malarstwie robionėm za pomocą patronów. Zawsze bowiem podług przyjętéj reguły upatrują w płodach poezyi kościelnéj pewną dogmatyczną skamieniałość, zapominając czy nie wiedząc o tém, że dogmat był i pozostał dogmatem, a poezya karmiła się tradycyami religijnemi żyjącemi wśród ludu, które jéj dawały najobszerniejszą wolność. Najwięksi poeci średnich wieków nie narzekali na więzy dogmatu, owszem Słowo wcielone otworzyło przed nimi nieogarnione tajniki chwały niebieskiéj, dozwoliło wznosić się i ścigać ideał miłości i ofiary, nieznany pogańskim piewcom. Jakaż to niezmierna różnica między hymnem Kleanta, a hymnem Ambrozyańskim! Mogli filozofowie starożytni za pomocą wyobrażeń pożyczonych ze Wschodu, rozgmatwywać niekiedy który z istotnych przymiotów bóstwa, z czego współcześni ich poeci umieli korzystać; lecz nigdy żaden z nich nie umiał wznieść się do pojęcia o miłosierdziu boskiém; przywilej ten dostał się w udziale duchowi chrześciańświa, któremu dzieje zstąpienia i mąk

Zbawiciela na ziemi, dostarczyły w tym rodzaju niewyczerpanych skarbów. Poeta dotykając téj materyi rozrzewniającéj i szczytnéj zarazem, nie obawiał się tych przepaści jakie panteizm i fatalizm pokopał pod stopami pogańskich poetów; zamiast téż zbierać okruchy ze stołu filozofów (jak to i dziś się dzieje czasami) szukać począł natchnienia we własném sercu, i śpiewał równie wesoło jak betleemscy pastuszkowie: Chwała Panu na wysokościach!

Przypatrzmyż się bliżéj człowiekowi, aby zrozumieć co sekretarza królów, posła do najpierwszych świata mocarzy, potężnego księcia kościoła, uczonego stojącego w rzędzie najsławniejszych uczonych, poetę lubiącego uciesznią grę świata, z sercem wrażliwém i tkliwém, wyobraźnią żywą i unoszącą, co mogło podnieść Dantyszka do wysokości téj pokory prostaczka pokładającéj w miłosierdziu Pańskiém tę jedyną ufność i siłę, jakiéj w okazałościach i przepychach świata nie znalazł? — Hymny jego mówią to w pełnéj szczerości, od któréj daleką jest wszelka sztuka. — Życie człowieka stwierdzi tylko tę prawdę.

Jan Dantyszek urodził się w Gdańsku w r. 1485.— Od lat dziecinnych okazywał on pociąg ku naukom, i myślą wydzierał się ku większym zawodom, jak rzemiosło ojcowskie. Rodzice postrzegłszy w nim niezwykłe zdolności, oddali go do szkół gdańskich, gdzie zrobiwszy zadziwiające postępy, przeniósł się w czternastym roku do szkół krakowskich, a po ukończeniu tychże, do sławnéj akademii. Studia klassyczne tyle mające wówczas wziętości i nauka prawa, którym się poświęcił, usposobiły go do każdego zawodu. Wyprawa jednak przeciw Tatarom w roku 1502, a w następnym przeciw Wołoszy, oderwała go od nauk, i zrobiła żołnierzem. Po dwuletniéj przerwie wrócił znowu do ulubionéj poezyi; lecz nie na długo. W paranetycznym wierszu do Alliopaga (Knobelsdorfera) z żalem wspomina, jak:

Z uczonéj szkoły wzięty na królewskie dwory
Pacholęciem, przeklinam ten los do téj pory.
Dwór, zaraza na ludzi, ściek wszystkiego złego,
Nauczył mię—lecz wstydzę przyznać się do tego....

Młodzian natchniony miłością sztuki i nauk prędko musiał poczuć niesmaki do pustego dworskiego życia, a że ideał poetyczny uno-

szący się nad Italią najpierwéj zwykł pociągać ku sobie młodych marzycieli — toż i on postanowił krakowski dwór pożegnać i na klassycznéj ziemi daléj poświęcić się nauce starożytnéj. Rzemiennym dyszlem kołując na Danię i Niemcy, przeszedł Alpy, a gdy mu zabłysło morze, spuścił się do Euganeów, czyli mówiąc prostym językiem, znalazł się w Wenecyi, gdzie spotkawszy okręt mający odpływać do ziemi świętéj, uczuł jakby boskie natchnienie do téj podróży....

Piękny opis téj żeglugi do Jerozolimy i Arabii, zostawił w kilkunastu wierszach wyżéj wspomnianego wiersza do Alliopaga. Choroba na morzu, burza, pełno wspomnień klassycznych na widok każdéj wyspy, wylądowanie w Jaffa, eskorta arabska, mimo któréj nie uniknął po drodze bicia, urągań i błota, krótkie wspomnienie miejsc uświęconych męczeństwem Zbawiciela — oto cała treść ustępu. — Z powrotem zarwał tylko Włoch, nie na długo, bo snać ciągnęła tęsknota do ojczyzny. — W 23 roku życia wrócił do Krakowa, gdzie jak pisze: poświęcony prostocie mędrca, pragnął daleko od światowego zgiełku na ustroniu oddać się całkiem naukom i poezyi — lecz

inna padła mu kostka. Tomicki, biskup i kanclerz, mąż wielkiego światła w Kościele i Rzeczypospolitéj poznał Dantyszka, i zaraz Zygmuntowi I na sekretarza polecił. W jednym wierszu wkrótce potém złożonym: *De virtutis et honoris differentia* opiewa on, że wiedział dobrze o niebezpieczeństwach grożących mu u dworu, i że długo walczył sam z sobą, dopóki się nie przeniewierzył dawniejszym postanowieniom, i ofiarowaną posadę przyjął. Raz w urzędzie, sprawował go biegle i pilnie, i tak prędko dał się poznać przyrodzonemi zdolnościami, umiejętnością języków, wybornym stylem łacińskim, że król Zygmunt używał go odtąd do najtrudniejszych poselstw i traktowań. Mianowicie w sprawach miast pruskich, które znał dokładnie, wiele usług oddał Rzeczypospolitéj, powściągając i hamując niektóre miasta jak: Gdańsk, Elbląg, Toruń, od wyłamania się od zwierzchnictwa Polski. Trudne to zadanie było pierwszą próbą w zawodzie publicznym; późniéj czekały go świetniejsze poselstwa. — Na zjeździe monarchów w Wiedniu r. 1515 towarzyszy Zygmuntowi I i nietylko bierze udział w pracach dyplomatycznych, ale jako uczony i poeta repre-

zentuje godnie oświatę swojéj ojczyzny, wobec znakomitości dworu Maxymiliana I, takiego Zygmunta Herbereszteina, Richarda Bartolina z Perugii i Ursina Veliusa. — Po skończonym kongresie Zygmunt odjechał a Dantyszek zaszczycony jego pełnomocnictwem, został przy boku Cesarza Maxymiliana, który go kilkakroć razy do załatwienia trudnych spraw do Włoch wysyłał, a nawet jemu miał podziękować, że przyszło do zawarcia traktatu z rzecząpospolitą Wenecką.

Spędziwszy więcéj trzech lat przy Cesarzu wrócił na dwór swego pana, lecz i tu niedługich zażywał wczasów; albowiem gdy wypadało upomnieć się Zygmuntowi o Księstwo Baru, zapisane testamentem przez Johannę królowę hiszpańską, matce Bony Sforcyi, doświadczony Dantyszek musiał jechać do syna Johanny, późniejszego Karola V, który podówczas mieszkał w Walladolidzie, i tak szczęśliwie trudny interes poprowadził, że ztamtąd poseł nasz pojechał do Baru, aby tam ułożyć się w imieniu królewskiém.

Z powodu grożącéj wojny od Solimana II, mogącéj naprzód dosięgnąć Węgry i Polskę, baczny Zygmunt znowu wyprawił Dantyszka

do Cesarza Karola V, aby zaniechał wojen prowadzonych na Zachodzie, a siłę oręża swego przeciw niewiernym obrócił; było to w r. 1521. — Odtąd życie naszego poety zdawało się nie mieć ani jednéj chwili do poświęcenia muzom; przez lat bowiem dwánaście posłował z dworu na dwór. — Widzimy go już w Rzymie, gdzie wzywa o pomoc przeciw Turkom, już w Wenecyi i Ferarze, już Księstwo Baru odbierającego na rzecz swego króla; już zawikłania z powodu sekularyzacyi zakonu kawalerów krzyżowych i lennictwa Prus wschodnich układającego.— Słowem, Dantyszek nietylko pracował dla swego pana, ale nadto Karolowi V tak się podobał, że go w wielu rzeczach się radził, ze sobą woził, a nieraz do bardzo ważnych spraw dyplomatycznych używał; między innemi, jak niektórzy pisarze jego żywota utrzymują, miał on mieć niepośledni udział w zawarciu pokoju między Karolem V a Franciszkiem I, który to pokój stanął w Madrycie.

Przy tak rozległych politycznych zajęciach odzywała się kiedyniekiedy miłość jego do poezyi, zwłaszcza jeżeli wielka jaka okoliczność obudziła tę żyłkę; a tym sposobem mo-

żnaby go nazwać w części okolicznościowym poetą, ale nie w tém znaczeniu ubliżającém, w jakiém miano to daje się rymowanym pochlebcą. Dantyszek umiał się wznosić nad wypadki i ludzi, ogarniać je wzrokiem wieszczym, i nieraz zapłakać nad niedolą padołu. Smutny stan Europy w r. 1529 natchnął go elegią: O nędzy naszych czasów — powodem do tego był traktat Cesarza Karola V zawarty z Papieżem w Bolonii. To pojednanie najwyższéj władzy duchownéj, z najwyższą władzą świecką napawało piękną nadzieją, że dla rozdartéj religijnemi sporami Europy, nastąpi pokój.

Jak Owid hesperyjski — powiada on na wstępie téj elegii — na wygnaniu w Tomach uczył się wierszować po gotycku i sarmacku, tak i on Sarmata, oddalony od ojczyzny, chciałby hesperyjską mową zanucić pieśń wyciśniętą obecnych czasów niedolą. Niech przeto czytelnik przebaczy usterkom zewnętrznym, a za to nie gardzi treścią:

„Byleś myśl moję schwycił, nie stoję o słowa.“—

tak się odzywa w sposób malujący własność jego utworu i przystępuje do skreślenia zbyt

smutnego obrazu ówczesnego świata. Napomina on pany chrześciańskie, aby zabiegali złemu, mianowicie wkłada na nich powinność pomścić się na Turkach za bitwę pod Mohaczem i za spustoszenie ziem chrześciańskich. Papież i Cesarz, których charakter wybornie kreśli w kilku rysach, głównie odpowiedzialni są za całość wiary świętéj — jakoż zaklina ich na władzę powierzoną im od Boga, aby zaniechali politycznych i religijnych waśni, i związani sojuszem, stawili czoło wdzierającemu się pogaństwu.

Pogląd wyższy nad wszelkie egoistyczne cele stronnictw spornych między sobą, dokładna znajomość bieżącéj polityki, wzniosłe myśli i obrazy obok prostoty i powagi, a przytém gorące pragnienie dobra państw chrześciańskich, podnoszą ten utwór do najznakomitszych owego wieku — czego dowodzą liczne po sobie idące edycye w Bolonii, Krakowie i Kolonii.

Dantyszek stęskniony za krajem, znużony dworem i pracami, pragnął powrotu, ale Zygmunt nakazywał mu nie odstępować Cesarza. Jeździł więc z nim to do Augsburga, to do Akwisgranu, to do Bruxelli, to do No-

rymbergii na sejmy Rzeskie. — W ostatniém tém mieście znalazł się pośród licznego grona uczonych i poetów — byłto najmilszy żywioł jego, w którym pełną piersią oddychał. — Oprócz Eobana dawnego swego przyjaciela jeszcze z akademii krakowskiéj, poznał się i zaprzyjaźnił z wszystkiém co otaczało dwór cesarski najświetniejszy w Europie. Z tego powodu pozostały liczne po nim korrespondencye z ministrami, uczonymi, poetami, kunstmistrzami, a nawet monarchami: Taki Eobamus, Ursinus, Velius, Herbersztein, Bartholinus, Jan Wese, Perenot Granvella, Spiegel, Duplicius Schepper, marzyciel Walder, jenialny poeta Janus Sekundus, zgoła pisarze i dyplomaci pisywali doń nieustannie, a nawet sam Ferdynand Kortez, którego poznał był w Madrycie, nie przestawał pisywać do niego już po wyjeździe do Mexyku. Z pewnym rodzajem dumy wspomina o tém Dantyszek w swoich rymach:

Listy szły od przyjaciół; Kortez téż pisywał,
On wielki, co zamorskie państwa pozdobywał,
Co po znak koziorożca od równików włada
W oddali mię pamięta i czasem zagada.

Uczeni różnych narodów poczytywali so-

bie za zaszczyt być przyjaciołmi Dantyszka.— Dwie najpierwsze głowy ówczesne: Erazm Roterdamczyk, to uosobione ognisko naukowości europejskiéj, i Hozyusz ten wielki mąż kościoła, mówią o nim z uwielbieniem w swoich pismach. A jakąż miłością, jakiém zaufaniem zaszczycały go takie znakomitości, jak Janus Sekundus, najprzedniejszy łaciński poeta, który posyłał mu do przejrzenia swoje rytmy, i kilka elegij jego osobie poświęcił. Podobnież Eobanus poświęca mu trzecią księgę swoich: Poetycznych Lasów — a Dupliciusz Schepper, kochający go jak ojca, pisze doń: Jeżeliby nieszczęście miało mię dotknąć kiedykolwiek, do nikogobym nie poszedł, tylko do ciebie, drogi mój Dantyszku.

Z takiego to koła uczonych przyjaciół zagranicznych wyrwany został nakoniec nasz poeta. Król Zygmunt listem własnoręcznym (1530) ofiaruje mu wakujące biskupstwo chełmińskie, i on załatwiwszy sprawy poselskie, pełen radości wraca pod koniec 1532 r. do ojczyzny. Pragnienie wnijścia w stan duchowny dla łatwiejszéj poprawy żywota, oddawna już nurtowało w jego sercu. Czego się niegdyś lękał dla duszy, to i znalazł na dworach.

Prawda, że na drodze honorów świetne porobił zdobycze; że wiadomościami, zręcznością prowadzenia interesów, wypróbowaną wiernością i gorliwością w służbie swego pana, wyniósł się tak wysoko, jak może nigdy nie marzył — a jednak na drodze cnoty nie mógł się pochlubić takiemi postępy. Te śluby niewinności, pokory, które niegdyś złożył był w młodszych latach u grobu Zbawiciela, zwietrzały w długiém życiu dworskié m, a przestawanie z wykwintnie wykształconymi lecz lekkomyślnymi humanistami, co dla zewnętrznie powabnych kształtów klassyczności pogańskiéj, wyrzekali się ducha chrześciańskiego, popchnęło go błędną drogą, gdzie coraz więcéj czuł, że się oddalał od tych chrześciańskich ideałów, jakie napełniały niegdyś młodą jego duszę....

W wierszu do Grinei, sam wspomina na ten peryod burzliwy:

Młodzieniec gorący,
Rad wpadałem w Cyprydy ogród czarujący,
Święte kadzidła sypiąc na ołtarz Pafii,
Z wiązką zielonych mirtów i róż i lilii. ..

a późniéj w przypisku do Herbersz teina, jakby robiąc summę z téj mądrości, co ją zdobył

na świecie w piętnastoletnich poselstwach — powiada: „Wszystko próżność, jedna tylko miłość ku Bogu trwa wiecznie.“

Odtąd wszystkiemi siłami pragnął przez pokutę i umartwienia dostąpić w duchu świętego spoczynku, odmienić żywot i wyłącznie oddać go na służbę Bożą.—Dawny jego przyjaciel i dobrodzięj Piotr Tomicki dał mu święcenie kapłańskie i biskupie w r. 1533.

Zarząd biskupstwem w ziemiach pruskich wymagał człowieka z energią i głową. Nietylko trzeba się było opędzać różnowiercom, ale nadto stawać w obronie stanów, ilekroć Rząd okładał tę prowincyę zbytniemi ciężary. Dantyszek umiał tym trudnym obowiązkom podołać, jednocząc interes prowincyi z dobrem Rzeczypospolitéj. Niebawem przybyła mu wyższa godność; bo gdy zawakowało biskupstwo warmińskie, dostał je—co więcéj: Karol V ofiarował mu kapelusz kardynalski, Bona takiż ze swéj strony—lecz zacny mąż podziękował, powiadając, że biskupstwo i łaska króla polskiego wystarczają mu. Zaszczytów więcéj nie pragnął, a całą usilność tylko do tego zwracał, aby na urzędzie biskupim zrobić wszystko dobre, co się da zrobić. Użyty je-

szcze pokilkakroć do różnych spraw politycznych, powołujących go do dworu i za granicę, zakopał się do końca dni w ulubionéj Warmii. — Było też niemało kłopotu z powierzoną mu owczarnią. Nowa nauka łącznie z zepsuciem obyczajów poczęła przeborem wdzierać się do jego dyecezyi, a chociaż od czasu do czasu ciskał ostre mandaty przeciw protestanckim kaznodziejom, jednakowoż niepodobna mu było odeprzeć téj zarazy.—Mało który z ówczesnych dostojników kościoła znał tak wybornie tajemnice sekciarzy jak Dantyszek, większa bowiem część tychże zostawała z nim w stosunkach literackich, jak Melanchton, Sabinus, Isinder, Eobanus—poufnie téż, przyjacielsko zbijał błędy ich i opłakiwał je. Umiał téż energicznie wystąpić, gdy się rozzuchwalała herezya. Skulteta, którego naukę cenił, kazał przecież wydalić z kapituły i kraju; Gnafeusa humanistę i poetę skoro począł wichrzyć słowem, złożył z Elbląskiego rektoratu. — Zgoła na wychowanie i szkoły pilne miał oko, ponieważ w nich widział rękojmię utrzymania wiary przodków, nietylko więc samém ściganiem kacerzy oczyszczał je, ale nadto kosztem swoim dawał młodzież uczyć

w Rzymie, aby na światłych i pobożnych ludziach nie brakło dyecezyi.

Pomimo prac przywiązanych do godności biskupiéj, modlitwa i nauka zapełniały resztę chwil Dantyszka. Usunąwszy się od zgiełku dworskiego świata, wracał czasami do ulubionéj poezyi, ale nie było to już owe igranie pustemi słowami, popisywanie się erudycyą klassyczną jak w utworach młodości—ale coś głębszego treścią, choć w ubożuchnéj formie. Chrześciański mędrzec nauczony przez długoletnie doświadczenie, przez pokutę i modlitwę, patrzeć na sprawy téj ziemi okiem jedynéj prawdy, inaczéj pojmował poezyę, niż pałający żądzą użycia, klassycznemu libertynizmowi hołdujący humanista—inaczéj śpiewał pobożny i pokorny kapłan, niż pyszny i lekkomyślny dworak. Jeżeli dawniéj zakładał wszystko na wykończonéj formie, jeżeli pragnął błyszczeć obrazami, metaforami i oczytaniem się w klassykach, dlatego może, aby pokryć tym blichtrem niedostatek wewnętrzny, to w hymnach, umyślnie słabiéj naciągnął struny swéj lutni, aby tém mocniéj pieśń pełnéj prawdy wdzierała się do serc słuchaczów. Hymnów tych złożył trzydzieści.

Hozyusz wydał je w roku 1548 po raz pierwszy bez nazwiska autora, i wyborną do nich przedmowę napisał. Modlitwa i rozmyślanie duchowne, główném były zajęciem ostatnich lat życia naszego Dantyszka; jako więc kwiat i owoc tych rozmyślań pobożnych, potrzeba uważać te hymny. — W przedmowie do czytelnika wyrzeka się wszelkich reminiscencyj klassycznych: „Ani dziewięciu siostrom, ani Apolinowi śpiewam te hymny, ani tryska tu zdrój z pod kopyt uskrzydlonego rumaka — bo w téj książeczce stoją krwawe znaki ran Chrystusowych, męczeństwo i śmierć krzyżowa poniesiona niewinnie.....“ A daléj znowu w prologu mówi o naturze wiersza użytego w tych pieśniach, usprawiedliwiając niby odstępstwo swoje od wykwintów klassycznego renessansu: „Nie pogardzaj tym krótkim wierszem kościelnych pieśni — są one bez fałszu, nie kąpane w zdroju aońskim, nie woniejące Cyrrhy poetycznym gajem—lecz ranami boku Chrystusowego..... Często Spondeus zastępuje tu miejsce Jamba, i nietrudno z Dimetrem się zgadza.“

W epilogu przy zamknięciu hymnów powiada: Sequuti nobilem Prudentium quantum

licebat, lecz w rzeczy saméj zbliża się on w nich więcéj do hymnów zawartych w brewiarzu, niż do Prudencyusza, który ucieka się do wszelkich środków retoryki i nie gardzi nawet obrazami mitologii pogańskiéj, gdy tymczasem Dantyszkowe hymny są bez wszelkiéj pretensyi do próżnych ozdób, co i w powyżéj cytowanych wierszach wypowiedział, a co i w ciągu święcie dotrzymał. Osobliwa rzecz, z jaką wstrzemięźliwością umiał odsunąć od siebie wszelką pokusę czerpania w tém bogactwie klassyczném, na jakiém się prawie wychował—a jak przejął się tym duchem prawd chrześciańskich, które wtenczas tylko bywają najwymowniejsze, jeżeli je nie pstrzy retoryka, wtenczas najwdzięczniejsze, jeżeli są w surowéj prostocie, bez żadnych ozdób.

Otóż właśnie serdeczną prostotą tych hymnów góruje Dantyszek nad wieloma poetami ówczesnymi, co mieszając mitologię starożytną do wyobrażeń chrześciańskich, często robią się tak wymuszonymi. Jak zaś w duchu pobożnego natchnienia je składał, jak uważał je za modlitwę raczéj, niż dzieło autorskiego popisu, potwierdza ostatni wiersz: ad pium Lectorem, gdzie się lituje nad marnościami au-

torskiéj sławy, która nie towarzyszy nam w kraje czarnego Plutona, która jednego grzechu nie odkupi, ani téż imieniowi naszemu i książkom naszym nieśmiertelność zapewnia.

Lecz jeżeli chcesz świadectwo, żeś tu żył, zostawić,
Żyj tak, aby cię Chrystus mógł przyjąć i zbawić;
Li przezeń nieśmiertelne uśmiecha się życie.

Zaledwie Dantyszek skończył był księgę swoich hymnów pisanych z taką miłością, z takiém namaszczeniem, gdy przyszły nań niemoce ciała. Spoufalony oddawna z myślą o śmierci, spokojnie oczekiwał ostatniéj godziny i zgasł dnia 27 Października 1548 na rękach swego ulubieńca Knobelsdorfa, który go nie odstępował przez ciąg całéj choroby pielęgnując jak ojca rodzony syn.

Opowiedziałem piękne to życie, biorąc pochop z tych hymnów tworzonych, jak mówiłem, pod drgającym jeszcze wpływem owéj tradycyi poezyi chrześciańskiéj, co niebawem miała pierzchnąć przed pompą sztuki świeckiéj i czczością racyonalizmu.

XII.

TAJEMNICE TŁUMACZEN

Przekłady greckich poetów i hymnów kościelnych.

Najprostsze sposoby najtrudniéj się przyjmują i wiele potrzebują czasu zanim się przyjmą.

To można zastosować do tłumaczeń z jednych języków na drugie, którym po większéj części niczego nie brakuje, tylko życia i duszy czyli ducha ożywiającego autora.

Tłumacze, najczęściéj bez wrodzonego talentu, silą się oddawać słowa, nie geniusz utworu; nie dbają o przelanie treści żywotnéj, o napełnienie nowego ciała wewnętrznym du-

chem pierwszego twórcy, ale i duchem ludu, a jednak zdaje się im, że są tłumaczami.

Nie zwracano na to uwagi, że wyrazy nietylko wyrażają ducha samego autora, ale jeszcze i ducha narodu, do którego należą: słowa bowiem, sąto cudowne symbole, nietylko wieków i ludów, lecz i różnych narodowości i najrozmaitszych plemion. Możnaby postawić twierdzenie, iż nigdy słowo nie jest w stanie oddać wszystkich a wszystkich odcieniów myśli. Porównajmy wzruszenia serca i delikatne cieniowanie pojęcia naszego z zasobami języka, a przekonamy się, że te zasoby, jakkolwiek ogromne i bogate, zawsze nie dorównają wyobrażeniu lub namiętności jaka ma być przez nie wypowiedziana. Mowa ludzka, ten wyraz materyalny, ten symbol żyjący myśli i obrazów i uczuć rodzących się w naszéj głębi, chociażby jak piękna, silna i malownicza, będzie niczém więcéj, tylko odbiciem się, tylko cieniem treści. W naturze naszéj tyle jest tajemnic, tyle nieokreślonych zagadek; tak trudno nam nieraz, tak niepodobnie wyrazić, co się w nas dzieje, że musimy przyznać, iż język mówiony u każdego narodu jest z natury swojéj narzędziem niedoskonałém, zmien-

ném, sztucznéma, dającém tylko słabe wyobrażenie o naszych uczuciach, boleściach lub rozkoszach. Śpiew słowika, prosta nieraz melodya dumki, daleko więcéj wypowiadają, niż najśliczniejsze wiersze wypowiedzieć są w stanie. Dlatego téż kto wiele przeszedł w zawodzie życia, kto głęboko badał społeczeństwo, przypomni sobie jak niejeden leciuchny odcień, niejeden rys w lot dojrzany i pochwycony, gdyśmy go chcieli uwięzić w wysłowieniu, zacierał się lub przechodził w ciężką pospolitość. Gdy tedy, jak usiłowałem pokazać, nigdy wyobrażenia i uczucia jakiegobądź narodu nie mogły znaleść dla siebie doskonałego symbolu, tedy i następstwa wynikające z tego założenia, muszą uderzać swoim niedostatkiem.

W samém przejściu z pomysłu do wyrażenia go słowem, odbywa się już, że tak powiem, pierwsze tłumaczenie, a w téj czynności, koniecznie musi się zatrzeć najważniejsza i najlotniejsza cząstka myśli pierwotnéj. Cóż dopiero, kiedy przyjdzie tłumaczyć z jednego języka na drugi, kiedy dwa instrumenta zarówno niedoskonałe i nastrojone na ton odmienny, będziemy chcieli zgodzić ze sobą.

Jeżeli Homer nie zdołał wszystkiego wypowiedzieć co chciał i czuł, jakżeż inny język nieużywający większego przywileju, będzie mógł oddać pierwotwór homeryczny? Rzecz widoczna, że jeszcze więcéj niż sam Homer oddali się od myśli oryginalnéj, która się poczęła we wnętrzu poety. Trudności te powiększą się nieodzownie w miarę, jak obyczaje i język ludu jakiego, będą się różnić między sobą, w miarę jak uczucia, wyobrażenia i obyczaj narodu, którego utwór się tłumaczy, w niczém nie będzie podobny z uczuciami, wyobrażeniami i obyczajem tłumaczącego narodu. Biedaczka myśl, co się już nieco zatarła przechodząc w słowo, urania coraz więcéj z swojéj istoty, krusząc się przez wciskanie w odmienne formy gramatyczne, przez narzucanie sobie odmiennych własności, przez oddanie wyrazami niemającemi téj donośności co w pierwotworze. Już Rzymianie źle pojmowali i nie byli w stanie oddawać pomysłów homerycznych, chociaż łączyły ich jeszcze węzły wspólnéj z Grecyą cywilizacyi; że nie zostawili ani jednego przekładu Iliady i Odyssei, to samo najlepiéj dowodzi, jak niezmierny był przedział między ich sztuczną literaturą,

a poezyą Grecyi, która podyktowała prawa sztuce. Jeszcze bardziéj, gdy nowożytny świat wyszedł z gruzów starożytnego, gdy społeczeństwo urządziło się feudalnie, gdy pogańskie niewolnictwo zaczęło tracić swój charakter, gdy indywidualność niewiasty rozwinęła się pod opieką chrześciaństwa, zgoła, gdy wszystkie przeobraziły się stosunki, inne nastały wyobrażenia, inne obudziły się uczucia i dążności, jeszcze bardziéj Homeryczna pieśń odsunęła się w głąb i jeszcze mniéj znalazło się analogii między starożytną a nowożytną cywilizacyą. Z Homera został tylko szkielet, cień prawie, który potrzeba było erudycyą odgadywać, ożywiać natchnieniem. Mimo tego tłumaczono go wszędzie, na różne języki europejskie, ale tak, że ani charakteru, ani owéj poważnéj bohaterskiéj prostoty nie umiano w nim zostawić. I nie dziw, bo duch cywilizacyi epoki Homerowéj przechodził wiedzę i czucie najzawołańszych jego tłumaczów, co pojmowali klassycyzm starożytny tak, jak go pojmowała tak zwana literatura odrodzenia się nauk, nieumiejąca odgadywać ani stanu społecznego epoki bohaterskiéj Grecyi, ani rozumieć związku między światem bogów a ów-

czesnymi ludźmi; albowiem co do tego ostatniego punktu oświecano się tylko mitologią rzymskich pisarzy, pozbawioną już tégo ducha głębszego, który ożywiał religię pierwotnych Hellenów. Ztąd téż czyny i mowy bohatyrów pelazgicznych poprzekręcane są niemiłosiernie; a uniknąć tego było niepodobna nie znając klucza do téj cywilizacyi starożytnéj.

Pomimo najlepszych studyów, z wszelkiém tłumaczeniem dzieje się to samo, co z operacyą chemiczną, w czasie któréj ulatnia się treść ciał poddanych analizie. — Nigdy téż sztuka tłumacza nie może zapobiedz aby się nie ulotniła i nie zwietrzyła najistotniejsza cząstka oryginału; przybliżenie tylko może być większe lub mniejsze, i w tém cała zasługa, aby jak najbliżéj zetknąć się z oryginałem. Przekalkowanie samych słów, choćby w porządku jak idą po sobie w tekscie, nie daje bynajmniéj zadowalniających wypadków; owszem, ten rodzaj niewolniczego tłumaczenia okupywany bywa kosztem i dobrego smaku i harmonii i natury języka, którym się tłumaczy: tak dalece, że czytając podobny przekład

tyle się zeń korzysta, ile z samego oryginału, kiedy się go nie rozumie.

Uważałem, porównywając różne przekłady Homera, że nasz język ma niezmierną wyższość nad innemi do oddania wszelkich cudownych własności pierwotworu greckiego, a to z téj przyczyny, ze podobnie jak język grecki jest malowniczy, pierwotny, prosty w swoich wyrażeniach, a przytém jakby stworzony na oddanie kształtów i barw, tak i nasz, lubo nie w tym stopniu, ale bardzo przybliżenie posiada te same przymioty, zwłaszcza odkąd zrzucił ze siebie pęta frazeologii i zaczerpnął téj naturalnéj swobody i malowniczości, jaka znamionuje pieśń gminną lub powieść. Każdy język urobiony na szkolnéj loice i retoryce, rozumujący i metafizyczny, mający zdolność oddawania odcieniów myśli, a nie zewnętrzną stronę rzeczy, nigdy nie podoła Homerowi, i jeśli się porwie nań, przegra sprawę, jak ją przegrali bez apellacyi Cesarotti, Pope, Bignan, nasz Dmóchowski i tylu innych, co mimo zdolności pisarskich, minęli się z oryginałem.

Niektórzy przyjmują za zasadę, że tylko ta epoka zdolną jest przekładać jakiego staro-

żytnego autora, która zostaje w analogii z tą epoką w jakiéj żył ów autor; lecz w dziejach ludzkości trudno znaleść dwie epoki, kropla kroplę podobne sobie, zwłaszcza, że różnica narodowości i wyobrażeń religijnych zawsze będzie niezmierna. Mimo tego jest w tém cokolwiek prawdy, gdy między innemi, przekłady biblii lub Homera dokonane w wiekach czerstwiejszéj i prostszéj wiary, rycerskości i śmiałych przedsięwzięć mają dziś dla nas jakąś woń starożytną, jakąś wielkość w prostocie, a w samém słowie zwięzłą moc i coś tak wyrazistego, że nowszy pisarz może i płynniéj i wdzięczniéj i głębiéj to samo powiedzieć, ale sposób jego powiedzenia nie zawsze potrafi tak uwydatnić kształty zmysłowe, ani tak je narzucić barwami, jak to umiały robić wieki mniéj wykwintnéj cywilizacyi.

W niewyrobionych jeszcze językach było coś, co miało analogię z homeryczną lub biblijną prostotą. Na dowód weźmy jeden ustęp z Iliady przełożony przez Jana Kochanowskiego; o ileż on bliższy swego wzoru, od późniejszych z przeszłego wieku tłumaczeń! Jeżeli czego żałować, to że Kochanowski nie dokonał całego przekładu Iliady, nie już rymem,

bo ten widocznie mu zawadzał i plątał potoczność opowiadania, ale wierszem białym użytym tak szczęśliwie i wzorowo w Odprawie Posłów. Spokój, powaga, zwięzłość i dosadność słowa, a nadewszystko to odgadnienie greckiego ducha, którém Kochanowski wyprzedził wszystkich nowożytnych pisarzy, co go odgadnąć usiłowali, zgoła te nieoszacowane w tłumaczu przymioty, mogły przyczynić się do prawdziwego wzbogacenia naszéj literatury przekładem, któremuby równego nie znalazł w żadnym języku. Kochanowski, prawdziwy twórca poetycznego naszego kodeksu, miał już przeczucie pieśni gminnéj, jak tego ślad zostawił w Świętojańskiéj Sobótce, był więc w części panem tajemnicy odsłaniającéj zagadkę wieków Iliady i Odyssei.

Rzecz dowiedziona, iż sam język książkowy, czyli taki, jakim go robią ciała akademiczne, lub szkolna retoryka, lub nareszcie wykwintne wymagania wyższych towarzystw dworskich, nigdy nie podoła téj swobodnéj prostocie cechującéj zazwyczaj wszystkie utwory młodzieńczości narodów; nie podoła tym epopejom religijnym, bohatyrskim, jak biblijne ustępy, jak Edda, poemata homeryczne i t. p.

Dzisiejszy nasz język, ile stracił na zwięzłości, barwności i téj męzkiéj energii będącéj własnością pisarzów Zygmuntowskich, tyle znowu zyskał na giętkości dającéj się użyć do każdego przedmiotu; bogaty w cieniujące wyrażenia zdolnym się staje do oddania wszelkiéj myśli lub obrazu, a i prostym być umie przez przyswojenie sobie form i wyrażeń i toków mowy, pieśni i powieści gminnéj. Władając nim, czyli będąc panem starego naszego języka i nowego żywiołu, można się już łatwiéj pokusić o przelanie na polskie tych nieśmiertelnych wzorów, które zawsze będą wszystkich tłumaczów przyprawiać o rozpacz.

Tu już zasada o analogii epok nie może na nic się przydać; bo kiedyż było więcéj przeciwieństwa jak między naszym czasem tak prozaicznym, tak niebohatyrskim, tak analitycznie wytrzeźwionym, tak skierowanym do drobnych praktycznych celów, a między temi epokami pełnemi syntezy, wiary wszystko przenikającéj, i pędzącéj do odegrania wielkich scen życia. Małość mierzy się tu z olbrzymiościa, chłód z ogniem, bardzo względne prawdy, z prawdami nieprzełomnymi, półcharaktery z charakterami jednego odlewu.

A jednak mimo téj sporności i właśnie dla téj sporności, epoka nasza zdolną jest więcéj niż inne, odwzorować sobie ten świat starożytnego ideału, który swoją cudowną uroczością tém więcéj pociąga, im większe koło siebie spostrzegamy braki. Tkwi bowiem w zadaniu idei nowożytnéj pewna dążność usiłująca rozprzestrzenić pole umysłowości przez przyswojenie sobie słowa i wyobrażeń różnych narodów i różnych epok cywilizacyi, przez zaszczepienie swojskiéj literatury na pniu innych literatur, zgoła pewne zbratanie się duchem w narodach. Widoki te literalne i zbyt filozoficzne, nigdy nie mogły postać w myśli Rzymian, co choć tak spowinowaceni z Grekami, że ich wzięli sobie za mistrzów, przecież nie umieli wniknąć w ich ducha, tylko chcąc sobie oszczędzić trudu tworzenia, korzystali po prostu z form wynalezionych przez Greków. Zasada plagia tu tak była zakorzenioną w Rzymie, że nikt się zapewne nie dziwił, kiedy pokazała się Eneida obciążona łupami zdartemi z epopei Homerycznéj.

Ta właśnie sympatyczność duchowa i umysłowa między dzisiejszemi narodami robi zadanie tłumacza łatwiejszém o wiele niż da-

wniéj; toż i tłumaczenia dosięgają wyższéj doskonałości i już zaczynają wchodzić w skład bogactw intelektualnych każdéj literatury.

Wszakże obok tego jak zawsze, wyradza się rzemieślnictwo i nadużycie. Niech tylko jakie znamienite dzieło ukaże się gdziekolwiek, zaraz dzielą je między takich wyrobników tłumaczów, którzy najczęściéj nie mają innéj zasługi, prócz pośpiechu w robocie. Nakładcy idźie téż najwięcéj o pośpiech; byle gruby sens materyalny został mniéj więcéj wiernie przekopiowany; o resztę mniejsza. Bo cóż obchodzi spekulanta, że publiczność nawyka do złego stylu i nabiera fałszywego wyobrażenia o pisarzu w ten sposób pogwałconym? Stawić tłumaczenie na wysokości sztuki, jest dziś prawie niepodobieństwem, tak dalece zajęły się tém zadaniem mierności i tak dalece spospolitowano ten zawód, że choćby i wyższy talent poświęcił sumienną pracę i długie lata przekładowi jakiego znamienitego utworu, to pewno nie znajdzie czytelników, a nakładca, odeszle go do kategoryi wyrobników pióra. Włoskie przysłowie: *Traduttore-traditore*; może się najlepiéj stosować do téj śnieci zanieczyszczającéj wszystkie żyjące literatury. Od-

kąd robienie książek pomięszało się z wyobrażeniem o tworzeniu, czyli produkcyi z ducha i serca, odtąd zawód wydawcy i autora spłynął niby w jedno, odtąd nasuwa się konieczność częstego wytykania granicznych kopców między rzemieślnikiem a sztukmistrzem. Podobnież i w tłumaczeniach, jedne są, które żadnego zysku nie przynoszą literaturze, drugie, które tyle ważą co najoryginalniejsze utwory. Wiadomo przecież jaki obrót i wzrost nadały literaturze niemieckiéj przekłady Vossa dokonane w przeszłym wieku. Dość przeczytać wyborne dzieło Cholewiusa w roku zeszłym wydane, w których kreśląc stan literackich pojęć w Niemczech i niedołęstwo płodów sypiących się z pod piór, wskazał zaraz inny zwrot inny polot, kiedy piszący skąpali się w przyswojoném sobie homeryczném źródle.

Wielkie wzory nigdy nie byłyby takiemi, żeby nie miały owéj własności zaszczepienia ideału, a tém samém wznoszenia nas nad poziom codzienności.

Owóż, choć to nie zastanowiło nawet dzisiejszych krytyków, co z wyżyn swoich ledwo półgębkiem raczą uwzględniać tłumaczenia,

choćby najklassyczniejszych autorów, postrzegam nieśmiały jeszcze, lecz dość już wyraźny przekłon ku studiom starożytnym, szczególniéj Greckim, co choć niepostrzeżenie i niegwałtownie, zawsze jednak nie pomału przyłożą się do nadania płodom wyobraźni owego stępla nie tak łatwo ścierającego się w steku pospolitości.

Ostatnich kilka lat przyniosło nam wcale nie złe przekłady Sofoklesowych trajedyj przez Kaszewskiego. — Tłumacz użył rymu, i w tém dowiódł, że szczerze myślał o wykonaniu artystycznego przekładu; lubo z drugiéj strony wiersz jego niema jeszcze téj gibkości, styl téj mocy i malowniczości, aby zupełnie wypowiadał myśl oryginału z właściwą mu precyzyą, a razem, żeby te zabytki oddawał z ową starożytną śniedzią nadającą świeżemu przekładowi pewną oryginalność, a co tylko potrafi poeta umiejący wcielić w siebie ducha jaki nieraz ukrywa się pod zmartwiałą formą lub zwietrzałem słowem...

Małeckiego *Elektra* ma wiele wartości pod względem filologicznym, zaleca się wiernością; aleź właśnie to zbytnie trzymanie się oryginału odjęło przekładowi jasność i wdzięk. —

Tłumacz nie szukał w toku polskich wyrażeń się szczęśliwego oddania myśli textu greckiego, ale szedł posłuszny za nim. — Obrany w przekładzie miarowy wiersz zdał mu się być łatwiejszym do ścisłego odwzorowania oryginału, a tymczasem podejrzana ta, a zawsze monotonna miarowość, popsuła potoczystość dykcyi, i ledwo, że nie zdefigurowała Sofokla.

Wszystko to są próby wielce zaszczytne i wielkiéj ceny, bo łamią te lody jakie nas dzielą od starożytnych, bo przygotowują język i formy zapomocą których zostaną kiedyś przyswojeni naszéj literaturze, niewątpię, lepiéj i prawdziwiéj niż ich przyswoić sobie umieli sami Niemcy, służący dotąd tłumaczom naszym za wskazówkę w sposobie, w jakim wykonywać się mają przekłady klassyków.

Najświeżéj ogłoszone tłumaczenie Eschylesowego *Agamemnona* przez Węclewskiego ma już wybitniejsze zalety, wiersz biały, nie bez szczęśliwych zwrotów i trafnych wyrażeń pozwala czytelnikowi dopatrzeć tych piękności, jakie się mieszczą w Eschylu; lubo nie powiem, żeby sposób oddania myśli i obrazów

nic już do życzenia nie pozostawiał; brakuje tych dotknięć mistrzowskich co jedném słowem, jednym zwrotem ożywiają cały obraz; a przecież w Orestei, a szczególniéj w Agamemnonie pełno jest miejsc porywających poezyą. Między innemi ten ustęp, którybym nazwał pierwszym pomysłem telegrafu, o ileż by urósł pod piórem poety:

Hafajstos z szczytów Idy światłym blaskiem cisnął
Więc gorzał stos po stosie, aż ognisty goniec,
tu dopadł. — Z Idy bowiem Hermesowéj skale
Na Lemos, z téj zaś wyspy w zgórzu Zeusa, Athos,
trzeciemu z rzędu, świecznik jasny przekazano.
Górując nad falami, jakby po wód grzbiecie
Pojeżdżał, żar sosnowéj główni się pomykał
rozkosznie, a strzelając złotem, niby słońce,
Makistu strażnikowi bystro w oczy spojrzał.
Bez zwłoki tenże baczny, snem bo nie zmorzony,
posłańca urząd wiernie pełni i zażega
płomienny stos, co w dali do Euripu nurtów
w Messapios stróżom głosi wynik boju trudów.
Na przemian ognionośną wieść ci pchnęli daléj,
pod kopcem suchym wrzosu iskrę rozdmuchawszy.
Obfita żagiew, pożar szerząc niesłabnący,
równinę wzdłuż Azopu przeskoczywszy, niby
Księżyca blask, dosięga Kiteronu epok,
I budzi straż następną do przesłania znaku.

Nie zaniechała przeto straż daleko widnéj
pochodni żar rozniecić silniej, niż poprzednie.
I przez Grogopis wody przerzucona światłość,
Wdzierając się na szczyty góry Egiplanktu,
Napędza do pospiechu straże nie leniwe.
Podniecty nie żałując wysadzają w górę
Niebawem, słup ognisty, że ponad zatoki
Sarrońskiéj, brzegiem wzniosłym przeniósł płomień silny.
A wystrzeliwszy wyżéj, Arachnejskich dobiegł
chochołów i strażnicy tuż w pobliżu miasta.
Następnie do Atrydów grodu tego zajrzał
od łuny Ideowéj nieodrodny promień.

Zawsze mniemam, że to miejsce jak tyle innych w téj trajedyi obfitującéj w pierwszego rzędu myśli, sytuacye obrazy, mogłoby lepiéj być oddane; twierdzę nawet, że rymowy przekład niczby nie uronił, a jeszcze ożywił i podniósł, bo to pewna, że rym tak niezbędny w naszéj poezyi, mimo wszelkich prób unikających go, nie jest zawadą w ręku mistrza, a zawsze dzielnym środkiem w artystycznie skończonym odwzorowaniu oryginału. Ci, co narzekają na te więzy krępujące swobodę i wierność tłumacza, czemuż nigdzie nas nie przekonali, aby przekłady prozą lub wierszem białym nie pozostawiały nic do życzenia? Jeżeli to ma być jednak konieczném ułatwie-

niem, niechże pociągnioną będzie granica między przekładami li gramatycznymi jakie służyć mogą uczącym się starożytnych języków, a przekładami mającemi przyczynić się do wzbogacenia naszéj literatury. Środek łączący te dwa zadania, a nieodpowiadający całkowicie żadnemu, musi wydawać niesmaczne płody.

Wracając do *Agamemnona* p. Węclewskiego, mam jeszcze dołożyć, że tłumacz w chórach, których Eschylesowe trajedyje mają najwięcéj i to olbrzymich lirycznych piękności, widział potrzebę uciec się do rymu, jakby téj saméj potrzeby nie było i w części czystodramatycznéj? Wszakże tak w wierszu jaki obrał, jak w rymach, które rozproszył, niepodobna dopatrzeć się ani muzykalnéj harmonii, bez któréj niema poezyi lirycznéj, ani jasnego sensu, bez którego znowu nic być nie powinno. — Prawda, że chóry Eschylesowe są ciemne, texty poszarpane tysiącami lat, przeskoki gwałtowne, metafory niespodziane, ale dla tego wypadało w przepolszczeniu nadać temu szyk zrozumialszy, bo myśli zawsze dopatrzeć można, a dopatrzywszy, oddać przystępniejszym tokiem. Wezmę tę strofę opisu-

jącą zamordowanie Ifigenii, śliczną, jak płaskorzeźba z naczołka jakiéj świątyni;

Więc gwałtu wędzidło zamienić jéj każe.
Szafranowa sukienka do ziemi spłynęła,
A ona wszystkie ofiarników twarze
Wzrokiem żebrzącym o litość objęła;
I piękna by posąg, wydobyć chce głos
Jakim niegdyś przy ucztach w komnatach rodzica
Słuchaczy czarowała, gdy rodzica los
Szczęsny nie rzadko wstydliwa dziewica,
I ochocze biesiady umysłem chętnym
Opiewała głosem ponętnym.

Obrałem najszczęśliwszą strofę, a nie mogę powiedzieć, żeby przekład odpowiadał duchowi tego obrazu z jakim go Eschylos napisał, a choć z tak słabem rymowaniem, nieoddał przecież tłumacz tego miejsca jak w oryginale, gdzie Ifigenia na ofiarników rzuca z oka strzały wzywające politowania *βέλει φιλοίκτω*. Ta właśnie plastyka stanowi jedną z głównych właściwości greckiéj poezyi, i tylko poezyą można jéj podołać.

Uwagi te płynące z żywéj przychylności dla tłumacza zmierzają do tego, aby go pobudzić do nadania najwyższéj doskonałości prze-

kładom, które zapewne dokona uzupełniając nam całą trylogię Orestei. Główna tu rzecz tak opanować myśl oryginału, aby w przepolszczeniu nie odstąpić od rzeczy i to samo powiedzieć, tylko w tonie nierażącym naszego ucha, ani naszego pojęcia.

Studia Greckie rozpoczęte tak szczęśliwie wzbogacą się jeszcze przekładem dzieł Platona, które wygotował p. Bronikowski z Poznańskiego. — Uprzejmy tłumacz pozwolił mi czytać jednę z Platońskich rozmów szczęśliwie bardzo przelaną na ojczysty język, co wróżyć mi pozwala, że z poznaniem tego ojca filozofii niejedna myśl poważniejsza i głębsza przyjmie się w umysłach, a raczéj niejedna stara prawda wyprze błąd nowy uchodzący za prawdę.

Do liczby przekładów mogących mieć znaczenie w naszéj literaturze kładę niedawno wydane *Hymny kościelne*, tłumaczone przez księdza Metropolitę Hołowińskiego. Hymny te opiewające chwałę Boga i Świętych Pańskich, złączone ściśle z liturgią kościoła Rzymskiego, nigdy nie przestaną rozlegać się w przybytkach poświęconych chwale bożéj, bo jak

mówi stare łacińskie przysłowie: *qui cantat bis orat.* Nietylko są one częścią integralną liturgii, ale będąc utworami wielkich ojców kościoła i świętych, przez to samo wzbudzają to poszanowanie jakie wierni mają dla świętego słowa, niemniéj uważane pod względem poetyckiéj, literackiéj ich wartości, przedstawiają się nam jako jedyny skarbiec liryki chrześciańskiéj.

Po wykwintnym artyzmie pogańskich poetów, zjawia się ta prosta pieśń, złożona wcale nie klasyczną łaciną, gwałcącą prozodyę, używająca nawet rymu, pieśń tak biedna, tak pogardzona w swojéj zewnętrznéj postaci, jak który z niewolników przywleczonych z nad Dunaju co nawet nie jest człowiekiem w oczach każdego z tych purpurowych poetów uwieńczonych różami co w kole biesiadników spitych Massykiem lub Falernem filozofują nad życiem, które im ucieka...

Biedna pieśń! plunąłby na nię autor listu do Pizonów, jak na niezgrabnego niewolnika, coby mu stłukł dzban etruski... biedna! ale treścią wyższa, jak wyższe niebo nad ziemią; ale podnosząca upadających pod cierpieniem,

ale rozszerzająca horyzonty życia po granice wieczności...

W chrześciańskiéj poezyi rzec można, nie było żadnego przejścia, bo co ten duch zaraz w początkach owiał, przybierało formę znikomą, łachman żebraczy, pod którym rosła myśl ofiary, uczucie nieskończoności, wiara w nieprzemienną prawdę. To już się stało cechą nieodłączną od poezyi chrześciańskiéj, nowożytnéj, która odzywając się do prostaczków, nie mogła być wykwintną, bogatą w ozdoby, nastrzępioną erudycyą. Ztąd i hymny kościelne możnaby nazwać rodzajem poezyi gminnéj, z tą różnicą, że się odzywały niewłaściwym każdemu narodowi językiem, ale językiem powszechnym, słowami kościoła. Prostota jest wybitnym ich znamieniem, ale prostota połączona z tą szczytnością, jakiéj użycza cel wielki opiewania chwały Bożéj; z téj przyczyny i przekład hymnów należy do niepospolitych trudności, bo walczyć trzeba z jednéj strony z przesadą i wymuszonością, a z drugiéj z zaniedbaniem trącającém o trywialność. X. Hołowiński szczęśliwie wyszedł w wielu hymnach z téj próby, lecz w ogóle

dał przekład więcéj kunsztowny niż tego rodzaju liryka znosi; przekład, który może zachwycić każdego wykształconego czytelnika, ale nie wiem czy potrafi te dawniejsze przekłady wyrugować, jakie się mieszczą w naszych śpiewnikach, przekłady proste jak kantyczki, źle rymowane, bez wdzięku stylu, ale jakoś odpowiedniejsze duchowi nabożeństwa.

Weźmy ten ambrozyański hymn: *Splendor paternae gloriae.* X. Hołowiński tak go tłumaczy:

O blasku ojcowskiéj chwały!
Przyjścia sądu błyskawico;
Wieczny dniu! tworzysz dzień biały,
Światła światło i krynico.

Istne słońce spuść twój promień,
Niech wiecznym blaskiem w nas pała;
I Ducha świętego płomień
Rozléj nam po zmysłach ciała.

Śpiewnik kościelny taki przekład nieznajomego autora podaje:

Jasności z ojca płynąca!
Z światła światło wydająca,

Dniu wszystkich dni, źródło lśniące,
Cały rok oświecające.
Wnijdź słońce z którego śliczny
Blask pochodzi ustawiczny.
Jasność swą Ducha świętego,
Racz wlać do serca naszego...

Te *zmysły ciała*, daleko zrozumialéj zastąpione są sercem, a wiersz: Światła światło i krynico, nietyle obrazowy co: *Źródło lśniące, Cały rok oświecające.*

Również w pierwszym wierszu, nieznajomy tłumacz w prostocie swojéj pokazał się prawdziwym malarzem, gdy powiedział:

Jasności z ojca płynąca
Z światła światło wydająca.

Niepodobna oddać wyobrażenia o osobie Boga Ojca, bardziéj do zmysłów przemawiającego. Dzisiejszy przekład kunsztowny, nic przecież nie maluje

O blasku ojcowskiéj chwały
Przyjścia Sądu błyskawico!...

Z porównania tych dwóch przekładów, widzimy jak w dawnym wieje pobożny duch i prostota, a w nowym więcéj sztuka i świa-

towa wykwintność przebija. Odnosi się to i do całego przekładu. Dlatego zdaniem mojém, umiejętną i delikatną ręką poprawiony text dawnego śpiewnika, zawszeby miał pewną wyższość.

XIII.

FAŁSZYWY POMNIK I ARCHEOLOGICZNE ZABAWKI.

Jednego dnia majowego — a maj w tym roku miał przeciw swemu zwyczajowi, kilkanaście dni dziwnie pięknych. Otóż jednego dnia majowego, zrobiłem małą wycieczkę w okolicę Krakowa, nieznaną mi dotąd, zapewne dlatego, że często przejeżdżałem koło niéj w wagonie kolei.

Przekonywam się coraz więcéj, że lot kolejowy największym jest nieprzyjacielem poznania kraju w jego drobnych, często wiele znaczących szczegółach, a to dlatego, że lenistwo nasze woli niekosztowny a powierzcho-

wny rzut oka na okolicę, mijającą jak senne zjawisko, niż pofatygowanie się na własnych nogach do miejsc godnych widzenia z blizka.

Z tego punktu wychodząc, mógłbym twierdzić o dzisiejszych wagonowych turystach, że taki, co obleciał całą Europę wagonem, mniéj zasługuje na tytuł wojażera, niż dawniéj ten, co z Mało- lub Wielkopolski dojechał z wszystkiemi popasami i noclegami nie daléj, jak do wód szląskich.

Ten kraj widział i ludzi — tamten wiezie ze sobą tylko karczmę, a mówiąc polityczniéj: hotel — bo towarzyszy zbiera sobie na stacyach, które są karczmami, i sam w takich karczmach wysiada. Poznaje więc tylko tłum różnorodny, ale nie poznaje ludzi na tle ich miejscowości.

Otóż od lat ośmiu jak jeżdżę koleją do Krzeszowic, zawsze migała mi przed oczyma zielona dolinka, zamknięta dwiema ścianami wzgórzów porosłych lasem — to był Zabierzów, o którym regularnie jaki Krakowianin dawnéj daty, znajdujący się w wagonie, zaraz rzecz wszczynał, opowiadając o skale z napisem, o miłości Kmity do Bonarównéj i o jego Werterycznéj śmierci.

Romantyczna lagenda i romantyczna doliną mogła zawrócić głowę każdemu i mnie niezawodnie zawróciłaby, gdybym na nieszczęście nie czytał był kilku powieści i romansów na tém tle osnutych.

Motyl najpiękniejszy, póki lata i póki go ciężką ręką nie złapiesz; kwiat najwonniejszy, póki na swojéj łodydze. To samo i z legendą: nie odrywaj jéj od skały, źródła, ruiny, bo zwietrzeje—jak również wymyśloną nie chciéj ozdabiać miejsc uroczych, jak robionym z papieru bukietem skronie prostéj wieśniaczki, lub madonę Rafaela.

Jednakowoż zawsze ciężył mi na sumieniu wyrzut, dlaczego znając mniéj więcéj wszystkie piękności okolic Krakowa, nie zebrałem się dotąd na zwiedzenie Zabierzowskiéj doliny.

Otóż jednego dnia majowego puściłem się na tę malowniczą pielgrzymkę, ale nie koleją żelazną, tylko zwykłą drogą, którą ludzie chodzą: przez pola, wzgórki, łąki, laski, parowy, aby używać wrażeń tysiąca najrozmaitszych widoków, zmieniających się za każdym zakrętem ścieżki, lub załamkiem wzgórza. Szedłem od strony Bielan, i mogę powiedzieć,

że nieraz zdumiony stawałem. Kiedy znalazłszy się na jakim grzbiecie pagórka, ogarniać mógłem niescigniony okiem pejzaż noszący na sobie podwójny charakter; po jednéj bowiem stronie roztaczał się przedemną wspaniały widok na okolicę najeżoną czterema pasami gór, topniejącymi w błękitno-szarawéj mgle, tak, że ostatnie pasmo tatrzańskie potrząśnione śniegiem, z trudnością dawało się od obłoków odróżnić— wszystko zaś przybierało w pewnych porach dnia, łudzące podobieństwo z falami mocno rozhukanego morza. Po drugiéj znowu stronie na spływających wschodziasto wzgórzach, kończących się nadwiślaną płaszczyzną, śród mnóstwa ugajonych wiosek i zielonych smugów, czerwieni się długa pręga, powycinana w igły wież i kopuł — to Kraków siedzący sobie na zbożowym łanie. — O ile tu znać gospodarną rękę ludzką pracującą na wdzięcznéj roli — o tyle tam, ku górom, widać tylko fantazyującą naturę dziką i ostrą jak wiatr, który ztamtąd pociąga....

Rzecz godna zastanowienia, że dopiero romantyzm nowszych czasów rozlubował się w tych górach, kiedy dawniéj w klassycznych wiekach rzeczypospolitéj nikt się nie intere-

sował niemi. Dzisiejszy poeta lub powieściarz dałby wiele za dobrą legendę o jakim karpackim opryszku — dawniejszy, płynąc zbożem ładowną komięgą po Wiśle nie raczył nawet spojrzeniem pozdrowić malowniczych wierzchołków.

Pociąg ku obrazowaniu natury, ku pejzażowi, widocznie dziś przemaga; jest to jakby nowy zmysł, który nam przybył. Czyżby dlatego, że dawniéj szukano praw mądrości i wszechmocy bożéj w społeczeństwie ludzkiém -- a dziś szukamy Boga w naturze i jéj pięknościach, jakby z ludźmi nie było już warto przestawać, ani zastanawiać się nad nimi?

Może to przywidzenie, lecz tak mi się wydaje, że w tym symptomacie przebija się więcéj mizantropii, niż przypuszczamy, niż wolno przypuszczać pod szumnemi godłami filantropii i ludzkości.

— Wielkie pozory często okrywają wielką nicość.

Ależ jak widzę, nie doprowadziłbym i siebie i czytelników do skały Zabierzowskiéj, gdybym nad wszystkiém co mi się przedstawia, miał robić podobne wnioski.

Idźmy więc daléj — już niedaleko. Drożyna pod górę krzakami i lasem obrosła prowadzi mię do celu — spuszczam się w gęsty las, za którym odsłania się równa i zielona jak bilard łąka mająca takie same lesiste góry po drugiéj stronie.

Obejrzałem się dokoła po tym zachwycającym obrazie, po tym uroczym zakątku, jakby umyślnie schowanym przed ciekawością ludzką — ale skały, owéj Kmitowskiéj skały dopatrzyć nie mogłem.

Na paręset kroków odemnie spostrzegłem grupę chłopaków wiejskich, leżących na przykopie ciągnącym się wzdłuż wielkiego rowu, przerzynającego poprzek dolinę. Dobiegłszy do nich, zapytałem: gdzie tu jest skała Kmity?

— Ot tam! — ze dwudziestu żołędzi!

Spojrzałem za wyciągniętą ręką chłopaka, i oko moje zatrzymało się na wysokiéj jak wieża skale, wyrastającéj u podnoża lesistéj góry, ale zarazem zaintrygowane drugą połową odpowiedzi, zwróciło się na blizką grupę parobków, którzy leżąc na brzuchach i paląc cygara robili poobiednią partyę maryasza.

— A przejdzie tędy do skały? zapytałem znowu.

— Nie przejdzie, bo rzeka—skupuję pamfila.

Żaden z nich nie raczył spojrzeć na mnie, tak byli grą zajęci! uważałem nawet, że ich gniewało moje natręctwo, przeto o wdaniu się w jaką dłuższą rozmowę niepodobna było myśleć. Puściłem się więc przez łąkę wprost ku skale, rozmyślając o błogich darach cywilizacyi, i o zielonych stolikach zastąpionych tak szczęśliwie przez zieloną murawę.

— Niebawem stanąłem u celu wycieczki.

— Kilkunastosążniowa skała, stercząca prostopadle do poziomu łąki, a raczéj do zwierciadła Rudawy, płynącéj u jéj stóp, jest prawdziwą osobliwością, bo w pasmie wzgórzów, do których przypiera, nie widać podobnych skał; zato po stronie gdzie stałem, odpowiedne wzgórze jeży się łomami pogruchotanych szarych piaskowców, wprawdzie mniéj malowniczych, lecz zawsze naprowadzających na domysł, że przed wieki tworzyły one jakby mur olbrzymi, który woda Rudawy podmyła, i przerwała, i ciągle unosząc po kawałku, zrobiła sobie wygodne przejście.

W rzeczy saméj skała, dziś przechrzczona mianem Kmity, przedstawia jakby jeden słup rozwalonéj bramy. Koryto brudnéj Rudawy, wylewającéj czasem na całą szerokość łąki, trzyma się resztek tych ruin, datujących zapewne od potopu.

Fizyonomia tego miejsca, krom bardzo malowniczego uroku, ma jeszcze coś niezwykłego, co rozbudza naszą fantazyą. — Cisza zamkniętéj doliny, te wzgórza lasem porosłe, ta rzeka i nad nią stercząca skała, są gotową dekoracyą do bardzo dramatycznéj sceny. Wyobraźmy sobie rozbity w dolinie namiot podróżującéj księżniczki, która albo się posila podróżnym obiadkiem, albo téż szuka ochłody w nurtach rudéj rzeczułki, albo śpi na trawie; wyobraźmy ją sobie bardzo piękną, bardzo bogatą i postawmy na szczycie skały jakiego karpackiego Fra-Diavolo, pożerającego łakomym wzrokiem jéj obiad, jéj klejnoty i jéj wdzięki.... Jakżebyśmy drżeli o los nieszczęśliwéj księżniczki.... Lecz cyt! Karpacki Fra-Diavolo śpiewa długą aryą, z któréj dowiadujemy się, (bo śpiewa wyraźnie), że jest przebranym kochankiem księżniczki, i że chce ją porwać i uprowadzić na swój zamek.... Spada

więc jak orzeł na łup swój.... porywa, upro wadza, jest goniony, nie daje się dogonić i t. d.

Widzimy jak wyobraźnia mogłaby nieskończone dziergać przygody na tle pięknego widoku natury; miejsca bowiem urocze rozbudzają fantazyą poetyczną, wprawiają w pewien rodzaj twórczego natchnienia. Że to jest własnością naturalną, najlepiéj dowodzą wszystkie legendy i powieści gminne, przywiązane zazwyczaj do ruin zamków, do skał, mostów napowietrznych, pieczar, przepaści i t. p.

Rozróżnić tu jednak wypada wałęsającą się fantazyę, kaprysy wyobraźni dzisiejszych i dawniejszych romansistów, od téj pozytywności, jaka znamionuje wszelkie utwory gminne, zawsze bowiem i najdziwaczniejsza legenda lub podanie ludowe, osnute bywa bądź na prawdziwém zdarzeniu, bądź na wyobrażeniach mających styczność z ułamkami jakiéj dawnéj religii, pomieszanéj z pojęciami chrześciańskiemi. Nic więc dziwnego, że uczeni badacze przeszłości narodów, nie pomijali podobnych legend i tradycyj, a chociaż te nie dostarczały im faktów, mogących wytrzymać historyczną krytykę, niemniéj jednak znachodzili w nich ślady najdawniejszych wyobra-

żeń religijnych i społeczeńskich. — Legenda przeto stała się wielce szanownym materyałem, równie dla historyka jak dla poety, który widząc w niéj złożone stare ziarno samodzielnego ducha, przenosił je na pole dzisiejszéj uprawy, i wyprowadzał kwiat swojski, wypielęgnowany wszystkiemi środkami sztuki.

Cała najświeższa literatura nasza obmyła się w tém nowém źródle, surowy materyał został użyty przez mistrzów sztuki; a to zetknięcie się z samorodném natchnieniem i pojęciami pierwotnemi, naprowadziło niejako na drogi właściwe równie pod względem formy jak ducha.— Największa przeto wartość tych źródeł, tego surowego materyału w tém się mieści, jeżeli do tych zabytków przywiążem tę samą wiarę, jaką w nich gmin pokłada, który dla próżnéj zabawki, czyli dla kaprysu niema zwyczaju tworzyć. — Poeta przynajmniéj powinien mieć tę prostotę wiary i to przejęcie się ilekroć dotyka podobnego przedmiotu i chce go nam podać za utwór wyobraźni ludowéj, upiękniony tylko środkami sztuki nowoczesnéj.—Uważam zaś za cel zupełnie chybiony, wszelkie usiłowania sztuki w podrabianiu takich źródeł i surowych materyałów.

Naprzód, że surowy a fałszywy materyał nie bogaci literatury, tak jak podrobiony dyplom lub kronika nie bogaci historyi; podrugie, że byłaby to zabawka niekosztująca wielkiego wysilenia, aby na podobieństwo mnóstwa autentycznych legend, podań i powieści, układać nowe i przypinać je do pewnych miejsc, które jak nam się zdaje, powinnyby mieć swoje legendy, a jednak ich nie mają. Zapewne urocza to rzecz, kiedy jaka ruina, jaka stroma skała lub pieczara, opowiedzieć mogą o olbrzymach lub walecznym rycerzu, o nieszczęśliwym kochanku zabijającym się z miłości, lub o duchach strzegących zaklętego skarbu.—Wprawdzie w Skandynawii, w Niemczech, Szkocyi, Bretanii za każdym krokiem napotyka się na tradycye tego rodzaju — ale nie idzie za tém, aby lud naszéj ziemi miał taką samą zdolność czy potrzebę ubarwiać kwiatami wyobraźni każdy gruz zamkowy, każdą skałę, źródełko, figurę, nie dlatego, żeby bogactwo jego fantazyi było mniejsze niż Skandynawów, Bretonów, Szkotów, lecz że najdawniejszy świat jego mityczny o wiele był prostszy, zatém nietyle skomplikowany, co u innych ludów więcéj posunionych w przedchrze-

ściańskiéj cywilizacyi; co się zaś tyczy udziału w życiu dziejowém, wiadomo nam bardzo dobrze, jak mało obchodziło go to, co się działo w sferze panującéj klassy. Legend przeto i podań, podobnych do legend i podań północy i zachodu, daleko mniéj mamy, a i te co są zebrane, w bardzo małéj tylko części wyszły z ust gminu.

Pozostają więc podania i legendy narodowe—skarb bardzo drogi, bo ściśle połączony z historyą tak Rzeczypospolitéj jak pojedynczych domów. Część ich przechowała się w kronikach, część w tradycyi rodzin, część w ustach ogółu, lub w pomnikach. Wszelkie fałszowanie takich podań jest nieusprawiedliwioną lekkomyślnością, bo odejmuje wiarę w te co są.

Szereg tych uwag przelatywał mi po myśli przez cały czas moich odwiedzin u skały Kmity, która jest sobie dokumentem geognostycznym, ale legendowo - historycznym nie jest bynajmniéj.

Ktoś, co się zapewnie naczytał lub nasłuchał legend zamków i skał nadreńskich, miał znaleźć urywane słowa wyryte na głazie, słowa krótkie ale wymowne: *Sroga miłości mojéj*

moc dręczy duszę — Wiara — Bóg — Miłość, a poniżéj nazwiska: *Kmity i Bonarówny*, a nawet i rok 1515. — Znowu na mniejszéj obok skale miały się znaleźć także urywane wyrazy, czy końcówki, z których złożono wiersz taki z ortografią niby szesnastego wieku:

Kthory z was przyjdzie thu
Mając męztwo w owym dniu
Tho i radost może mieć —
Zasie kthóry przyjdzie thu
Ma strapienie w owym dniu
Tho i spokój może mieć.

Dzisiaj to wszystko wyryte jest ogromnemi zaczernionemi literami na ścianie pionowéj skały; a nawet żeby już żadnego świadectwa nie brakowało, dołożono: że z téj skały rzucił się w Rudawę Stanisław Kmita, który potykał się mężnie z Tatarami pod Wiśniowcem w roku 1512. Przyczyną jego śmierci miała być nieszczęśliwa miłość do Bonarówny z Balic, a nieszczęśliwa dlatego, iż dumni Kmitowie nie chcieli mu pozwolić żenić się z mieszczanką.

Nie mam tu zamiaru historycznie zbijać téj bajki ukleconéj z powierzchownych skazówek, dość tylko zrobić uważnym na ducha jéj, aby odgadnąć, w jakim się czasie zrodziła.

Kmita zostaje samobójcą, bo mu nie dają żenić się z mieszczanką krakowską!—Zapomniał kompozytor téj legendy, że ród Bonarów łączył się z najpierwszymi domami, między innemi z domem Pilawitów Kamienieckich. — Ale już mniejsza o te widoczne brednie, bo tu się nasuwa najprostsze archeologiczne pytanie: gdzież ślad tych dawnych napisów? gdzie aby jedna litera?

Nadaremnie szukać po wszystkich bokach skały — najbujniejsza chyba wyobraźnia (tak w archeologii niepotrzebna) mogłaby w odwiecznych wyżłobieniach, datujących od pierwszéj formacyi tych skał, znaleźć jakie podobieństwo, do którego z alfabetów runicznych lub gwoździowych, ale nigdy do charakterów szesnąstego wieku, choćby rytych drżącą ręką idącego na śmierć kochanka.—Ktoś sobie zmyślił to wszystko — i podrukował przed laty w Pszczółce, w Przyjacielu Ludu, w Opisie Krakowa, w Pamiątce z Krakowa i t. d. Dostało się to nawet i do zbioru Legend Krakowskich, drukuwanych podobnoć w Gazecie Warszawskiéj przez p. Łepkowskiego, który zapewne w tym razie zamieniwszy lupę archéologiczną na dźwięczną citharę, przejął

się wiarą ludu i uwierzył — w bajkę świeżéj fabryki.

Najgorzéj jednak zgrzeszył ktoś, co pozwolił sobie sfabrykować monument. — Drukowanym rzeczom można dziś wierzyć lub nie wierzyć, ale ryć na samorodnym głazie napisy mające trwać wieki, to już więcéj niż *licentia poetica*. Może kto powié, że tu nie idzie o żaden wielki fakt historyczny, tylko o nieszczęśliwą miłość dwojga kochanków. — Przyznaję; jednak nie widzę powodu dawać téj sfałszowanéj parze to samo nieledwo znaczenie, co sławnym po świecie pamiątkom Heloizy i Abelarda, Julii i Romea.

Wielkie to kłamstwo wielkiemi wydłutowane literami przez jakiegoś miłośnika fałszywych pamiątek, odejmuje cały urok téj uroczéj Zabierzowskiéj dolinie, która była bardzo piękną, bardzo sielską, póki nie miała pretensyi zrobić się ostatnią kartką werterycznego romansu.

Zdaniem mojém większą wyświadczyłby przysługę jaki miłośnik prawdy, coby kazał zdrapać dłutem ten napis, niż ów, co go wyryć kazał. Dolina nie straciłaby nic na tém, owszem zyskałaby, zapraszając do miłych rozmy-

ślań, gdy teraz bałamucąc niedorzeczną legendą, nasuwa fałszywe wyobrażenia o usposobieniu moralném naszych pradziadów, którzy mogli miłość czuć równie namiętną, jak w najromantyczniejszych peryodach naszéj literatury, ale inaczéj wychodzili z niepodobieństw i trudności połączenia się, jak przez samobójstwo. — Kroniki domowe zachowały nam jeden taki wypadek owego Żółkiewskiego, co zakochany w Daniłowiczównie udał, że się chciał przebić sztyletem w oczach panny, aby wzbudzić jéj afekt ku sobie, tymczasem zawiodła go własna ręka, i uderzenie było silniejsze niż zamierzył. Konając wyrzekł: „Nie chciałem tak.“

W czasach religijniejszych samobójstwa były bardzo rzadkie, a najrzadsze może samobójstwa z miłości.

W epoce Russa lub Getego, Rance byłby się niezawodnie rzucił ze skały, lub zastrzelił, a choć to już był wiek XVII, nie odważył się na to i został trapistą. Cóż dopiero dopuszczać podobny wypadek w początkach panowania Zygmunta I, kiedy jeszcze niesłychać było o tym wpływie włoskich obyczajów, którym zazwyczaj tyle złego u nas przypisują,

ani o Werterze, który wprowadził w modę samobójstwa z miłości.

Kamienny ten apokryf nic a nic nie przyczynia interesu, ani wdzięku cudnym okolicom Krakowa, ale że uwłacza prawdzie historycznéj, a nawet poetycznéj, to więcéj niż pewna; i przyznam się, nie zrobił na mnie innego wrażenia jak te, które ma każdy miłośnik starożytności, wchodzący do sklepu brokantera, sprzedającego podrabiane miecze, zbroje, szyby malowane, bożki egipskie, talerze Bernarda Palissy, Etruski i t. p. graty dla nasycenia próżności pieniężnéj, lecz w znawcy wstręt tylko budzące.

Próżność archeologiczna zaczyna, jak z tego widzę, rozwijać się zaraz w początkach téj świeżéj u nas nauki—co dowodzi tylko to, że archeologia traktowana jest dotąd, jak zabawka umysłów, nieumiejących zająć się czém lepszém.

Ten i ów rad wielce, że go tytułują archeologiem, że zasiada w komissyach wyznaczonych *ad hoc*, wierzy nakoniec, że jest głębokim badaczem i znawcą starożytności, kiedy nie jest niczém więcéj, tylko prostym kollekcyonistą—bez kollekcyi.

Archeologia oprócz tego, będąc jak wiemy, ostateczném dopełnieniem wiadomości historycznych, każe się koniecznie domyślać, że ten, co się jéj poświęca, umie historyę na palcach; — tymczasem wielka liczba naszych archeologów wtenczas dopiero zaczyna się uczyć historyi, gdy im takowa potrzebną jest do objaśnienia jakiego zabytku. Co za rezultat ztąd wynika? łatwo się domyśleć. Zamiast wyjaśnienia, następuje zagmatwanie; gdyż taki, co szuka wyjaśnienia zabytku po historyach, których nie zna, zazwyczaj gromadzi wszystko, co mu pod rękę padnie, i chrzci mianem dowodów, chociaż takowe nie obstają za dowody, po jakich bystra głowa Zadyga odgadła nieznajomą osobę z suczką.

Od czasu, jak wyraz *Archeologia* zaczął się plątać po pismach czasowych—a będzie temu lat dobry dziesiątek, ośmieliłbym się zapytać: gdzie jest choć jedno odkrycie, choć jeden pomnik odnoszący się do starożytności słowiańskiéj, wyświecony i wyrozumowany gruntownie? Do jakiego ludu należą te rozkopywane mogiły? te urny, te narzędzia i bronie kamienne? Domysłów śmiałych niebrak, bo te niewiele kosztują — ale proszę o dowody,

dowody namacalne i zgodne z tém, co zapisane w dziejach. Powiadają, że nie mamy muzeum, gdzieby na zgromadzonych wykopaliskach można było robić porównawcze studya, zapewne, ale gdzieindziéj są muzea i także wykopaliska; potrzebaż je znać w całéj rozciągłości, żeby o swoich można było coś sądzić.

To samo stosuje się i do zabytków z naszych wieków średnich. Kiedy się co znajdzie podobnego, będą domysły najsprzeczniejsze i najśmieszniejsze; jedynie z téj przyczyny, że archeologowie *narodowi*, nie pofatygowali się jeszcze do poznania starożytności średniowiecznych w całym chrześciańskim świecie. Nietrudno téż słyszeć takie kwalifikacye: że każdy obraz malowany na złotém tle, należy tém samém do szkoły bizantyńskiéj, lub lada okno niezasklepione w ostrołuk, odesłane bywa do architektury romańskiéj.

Od poczynającéj umiejętności zapewne nie można wiele wymagać, gdyby tą umiejętnością nie była archeologia, która niczém inném nie jest, tylko prostym wynikiem studyów historycznych. Lelewel nigdy się nie kwalifikował archeologiem, a jest nim w całém słowa znaczeniu; podobnie jak są archeologami:

Maciejowski, Gołębiowski, Sobieszczański, choć tylko spisywali i klassyfikowali zabytki odnoszące się do przeszłości narodu.

Spytaj lada porządniejszego brokantera w Niemczech lub Holandyi o jaki przedmiot starożytny, a wnet ci oznaczy jego wiek, jego pochodzenie i cel użycia. U nas nie spotykamy się z tą biegłością, mianowicie u patentowanych archeologów; chociaż mam to przekonanie, że mieliśmy i mamy znawców, którzy znali się i znają na zabytkach starożytnych, ale o nich nie piszą; zostawując ten trud tym, którzy się nie znają wcale, a pochopni są do tworzenia systematów i domysłów.

Nicby nie szkodziła ta zabawka archeologiczna, gdyby nie pociągała za sobą téj niestosowności, iż jaki taki, co zebrał kilka starych garnków, lub oglądał parę karabel i ostróg, nie uważał się już za dzielnego pracownika w archeologii, i zamiast pracować na seryo w dziejach, nie poprzestawał na czczym tytule.

Narody daleko posunięte w kulturze, dopiero wtedy zaprzątają się archeologią, gdy kraj swój dobrze poznają, a nadewszystko dokonają co najważniejszych robót na polu historyi; wreszcie nauka ta aż wtedy zaczyna

badaczów obchodzić, kiedy muzea ich zostaną napełnione najrozmaitszemi przedmiotami starożytności; albowiem, żeby mieć wyobrażenie rzeczy, trzeba ją widzieć zbliska, lub w rysunku, żeby ocenić, trzeba porównywać; a porównywać nie można, kiedy się niewiele widziało i czytało.

XIV.

IMPROWIZOWANA LITERATURA I PODRÓŻE HISTORYCZNE J. U. NIEMCEWICZA.

Wielka część piszących dzisiaj ubiega się przedewszystkiem o oklask pewnéj opinii, dogadza jéj nie oświecając, unika prawdy, żeby nie niepokoić sumień, rozdmuchuje pospolite namiętności, żeby wywołać wiatr pomyślny, i zyskać choćby krótkie powodzenie.

Podobni oni są w tém do tych aktorów, co wiedząc o złym smaku publiczności, źle grają, aby na oklask zarobić; niektórzy z nich mogliby nawet dobrze grać, gdyby smak publiczności był dobry.

Wyjątkiem są ci, co grają najlepiéj jak mogą, nie oglądając się na galeryę.— Powyższe te porównania odnoszę szczególniéj do płodów piśmiennictwa podawanych na gorąco, czyli do całéj improwizowanéj literatury, która przekroczywszy granice przepisane sobie prawem własnéj natury, zapanowała udzielnie.

Póki improwizacya mieściła się w ramach dziennika, nikt na to nie sarkał. Bieżąca rzecz wymaga nagłości pióra, śmiałych skoków, niekiedy namiętnych uderzeń, bo jéj zadaniem przygotowywać drogi do nowych widoków, zwalczać dawne błędy lub nadużycia, prostować sądy, słowem, tworzyć lub niszczyć.

Cudowne to narzędzie, ale tylko narzędzie, którego los mniéj świetny, lubo posłannictwo zaszczytne. — Taka dziennikarska improwizowana literatura buduje lub niszczy, ale sama znika bez śladu. Gdyby jaki naród nie miał nic więcéj do pokazania, tylko podobne płody, okolicznościami bieżącemi wywołane, a poświęcone chwili; właściwy skarb literatury byłby nadzwyczaj ubogi, a raczéj tak podejrzanéj zamożności, jak te banki co wielekroć więcéj wypuszczają papierów, niż mają zakładowego kapitału. Dlatego téż tak bywało, że

obok hałaśliwego, chwilowego piśmiennictwa, obok téj improwizowanéj *mówionéj* literatury, była inna, niemieszająca się bezpośrednio w ten gwar, spokojna, rozmyślna, głęboka, że tak powiem *pisana* literatura, istny kapitał zakładowy, na którego rachunek i w imię zasobów, puszczano tak hojnie papiery i zdawkową monetę.

Widzieliśmy to u nas, jak między innemi w ścieraniu się romantyzmu z klassycyzmem, kiedy pisma czasowe wrzały teoryami nowych estetyk i dawnych poetyk, pojawiały się obok tych sejmikowych gwarów, dzieła to jednéj to drugiéj chorągwi, ale dzieła pisane na przeżycie.

Byłto naturalny bieg rzeczy, i nikt na to nie nastawał. Dziennikarstwo zyskiwało tylko na tém, bo miało z czego się zasilać. Język i styl wyrobiony w pomyślanych na cichości dziełach, moc wyrażeń, sztuka obrazowania, zwroty i figury, zgoła wszystkie indywidualnych talentów zdobycze, stawały się pomału własnością pochopnéj do pióra rzeszy, która odrazu przychodziła do gotowego, z tą nie wszystkim dostrzeżoną różnicą, że przynosiła ze sobą przymioty rozwodniające, czyli zro-

zumialéj: to co było energiczne, ściśnięte i zbite, roztwarzała wodą własnéj nicości; co było jednego rzutu zaokrągleniem, rozdrabiała, lub w nieforemną składała bryłę. Dzisiaj możnaby w tém widzieć symptom pewnego opadnięcia sił twórczych, brak intuicyi i pracy wewnętrznéj — bo to prawda, że większa część obecnie piszących przeżuwa jeszcze te idee, jakie rzuciła młodość pełna poetycznego zapału, pełna rojeń i utopii o losach ludzkości, ale razem pełna niedoświadczenia i nieznajomości rzeczywistego świata, a nadewszystko tych prawd, które dlatego że mają formę, byt i powagę uświęconą błogosławieństwem wieków, raziły jéj poetyczną pychę i niezregulowaną fantazyę. Taka niekarność w pierwszych chwilach romantyczno - narodowego ruchu, kiedy wszystko tchnęło młodzieńczą świeżością i wonią, daleko mniéj była rażącą i szkodliwą, niż dziś, kiedy tyle mgieł poszło na dół, a tyle odkryło się blizkich ugorów i ruin nakazujących uprawiać i dźwigać niejedno, co odpoczywało w zapomnieniu, lub zdeptane było nierozumnie.

Improwizacya na pewne temata na nic się tu nie przyda, bądź ją się poda w formie ro-

mansu, czy poematu, czy dramatu, może bawić, rozrywać w chwili bezczynnéj nudy i czczości, ale pożywnym pokarmem nie jest bynajmniéj.

Nie chciałbym, żeby czytelnik posądzał mię o chęć potępienia wszystkich utworów poetycznéj fantazyi i uczucia, bo znam cały ich urok i rozkosz jaką przynoszą, jeżeli są takie, jakiemi być powinny.

Na nieszczęście, które sobie można tłumaczyć niepomyślném położeniem dziennikarstwa, gdzie rozbiory kwestyj bieżących i wszystkich pytań zblizka obchodzących społeczeństwo, nie znajdują przystępu, a może piór ukwalifikowanych, literatura przemożną ręką opanowała kolumny dzienników. Romans i powieść przyjęły tam na siebie powinność nietylko bawić, ale częstokroć dotykać tych pytań, jakie społeczność rzucała sobie co chwila. Tym sposobem robiła się polityka romansowa, a romans politycznym; co więcéj, sąd nawet krytyczny ulegał tym widokom, bo najczęściéj i najlepsze płody szły na potępienie, jeżeli ten, co je pisał, miał nieszczęście nie zyskać afektu redaktorów; jak znowu nie żałowano pochwał najmniejszym elukubra-

cyom, tam gdzie zachodziła kamraderya i afekt. Cała ta jednak robota prowadzi się krytym sztychem, albowiem nikt jeszcze nie dopatrzył ściśle określonéj opinii tych dzienników; są tam bowiem więcéj żołądkowe humory, kaprysy, osobiste przywidzenia, drobne rywalizacye, wzajemne przekomarzania się, a nie jakaś na ścisłém rozumowaniu, lub na sile przekonań oparta opinia.

Nie można jednak powiedzieć, żeby niektóre pisma nie wstępowały na właściwszą drogę i nie brały swego zadania sumiennie i na seryo. Wszelako trudny to krok, zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z publicznością łaknącą zabawki a nie światła, przestawającą na dorywczych namiętnych sądach, bałamuconą krzyżującemi się opiniami, które są bez żadnéj podstawy. Grzech dziennikarstwa, które nie myślało o tém nigdy, jak na pewnych uświęconych zasadach wykształcić sobie publiczność czytającą, stał się dziś zbyt bijącym w oczy, żeby go dostrzedz nie można, żeby nareszcie walka w naprawieniu dokonanego już złego, nie była trudną.

Szczególniéj literatura w ścisłém znaczeniu doznała przez dzienniki niemałego uszczerbku,

przez to, że miała zastąpić te braki, jakie się uczuwać dawały w części nieliterackiéj. Romans i powieść zajęły tam wszechwładne miejsce, dostarczając dzień w dzień pokarmu, który ani tuczył, ani uczył, bo nowych, głębszych natchnień i studyów nie przybywało, a potrzeba cisnęła codzień napełniać kolumny. Sztuka więc poważna, wyższa sztuka nie mogła wyżyć na skromnym chlebie improwizacyi, która brała z gotowego, obracając się ciągle w kółku jednych i tych samych idei i figur; bo ażeby wystarczyć na potrzebę dziennika, nie było czasu do przetrawienia i wypracowania. Co gorsza, prawdziwe nawet talenta wyczerpywały się przedwcześnie tém przerabianiem i rozwodnianiem pierwszych, niekiedy szczczęśliwych prac swego pióra. Rozrzutność sieje ale nie zbiera. Utwory, krórych przeznaczeniem żyć w przyszłości, wyzuły się dobrowolnie z tego przywileju, i poprzestały na dzienném zajęciu; a chociaż późniéj wychodziły w osobnych odbiciach, tworzących nieposiekaną całość, mimo tego nosiły w sobie zaród śmierci, mający źródło w improwizacyi pospiesznéj a przewlekłéj. Starożytna mitologia wyobraża czas w postaci

starca uzbrojonego kosą,—symbol ten dobrze zastosować można do płodów improwizowanych: starzec bowiem wszystko niemiłosiernie kosi co tylko na świat przychodzi przedwcześnie i bez niego

W kompozycyi dzieł sztuki, improwizacya może tylko być szczęśliwym przypadkiem, nigdy regułą. Jeżeli natchnienie zapuka do drzwi autora, i usiądzie obok niego, niech sobie improwizuje, niech słowa cisną się pod pióro, niech się wyprzedzają uskrzydlone myśli, a energia słowa przepojonego uczuciem pali papier! Któż temu nie przyklaśnie, kto błogiéj nie pozazdrości chwili?! Sąto jak wiemy najszczęśliwsze, choć rzadkie momenta, sztuka podnosi się, porywa poetę, który uczuwa w sobie nieznaną siłę i udziela jéj czytelnikowi; entuzyazm jego serca przelewa się prądem elektrycznym w moję duszę. Ztémwszystkiém gdzież ów uprzywilejowany człowiek, któryby miewał takie natchnienie na każde zawołanie, i nie potrzebował tylko zadzwonić, aby takowe spływało do jego pracowni? — O jeżeli jest gdzie ów wybraniec — dajcie go nam, niech sobie improwizuje bez końca i miary, a pewnie nigdy nie będziem utyski-

wać, że nas zarzuca swemi płodami, lub że pisze przyśpieszoną prędkością. Gdy jednak jeszcze się nie znalazł tak szczęśliwy geniusz, a nieznane nam jest pióro, któreby latając od rana do nocy sypało same klejnoty — przeto zawsze uważam owego mitologicznego staruszka, za niezbędnego pomocnika w każdym płodzie, jeżeli nie ma chęci liczyć się do poronionych. Wprawdzie jednemu praca tworzenia idzie szybciéj, drugiemu tępiéj; ale czy w jednym czy w drugim przypadku, który jest dla czytelnika obojętnym, pozostaje prawo wymagać po piszącym, ażeby dzieło swoje doprowadził do téj doskonałości, na jaką może się zdobyć jego talent. Przeciwnie, jedyny sposób, ażeby nigdy téj doskonałości nie osiągnąć, jest ciągle improwizować spore tomy romansów, powieści, podróży i poematów, w miarę jak bezdenna czeluść dziennika dopomina się o swoję strawę, w miarę, jak natarczywy nakładca ofiaruje hojną zapłatę. Gość niebieski nietylko nie daje się zatrzymać tak długo jak pióro bieży, ale nigdy podobnoś się nie zbliża do stolika, gdzie się odbywa ta pospieszna fabrykacya na zimno, z pomocą patronów w kreśleniu charakterów

a raczéj figur, i z pomocą kombinacyj, które dostarczają kilkanaście kategoryj głównych z małemi odmianami; wszystko zaś zaprawia się ostrym sosem ironii przeciw urządzeniu społeczeńskiemu, i kilkoma naciągnionemi efektowemi sytuacyami, aby podrażnić ciekawość czytającego.

Że to nie żadna przesada, odwołuję się do pamięci czytelników, aby raczyli powiedzieć, ile to jest takich publikacyj w tym rodzaju, coby zostawiły w umyśle jaki ślad trwalszy, coby wprowadziły cię w nowy świat myśli i uczuć, coby zaszczepiły w wyobraźni jaki wzniosły ideał, któryby się unosił nad powszednią rzeczywistością i rozświecał ciemne i smutne drogi żywota?

Nie wątpię bynajmniéj, aby pisarze nasi wyższego polotu, nie byli w stanie zdobyć się na coś podobnego, ale nie zdobędą się dopóki nie zrzucą przekonania, że pospieszna produkcya, co to niewyschnięta jeszcze już idzie pod prassę, prawie zawsze niema przyszłości; że to, co chwilowa wywołała potrzeba, mija z nią razem.

Przeniesienie się literatury w pisma codzienne, ma to konieczne następstwo, że ta-

kowa staje się improwizowaną, a stając się taką, musi spekulować tylko, żeby bez trudu zajmować niezatrudnionych, żeby fantazyę ich zaprzątać, nie tykając umysłu i serca; bo aby opanować te dwie władze, potrzeba spotęgować siłę umysłu i serca w samym sobie, co naturalnie kosztowałoby zbyt wiele i nauki i krwie własnéj.

Sumienność tak niezbędna w dziełach sztuki, wychodzi coraz więcéj, ze swoich karbów i zamienia się w zręczność, jest to nowa faza nierokująca dla naszéj literatury wielkiéj świetności; a lubośmy jeszcze nie doszli, do czego dość żwawo dążymy, jednakowoż spokojny dostrzegacz może już wskazać wyraźne symptomata téj nowéj choroby. Że nową jest w literaturze polskiéj, o tém niema najmniejszéj wątpliwości; bo za jakichże to czasów drukowano tyle bez żadnego celu, jedynie aby podsycać i karmić ciekawość rzeszy? wprawdzie z intencyą moralizowania jéj, lecz wiotka nauka zazwyczaj w las idzie; w tych bowiem utworach część nauczająco-moralna bywa powszechnie mniéj powabną, niż fikcya zawracająca głowę bardzo improwizowanemi scenami.

Że tak się dzieje we Francyi, Niemczech, Anglii — nie przeczę, ale za cóż koniecznie ma się dziać w naszym kraju, kiedy w tém więcéj jest sztucznego wytężenia, niż rzetelnéj potrzeby? Przecież bez improwizowanéj literatury całe trzy wieki mają się czém lepszém poszczycić, jak kilkudziesięcią tomami niestrawnych kłamstw takiego lekarza - autora, na którym może najwięcéj cięży ten grzech improwizatorstwa. Któż jeżeli nie on improwizował jeografię, ludzi, przygody? Kto z całym urokiem przybywającego zdala peregrinanta prawił niestworzone rzeczy o sobie i o tych ziemiach, gdzie nigdy nie był, a wykształcony świat stolicy słuchał go, wierzył mu i poklaskiwał, chociaż ruskie przysłowie mówi: *na seło duryty.* — Ztémwszystkiém niepodobna rzucić nań kamieniem, bo on odpłacając za sympatyczny oklask, brnął daléj, mówiąc sobie zapewne w duchu: jeśli was to bawi, dlaczegóż mam skąpić konceptu, zwłaszcza kiedy towar popłatny? — I sypały się podróże po Skandynawii, Anglii, Francyi, Hiszpanii, Maroku, a nawet po rodzinnych ziemiach, a kiedy mu już lądów zabrakło, zajrzał podobnoś na księżyc, która to podróż musi być nieza-

wodnie najwiarogodniejsza, przynajmniéj nieprędko znajdzie się śmiertelnik coby powiedział: mylisz się panie doktorze, to nie tak, ja tam byłem!

Szalone powodzenie improwizowanego literata, który bądź co bądź nie jest bez przyrodzonego talentu, skończyło się, czy nie skończyło się, nie wiem, ale to wiem, że od niego wyraźnie poczyna się era improwizowania dzieł, a każde po cztery tomy.

Nic dziwnego, lekarz, łatwiéj niż zwykły profan, odgadł słabość publiczności; w tém tylko niedobrą przyjął metodę, że zamiast léczyć z choroby, on ją powiększał. Bądź jak bądź, śmiały ten improwizator zrobił prawdziwą rewolucyą w państwie naszéj literatury, a rewolucyą na korzyść piśmiennego proletaryatu, z téj miary, że pokazał własnym przykładem jak można pisać książki z niczego, a zaczepiać o każdy przedmiot bez przygotowania się do niego, a brak oczywisty zastępywać fraszkami powszedniego życia, anegdotami i plotkami.

Wziąwszy sobie za cel bawić opowiadaniem własnych przygód doznanych nietylko w obcych krajach, ale na ziemi rodzinnéj, opi-

sywał wycieczki w strony, które mógł poznać tylko z daleka lub powierzchownie. — Jakoż w rzeczy saméj, nic o nich nie powiedział takiego, coby nie było lepiéj znane z podań ludzi, którzy wiarogodne zebrali postrzeżenia na miejscu. Natomiast sztukował hojnie drobnostkami z prywatnego życia na jakie się co dzień patrzy; wyprowadzał na scenę osoby, nazywając je bez ogródki po ich nazwisku familijném, albo téż nadając im bardzo przezroczyste pseudonimy. Gdyby jeszcze zachował był tę delikatność i na karb tych osób nie kładł żadnych śmieszności, lub nie wystawiał ich w niepochlebném świetle, łatwiéj byłoby do przebaczenia; jakkolwiek wprowadzanie takie na scenę figur niehistorycznych, ani głośnych w świecie, zawsze tak jest nieprzyzwoitém, jak pokazywanie na kogoś palcem w miejscu publiczném.

Pierwszy to krok do gorszącego nadużycia niepraktykowanego dotąd w naszéj literaturze, aby nawet kąty domowe ze swemi mieszkańcami, nie były wolne od figurowania w dziełach panów autorów zakłopotanych czém je zapełnić. Co więcéj, raz przekroczona granica przyzwoitości, otwierała obszerne

pole do wetowania wszelkich osobistych uraz i zawiści. Przypuśćmy, że tutaj nie przyjęto pana autora tak pochlebnie jak sobie rościł, owdzie starto zuchwałe zdanie, gdzieindziéj nie odpowiedziano na dziką pretensyę; tu ktoś krzywo na niego popatrzył, może na pierwszém nie posadził miejscu, a słów jego nie uważał za wyrocznię, owoż zemsta! trzebaż go za to wsadzić w powieść lub podróż, skarykaturować, okryć śmiesznością lub błotem, i żeby się przed odpowiedzialnością zasłonić, a dla tego swoje zrobić, zostawić mu własne jego nazwisko rodowe z małą przemianą jednéj literki. — Cóż to za pociecha dla świata lubiącego komeraże i zawsze bardzo uszczęśliwionego na widok cierpienia każdéj miłości własnéj!

Jestto jedna z najpospolitszych ułomności natury ludzkiéj, cieszyć się z drobnych upokorzeń bliźniego, ale jéj exploatować niegodzi się autorowi umiejącemu szanować swoje powołanie. Tymczasem exploatacya zakątów prywatnego życia prędkie u nas zrobiła postępy; rodzaj ten zapewniał najkorzystniejsze książkom powodzenie; i nie mylono się, bo na

słabość ludzką daleko więcéj można rachować niż na poważne przymioty rozumu lub serca.

Tajemnica ta tłumaczy mi po większéj części przyczynę powodzenia naszego Lekarza-Autora; potoczne plotkarstwo zmieszane z małemi skandalikami, trafiło w zepsuty smak publiki, lubo i tego nie można zaprzeczyć, że żywość matamorskiego opowiadania, śmiałość w dopadaniu każdego przedmiotu, ciętość dyalogu, i ten sposób śmiania się z własnego dowcipu, który nie zawsze bywa dowcipnym, mogły na razie zawrócić głowy, jak szalona polka po któréj można skakać do upadłego, ale która przecież od symfonii Beethowena lub mazurka Chopina daleka, jak ziemia od nieba.

Powie kto na to: polka do tańca, symfonia dobra do koncertu, czemużby i płody Lekarza-Autora nie miały mieć miejsca w literaturze? Zapewne że mogą mieć; ale gdyby ta polka wymagała skoków i figur gorszących, za które policya wyprowadza z miejsc publicznych, toby ją przecież wyrzucono z repertoaru muzycznego.

Jak każde tak i literackie ciało, powinno mieć swoje granice, poza które przekroczyć

jedno jest, co przeniewierzyć się statutom niepisanym wprawdzie, ale nadanym sobie i zachowywanym w uczuciu własnéj godności. Rozbić je daleko mniejsza sztuka, niż przechowywać i przestrzegać.

Długi czas Republika literacka siedziała u nas na tém prawie, i zyskiwała sobie powszechny szacunek — dopiero swawola improwizatorów zakłopotanych, zkąd tu snuć wątek, kiedy go w sobie nie było, rzuciła się na to bezdroże.

Ponieważ dotykając téj materyi, napomknęło się o licznych podróżach w obczyznie i kraju popisanych przez Lekarza-Autora, a z których wątpię czy kto odniósł więcéj pożytku, jak że się pustą gadaniną odurzył— przeto niech mi wolno będzie, dla pocieszenia czytelników, przebiedz wraz z nimi Podróże historyczne Niemcewicza.

Podróże przygotowane były do druku jeszcze przed trzydziestu siedmiu laty, a chociaż dopiero w bieżącym roku wyszły na widok, nie straciły nic na interesie, pisał je bowiem mąż niemałego w kraju znaczenia, nie żeby wysokie urzędy piastował, lecz że był niejako uosobieniem myśli, przechodzącéj przez cię-

żkie próby, kołatającéj się przez lądy i oceany, błyskającéj wreszcie pośród cząstkowych i pozornych urzeczywistnień swoich nadziei, myśli co nie gasła, nie robiła ustąpień, tylko tradycyonalnie przechowywała drogą spuściznę, bez téj nieszczęsnéj przymieszki teoryj i experymentów socyalno-politycznych, które tak mocno zawichrzyły pojęcia, tak ostudziły uczucia...

Samo to puszczenie się na podróże po kraju, zupełnie niepraktykowane u nas do czasu Niemcewicza, pokazuje jak wielostronnie pojmował swoje zadanie. Wskazać bowiem narodowi miejsca w dziejach pamiętne, otworzyć zapomniane grobowce, świątyniom i zamkom kazać opowiadać własną historyę, przepatrzyć archiwa, na dzieła sztuki zwrócić uwagę, równie jak na ślady dawnéj zamożności, kultury i przemysłu, było to jedno, co każdą stopę ziemi uświęcić i przywiązać do niéj przez powinowactwo historycznych prochów spoczywających w jéj głębi.

Niemcewicz zawsze miewał takie obywatelskie pomysły. Pisma jego pod względem sztuki niekoniecznie wytrzymują próbę, ale gwoli ducha, który je ożywia, pozostaną nie-

tylko wiernêm odbiciem się swego czasu, ale jakby wyznaniem wiary, na którą zacne umysły zawsze podpisać się mogą. Pomysł historycznych podróży powziął on zapewne w tych kilkokrotnych żeglugach swoich do Zjednoczonych Stanów. Stęskniony za rodzinną skibą i ludźmi, musiał śród puszcz i cywilizacyi nowego świata, nieraz ślubować sobie, że za tę pielgrzymkę, do którêj los zmuszał, warto kiedyś zrobić nieprzymuszoną na własnêj ziemi.

Po raz pierwszy w roku 1811 puszcza się w podróż po Krakowskiêm, Sandomierskiêm i Lubelskiêm, gdzie rzeczywiście znajduje się najobfitsza kopalnia zabytków starożytnych, bo historya wypisała się tam wymownemi charakterami. Podziwiać należy, jak wtedy już kiedy badania archeologiczno-paleograficzne, daleko na niższêj stały stopie niż dzisiaj, uwaga jego zwracała się na ważne przedmioty i niekiedy odgadywała je szczęśliwie. Wszakże, ile uważałem, nietyle go zajmowało odczytywanie zatartych nagrobków i innych napisów, nietyle silił się unosić nad spotykanemi malowidłami, ani nad odgadywaniem do jakiêj szkoły lub mistrza należą; pieśni jeszcze i le-

gend gminnych nie poszukiwał, dla słowiańszczyzny pogańskiéj nie exaltował się więcéj niż dla cywilizacyi przez kościół, ale za to wciąż zaprzątała go ta myśl: jakimby sposobem zwiedzane przez siebie kościoły, zamki, mogiły, pobojowiska, ożywić wspomnieniami historycznemi i przelać je w serce ludu, aby zamieniły się w żyjące podanie.

Czy się tradycya da zaszczepić tym sposobem? nie jestem pewny, ale tyle przynajmniéj wierzę, że historya tak spopularyzowana żyłaby nie w samych książkach bibliotek, ale i w uściech.

Wyobrażam sobie jak ciężko musiał się zasmucić nasz podróżny, kiedy zrobił małą próbkę w Krasnymstawie i zaczął wypytywać jakie wspomnienie zostało w gminie o głośnym fakcie historycznym, którego ten zamek był świadkiem. On, co liczył zdarzenie to do najgłośniejszych tryumfów rzeczypospolitéj, ani przeczuwał nawet, żeby było tak zapomnianém, jak zobaczymy z własnych słów jego:

„...Równo ze świtem poszedłem zamek oglądać. Już tylko dwie z niego ściany zostały, świadczące jednak piękną strukturę gmachu tego. Zatopiony w myślach, gdy na

nie poglądam, widzę wychodzącą z bliskiego domu mieszczankę, a mniemając, że przez podanie, okoliczności o więźniu przeszły do dzisiejszych pokoleń: moja panno, rzekłem, wielkie rzeczy działy się w tych murach, wielcy książęta siedzieli w nich, dziś co za różnica! Prawda, odpowiedziała kobieta; matka moja powiadała mi, iż było wesoło, kiedy tu pani Szlubowska mieszkała! Jeszczem był w osłupieniu nad niewiadomością, która mieszkanie to pani Szlubowskiéj, za znakomity w dziejach naszych uważała wypadek, gdym postrzegł przechodzącego dziada kościelnego. Ten starzec z siwą brodą, pomyślałem sobie, zapewne zna więcéj. Staruszku, rzekłem, w co się to ten zamek obrócił, od tego czasu, co w nim wielcy książęta siedzieli! Oj prawda — odpowie — pamiętam ja jak było wesoło, kiedy w tym zamku pan Oboźny siedział; co to za tańce, jakie biesiady, grała muzyka... Poprzestałem rozmowy...“

Jak ze wszystkich okoliczności Ursyn nasz lubił brać wątek do swoich apologów, tak i tu widok bociana poprawiającego swe gniazdo na wierzchołku murów zamku Krasnostawskiego natchnął go taką apostrofą:

„Szanowny, rzekłem, bocianie!
Ty coś zapewne dobre wychowanie
Odebrał od swych rodziców;
Co z gniazda tego odwiecznych dziedziców
Ród swój prowadzisz, kiedy, chociaż dumni,
Tak są ludzie nierozumni,
Że nawet w miejscu na którém mieszkają,
Co się tam działo nie znają:
Ty, coś światlejszy nad nich tysiąc razy,
Powiedz krótkiemi wyrazy,
Co ci twój ojciec, pradziad osiwiały,
O Krasnymstawie podały.

Tu bocian dziób swój otworzył czerwony,
Coś zaklekotał; ale los odwieczny
Zbyt życzeniom naszym sprzeczny,
Nie chcąc by człowiek był nadto uczony,
Sprawił, że ludzie, choć pilnie słuchają,
Nie rozumieją co bestye gadają.

Zważając kiedy ta podróż była pisaną, należy przyznać Niemcewiczowi pierwiastkowa uwagę, zwróconą na obojętność ludu dla podań historycznych; późniéj często téj myśli używano przeciw klassie reprezentującéj naród i wyrzucano jéj, że nie przypuściwszy ludu do udziału w życiu publiczném, odepchnęła go tém samém od swojéj historyi. Zapewne, ale nie mogło być inaczéj jak było w owym składzie Rzeczypospolitéj, a nawet w ża-

dnym innym kraju, z wyjątkiem może jednéj Hiszpanii: lud nie utrzymywał historycznych tradycyj, a jeżeli utrzymywały się jakie o zamkach i ich baronach, to po największéj części dlatego, że ucisk ich i zbrodnie silniéj się piętnowały w pamięci gminu, niż patryarchalny łagodny stosunek szlachty naszéj do włościan. Rozszerzona tylko oświata po szkółkach wiejskich, mogła była podawać wiadomość własnych dziejów, lecz jak wiemy, nowszych to dopiero czasów usiłowanie. Wtenczas kiedy Niemcewicz jeździł do Prus królewskich wyznaczony przez dyrektora edukacyi publicznéj (w roku 1812) dla zwiedzenia szkół publicznych, w jakże opłakanym stanie znajduje szkółki parafialne szczególniéj po koloniach; rozkazu władzy edukacyjnéj uczenia się krajowego języka, nie zachowywano tam wcale, a w Brzozowie pod Chełmnem otaczają go poczciwi włościanie, skarżąc się na nauczyciela, że ich rodzinnéj mowy uczyć nie chce.

Pierwszą jak wspomniałem podróż, odbył Niemcewicz w najhistoryczniejsze strony, bo w Krakowskie i Sandomierskie. Nie trudni się on, a przynajmniéj nie goni za próżnemi czę-

sto opisami prywatnych domów, nie łapie słów poufnéj pogadanki, skandalów nie wyszukuje, osób po nazwisku przy niezaszczytnéj okazyi nie wymienia, ale pilném okiem śledzi, gdzie jaka z przeszłości droga pamiątka, i choć ją nie zawsze umie ocenić i dokładnie opisać, jednakowoż znosi po cegiełce do świątyni historyi. Ztąd wielce interesującą jest ta podróż, iż często wymienia takie zabytki, o jakich już dziś nie wiemy, chociaż dopiero czterdzieści kilka lat upłynęło od czasu jak patrzał na nie.

Wypisać niektóre, zda mi się rzeczą potrzebną, ażeby mogły posłużyć za wskazówkę dla dzisiejszych poszukiwaczów starożytności.

I tak: w Samsonowie znajduje stary dworzec modrzewiowy, z malowanemi dawniéj ściany w jakieś postacie ludzkie, wszystko to pokryło bielidło, jak i tę belkę, którą odskrobawszy, wyczytał rok 1123. — Jeżeli jeszcze budynek ten utrzymuje się, a napisby się sprawdził, byłbyto najszacowniejszy architektoniczny zabytek.

Znowu w pałacu biskupim w Kielcach widział, jak mówi: w suficie wyborne malowanie. Na jednym obrazie król bogato ubrany

po hiszpańsku, po jednéj stronie kanclerz w polskim ubiorze i hetman z buławą, po drugiéj osoby w cudzoziemskich strojach, przed królem obcy posłowie.

Podróżny nasz, nie umie się domyślić co ten obraz wyraża, a jeszcze mniéj, kto go malował; nie wie również jakie to bitwy przedstawiają cztery inne obrazy na suficie.

Daléj, przybywszy do Jędrzejowa, ogląda celę Kadłubka. „Jest przy wchodzie, powiada, kamień potężny, na którym wyryty śmiałym i czystym rysem wizerunek Kadłubka w postaci rozdzierającego ubiór biskupi, z pastorałem przewróconym do dołu.“ — Jeżeli ten kamień istnieje, jaka szkoda, że go nie mamy we Wzorach sztuki średniowiecznéj; jeżeli znikł — gdzież się podział? A jest obawa czy go zły los nie spotkał, bo Niemcewicz dodaje, iż ówczesny Opat Drzewiecki przyrzekł mu, że ten kamień osadzić każe w ścianie, aby nie był deptanym i zatartym.

Gdzież są te rzadkie dyplomata, które oglądał w Miechowie? Ów list patryarchy Jerozolimskiego z roku 1162 tak dobrze zachowany wraz z pieczęcią; owe nadania Leszka Biale-

go, Bolesława Kędzierzawego, Przemysława i t. d.

A u nas-że w samym Krakowie w kollegium wielkiém, czyż nie wymienia dużego obrazu przedstawiającego Władysława Jagiełłę i Jadwigę klęczących przed krucyfixem, a za nimi stojącego biskupa? — Gdzież się podział ten obraz, o którym oprócz tego wiemy, że istniał, gdyż znajduje się dawny drzeworyt robiony podług niego.

Tyniecki klasztor jeszcze wówczas nie spalony piorunem, ani ze swoich skarbów odarty, zawierał wiele ciekawych pamiątek; dość wymienić historyę Kazimiérza (Mnicha) w dwudziestu obrazach, jak mówi: „kompozycyi godnéj zalety“ tak dalece, iż uważa obrazy te godne ogłoszenia rylcem. Tamże w katalogu bibliotecznym, uderza go rzadkość bibliograficzna, miała to być książka polska: Nabożeństwo do N. P. w r. 1498 drukowane; ale książki téj nie można było znaleźć. W archiwach widział także najdawniejsze nadania — ale jak powiada, z poodrzynanemi pieczęciami za przeszłego rządu austryackiego.

W Wiślicy widział Niemcewicz „piękną wypukło-rzeźbę wyobrażającą Kazimierza W.

trzymającego kościół ten i ofiarującego Najświętszéj Pannie.

W Zawichoście w Franciszkańskim klasztorze widział wizerunek Bolesława Wstydliwego, fundatora klasztoru, ale zdjęli go mnisi i natomiast zawiesili nowo-malowany, ozdobiwszy go orderem św. Stanisława!

W Kraśniku, w refektarzu kanoników Bożego Ciała portret Michała z Tęczyna Rabsztyńskiego malowany, jak twierdzi rok 1468. Tęczyński miał tam być przedstawiony w krótkim po kolana żupanie, opasany szeroko, zpod żupana tego obszerne ponsowe spodnie wchodzą w żółte ciżmy; na barkach ferezya z rysiami, kołpak soboli z piórem leży na stoliku, wtyle marszałkowska laska. Autor uważa to za wierny strój polski — co znowu wprawia w pewną wątpliwość, gdy porównamy te stroje jakie się przechowały na różnych z owego wieku zabytkach niezgodne z tym opisem.

Tamże oglądał piękny nagrobek Jana Chrzciciela Tenczyńskiego — płaskorzeźba wyraża młodzieńca i dziewicę w młodości, nachylone ku sobie, z napisem: *Quae vita conjunxit, mors in tamulum reduxit.* Jestto alluzya do jego miłości dla Cecylii Szwedzkiéj.

W Zamościu miał widzieć bardzo pięknéj roboty dzieło, które miasto Ryga ofiarowało niegdyś Zamojskiemu.

Zgoła wszędzie gdzie był, zanotował jaką osobliwość godną bliższego rozpatrzenia się; wszakże w miarę jak ku Rusi kieruje swoje kroki, zabytki cenne zmniejszają się, a natomiast innego rodzaju przychodzą ciekawości, jak mogiły i pobojowiska, wspaniałe pałace panów, bogate naukowe zbiory, a nadewszystko bogatsza ziemia.

Podróże te odbywał on w rozmaitych latach. Pierwsza w Krakowskie przypadła na rok 1811; druga do Prus królewskich w 1812 w téj zwiedził on część Wielkopolski aż po Chełmno, i tam udręczony widokiem wyniszczonych siół kontrybucyami Napoleońskiemi, gdy ujrzał w jednéj wsi parobków zmiatających omaszczone kartofle z dużéj misy, zawołał: „Wyznać należy, że po chrzcie świętym, kartofle są największém dobrodziejstwem ludziom użyczoném przez niebo!“ — Szkoda, że wydawcy tych podróży nie wyrzucili téj apostrofy, od któréj śmieszność pada na zacne cienie Ursyna — bo czy on sam mógł przypuścić przy całéj filantropii, aby niebo przed

wynalezieniem kartofli nie obsypywało ludzi swemi dobrodziejstwy?

Podróż na Wołyń i w Brzeskie odprawił w 1816 r. i zwiedza Poryck Czackiego, pobojowisko Beresteckie, Zakłady Krzemieńca, cudowne miejsce Poczajowskie, opisał jeszcze Wiśniowiec, Dubno, Łuck, Woronczyn jenerała Kropińskiego, Brześć litewski, Terespol i t. d. W 1817 zwiedził Prusy polskie i książęce, tę część najmniéj opisywaną i znaną u nas, Gdańsk, Królewiec, Elbląg, całą Warmię i t. d. W następnym roku przypadła podróż po Wołyniu, Podolu, aż do Odessy, a właściwie aż do Mikołajewa, bo aż tam dotarł. Żałować należy, że drukowano z defektowego rękopisu; ustęp bowiem o Szczęsnym Potockim, z którego jak powiada przypisek: „Sześć kart brakuje,“ byłby podał wiele takich rysów, które Niemcewicz jako naoczny świadek sam zebrał. Sądzę nawet, żeby go był dość bezstronnie ocenił, w początkowéj bowiem wzmiance o panu Szczęsnym oddaje mu sprawiedliwość, że to on nauczył szlachtę bogatszą mieszkać na Ukrainie, którą pierwszy zaczął cywilizować.

Podróż do Litwy w 1819 i do Galicyi odbyta dopełnia niejako całego obrazu, do któ-

rego jednak brakuje niektórych części; słowem jest to dzieło może mniéj będące na wysokości dzisiejszych historycznych badań i wiadomości, ale zato pod względem zamiłowania rzeczy krajowych, gorliwości wskrzeszania drogich pamiątek i odnoszenia wszystkiego do jednéj obywatelskiéj myśli, o wiele przewyższa te dzisiejsze wycieczki poświęcone albo pustym i drobiazgowym macaniom archeologicznym, albo podkądzielnym bajkom zbieranym i podawanym ze skrupulatnością godną lepszego przedmiotu.

Jednéj tylko rzeczy dość wyżałować nie można, iż wydawcy ogłaszając te podróże historyczne drukowali je bez poprawek i stosownych objaśnień. Ś. p. Ursyn był mąż gorącego serca i tęgiego charakteru, ale historyk niezawsze skrupulatny, a często przepuszczający najgrubsze błędy, ztąd, że nie lubił mozolnie ślęczyć nad papierami, i po większéj części zdawał się na podręcznych skryptorów. Wydawca powinien był grubsze pomyłki bez skrupułu poprawić, a niedokładności historyczne przypisami sprostować i wyświecić; nie godziło się bowiem téj zacnéj pracy puszczać

w świat z takiemi błędami, które nie mogą wytrzymać najmniejszéj krytyki.

Nie mając zamiaru występować tu z bardzo łatwą erudycyą historyczną, którą byłaby po niewczasie, bo dzieło wydrukowane — dodam to tylko, co z czytania tych podróży mocno utkwiło mi w umyśle. Czy niegodziłoby się mieć już do tego czasu takiéj podróży po wszystkich prowincyach, ozdobionéj rycinami, a obejmującéj dokładne opisy okolic i mieszkańców. Tyle w tym rodzaju dostarczono już materyałów przygotowawczych, że dość byłoby podzielić pracę pomiędzy kilka lub kilkanaście osób, aby każda objechawszy najlepiéj sobie znane strony, wypracowała opis swojéj części, z czegoby tak interesująca całość powstała. Nie będąc zwolennikiem dzieł zbiorowych w literaturze, w téj kategoryi zrobiłbym wyjątek, tém więcéj, że są części kraju różniące się pomiędzy sobą, a tém samém potrzebujące być badanemi przez tych co w nich długo przebywali.

Gdyby Podróże historyczne tylko tę myśl wzbudziły, już byłoby za co podziękować wydawcy tego dzieła, tak samo, jak wydawcom Starożytnéj Polski, Balińskiemu i Lipińskiemu

należy się wdzięczność, że pod względem historyi i miejscowych instytucyj, podziałów administracyjnych, obliczeń statystycznych, złożyli wyborną całość, którą tylko nowemi badaniami uzupełnić należy, abyśmy przyszli do dzieła dającego nam poznać wielki, lecz należący do przeszłości obraz kraju.

XV.

PISMA PERYODYCZNE I TEKA WILEŃSKA.

Litwa może się nazwać ubłogosławioną ziemią, nietyle pod względem czarujących okolic, bujności gruntu, przyjaznego klimatu, ruchu cywilizacyjnego, ile, że wydała wielkiego wieszcza, który wyśpiewał duchowe jéj tajemnice, i takiemi urokami potrząsł jéj ciemne lasy i ciche zaścianki, że kto jéj nie widział, zbiera go tęsknota jak za nieznajomą kochanką.

Cudowna to kolej, którą poszli nasi śpiewacy ześpiewujący w jeden chór tony rodzinnych zagonów! Pieśń lecąca pod obłoki, nie

napotykając krańców, służyła niejako za posłankę wzajemnych wynurzeń się z tęsknot i słodkich myśli Witano ją téż serdecznie i mieszczono w pamięci serca, gdzie się tworzył idealno-uczuciowy organizm, który pospolicie i właściwie zowiemy duchem.

Po zerwanych stosunkach życia, po przebrzmiałych znajomościach i przyjaźniach, po straconych koligacyach, zarosłych drogach domowych, słowo pieśni brzmiące starą powieścią krzyżacką, już anegdotą popularnego potentata, już wiejską półpogańską pieśnią, już roztaczające tajemnicze dziwy puszcz niezbrodzonych, czarownych Ponar i nadniemeńskich dolin, ożywiało trądycye, wiązało rozbryznięte cząstki życia w całość, odnawiało powinowactwo historycznéj rodziny.

Szanowny z wielu miar autor Wieczorów Pielgrzyma nazywał tę dążność powiatowszczyzną, gniewał się na to podnoszenie cech plemiennych i tych różnic charakterystycznych, zapominając, że tym właśnie sposobem cząstki przychodziły do uznania się w swojém jestestwie, aby tém szczelniéj skupić się w dziedzictwie ducha. — Geniusz poety nie zmylił się w drodze, którą pokazał. Nowi Lu-

mirowie zespiewywali, jak w staroczeskim zabytku, serca do serc, a każden kolebkę swoją umiał przystroić takiemi kwiatami fantazyi, że splecione razem, wydawały się jak ta równianka położona w ofiarze na ołtarzu Boga-Rodzicy w dzień Jéj uroczystości.

Po pierwszym wylewie uczuć powitania, po tych wynurzeniach się z wspomnień, następuje zazwyczaj trzeźwiejsza spowiedź o osobach rodziny, o sprawach domowych, o stanie majątkowym, o widokach gospodarczych, zgoła te tysiączne drobiazgi życia z których się składa egzystencya człowieka. Podobną koleją szły rzeczy w świecie umysłowym, w pracy piśmiennéj. Obok poezyi powstawała proza, obudzająca nie mniejsze zajęcie. Powieści opowiadały obraz towarzyskiego życia; pokazywały ludzi w zapasach z losem, z nieszczęściem; dusze wzniosłe i poświęcające się, to znowu upadłe, znikczemnione; surowy, tradycyjny obyczaj obok samolubstwa nurzającego się w zmysłowości z wszystkiemi cechami duchowego odstępstwa; wiarę religijną przekazaną od ojców obok indiferentyzmu lub pysznego mędrkostwa. W formie téj najwięcéj dawało się zmieścić, była więc najpopu-

larniejszą; choć jako płód fantazyi powieść, nie miała téj ścisłości jakiéj wymaga się, gdy rzecz idzie o pewne dane. Najważniejszą w tém rolę odgrywały poszukiwania historyczne, robione na stósownéj skali; archeologia wydzierała ziemi, lub poniewierce, dalekie wskazówki mogące niejedno wyjaśnić; lub badany pod względem podań, pieśni, obyczajów, dostarczał ciekawych postrzeżeń, jeżeli nań umiano patrzeć bez czułostkowości sielankowéj i bez chytrego celu używania go za puklerz do ścierania się z innemi warstwami towarzyskiemi; najwięcéj zaś oświecały o stanie prowincyi opisy podróży dające tak dobrze poznać i stan społeczeństwa i jego oświatę i obyczaj i gospodarstwo obok kreślonych z humorem fizyonomii miejsc, tłumnych zebrań odpustowych, jarmarcznych, wyrobów i kondescencyi.

Piszący w tych różnorodnych przedmiotagh tworzyli literaturę prowincyi, wychodziły wielotomowe książki, które w spokojném zaciszu kiedykolwiek można było przeczytać, bez zaciągania jakiegokolwiek obowiązku względem ich autorów, czyli bez téj solidarności jaka łączy czytelnika z piszącym, jeżeli tenże chce obudzić interes bieżącéj chwili. —

Rzecz bowiem pewna, iż piśmiennictwo ograniczone na samych dziełach wielotomowych, tworzonych oderwanie od interesu chwili, aczkolwiek może wydawać i wydaje doskonalsze, wypracowańsze pod każdym względem płody, jednakowoż nie zaspokaja téj potrzeby codziennéj budzącéj się w czytelnikach z powodu tysiącznych kwestyi życia czy publicznego, czy ekonomiczno-gospodarczego, czy wreszcie naukowego i artystycznego. Jest to własnością wykształceńszéj publiki, że jest ciekawą najświeższych nowości, chce posłuchać zdań większego świata, aby zoryentować się w kwestyi nieraz zbyt jednostronnie, lub niepraktycznie pojmowanéj; potrzebuje téż i pewnych potrąceń i wskazówek, aby skorzystać ze skarbów leżących odłogiem bo niepostrzeżonych dotąd; słowem publiczność potrzebuje organu budzącego ruch i życie przez odświeżenie myśli zatęchłych jednostajnością nawyknień.

Takiego organu, któryby umysłowe i materyalne interesa przedstawiał i rozwijał, chociażby w bardzo szczupłych granicach, nie miała Litwa od czasu jak Dziennik Wileński przestał wychodzić.

Późniéj *Wizerunki* naukowe zapełniały same przekłady z Revue Britannique i innych; czasami tylko zaplątał się jaki ułamek z historyi naszéj lub z literatury, ale i to było lepsze jak nic. Atheneum wydawane przez Kraszewskiego miało wyborne artykuły książkowe; a choć ducha czasowego pisma nie miało mogło się było wyrobić.

Nie jest to bynajmniéj rzeczą tak łatwą jak się wielu zdaje znaleść się w każdéj danéj chwili, ogarnąć ją, a przynajmniéj zrozumieć i wytłumaczyć; zwracać baczność na proste lub krzywe kierunki, na symptomata czasu, umieć dobre wyprowadzać, lub wstrzymywać na pochyłościach, — czyli poprostu, być pośrednikiem między odgrywającą się historyą na bliższych lub dalszych scenach świata, a tymi co na nią patrzą, stanowi właściwe zadanie czasowego pisma. Rola objaśniacza, komentatora, a niekiedy przewodnika zostawiona jest dziś tego rodzaju pismom, do czego koniecznym warunkiem znaleźć się w rzeczywistości jaka jest, a umiejętnością, rozpatrzenie się w niéj i dokładne poznanie organicznego jéj składu, i sił żywotnych, produkujących, aby je do celów użytecznych prowa-

dzić. Same najwznioślejsze teorye nie są bynajmniéj praktyką, a przenoszenie się myślą w wieki przeszłe, lub przyszłe, aczkolwiek odsłania piękne poetyczne światy, niema téj ścisłości zastosowawczéj jaka niezbędna jest w organie, który chce być tłumaczem potrzeb i interesów bieżących. Wyższe kierownictwo duchowe bywa zazwyczaj udziałem wieszczów i myślicieli; czasowe pismo o ile w jego mocy, powinno owładnąć teraźniejszość rzeczywistą, dotykalną, choćby w najdrobniejszym zakresie, który choć nieznacznie rozszerzy się, bo to pewna, że wszelkie ustępstwa zdobywają się miłością prawdy i spokojną a wytrwałą pracą.

Pismo czasowe nieodpowiadające temu warunkowi choćby w najdrobniejszym punkcie, przestaje nosić właściwą sobie cechę i zamienia się w zbiór artykułów różnorodnych, jakie zazwyczaj czytujemy w publikacyach na intencyą pogorzelców lub potopielców. Nie oto bowiem idzie, aby pióra miały pole exercycyi lub popisu, ale żeby żywotność i czynność społeczna znalazła swój organ, słaby lub silny, w miarę jak stosunek miejscowy pozwala.

Ważność i użyteczność pism czasowych uznaną została przez wszystkie rządy, które, czy je w ciaśniejszych, czy luźniejszych trzymają karbach, czy są w nich interesowane, lub nie, zawsze jednak uwzględniać mogą wyraz opinii kraju, jeżeli takowa wyrażona jest w tonie przyzwoitym i umiarkowanym, oparta na pewnych niezbitych faktach i danych, a odznaczająca się praktycznym poglądem. Trzeba paniętać, że i najliberalniejszy rząd nie słucha pierwszego lepszego gazeciarskiego krzyku, ale rad zastanowi się nad przedmiotem ułatwiającym mu dokładne poznanie miejscowych stosunków i potrzeb. Zapewne, przypadki te mogą być częstsze lub rzadsze, odpowiednio do usposobień i trybu machiny rządowéj, ale zawsze sumienne, nienamiętne a gruntowne przedstawienia zyskują pewien wzgląd, pewien szacunek dla organu publicznego, który w drodze obustronnego zaufania może niejedną oddać przysługę.—Aczkolwiek w obecnéj chwili wielka jest wszędzie pochopność do dziennikarstwa, mianowicie w Warszawie, jednakowoż trudno się dopatrzyć w dziennikach jéj, z małym wyjątkiem, odpowiedniego celu. Trochę historyi, trochę

archeologii, trochę miejscowych plotek, nadmiar gawęd o sztuce i sztukach, dużo powieści dla zabawy i wczasu, a zresztą bardzo mało, lub nic tego, co treść publicznego organu stanowi.

A jednak ten stan dziennikarstwa acz tylko ograniczony do teorycznych rozpraw w dziedzinie sztuki i literatury, do moralnych obroków i buletynów z pola przedstawień sceniczno-baletniczo-koncertowych i sprawozdań turystów, przerzucających przez nogę całą cywilizacyą Zachodu, zapewne żeby pokazać wyższość swojskiéj kultury — wielką jest jeszcze zdobyczą, gdy zważymy, że inne prowincye i tego nie mają.

Były uniwersytet Wileński na Litwie, zasiawszy ziarno oświaty w obywatelstwie, utrzymujące się dotąd, zrodził w umysłach potrzebę zostawania w nieprzerwanym stosunku z pracą i ruchem myśli europejskiéj, a tém samém narzucił konieczność przyczepienia swego ogniwka do wielkiego łańcucha cywilizacyi. Stan wyższéj kultury nie może się obejść bez ognisk, gdzieby spływały pomysły i zdania, te owoce nauki; — ztąd téż nieprzerwanie widzieliśmy uczonych i pisarzy litewskich,

uprawiających niwę umiejętności i poezyi; wychodziły od czasu do czasu dzieła ważne i pracowite badania, niepoślednie utwory fantazyi, ale usiłowania te pozostawały bez kierunku, bez skupienia się, bo nie było organu, któryby zdawał z nich sprawę, utrzymywał ruch, wytykał kierunki, zaspokajał potrzebę dowiedzenia się, jaki postęp zrobiła ta lub owa umiejętność, nakoniec zwracał uwagę na brak i zapomnienia wymagające uzupełnień; a co najważniejsza, któryby przystępnemi czynił większéj massie czytelników te pytania, o jakie świat spiera się, zastosowując obejrzenie i rozwiązanie onych do miejscowości. Cóż dopiero powiedzieć o zaszczepieniu dobrego smaku w publiczności, o wyrobieniu sądu nad dziełami piśmiennictwa i sztuk pięknych; przecież rzecz wiadoma, iż publiczność w massie wzięta, nigdy nie jest zdolną osądzić jakikolwiek talent, albowiem zasady, podług których to się dzieje, nie rodzą się z nami, jak mówi Goethe; a przypadkiem nie można ich téż nabyć, bo tylko dochodzi się do nich przez ćwiczenia i studya.

Ucieszyło to nas niepomału, gdy przed rokiem pisma donosiły o mającym wychodzić

Tygodniku Wileńskim. Projekt upadł i tylko został list Kraszewskiego, w którym zacny ten pisarz skreślił drogę, po jakiéj pismo to powinno postępować. Rady były dobre i trafne, lubo niewyczerpujące do gruntu zadania pisma peryodycznego. Na tym punkcie stała rzecz aż do chwili pojawienia się pierwszego zeszytu Teki Wileńskiéj, wydawanéj przez Jana ze Śliwina, znanego z prac na historyczno-archeologiczném polu.

Wydawnictwo Teki przybrało formę zbiorowéj książki; bo nie ogłasza ani programatu, ani prenumeraty, ani oznacza terminu wychodzenia zeszytów. Nie widać téż w pierwszym zeszycie téj jednéj, przenikającéj całość zasady, i tego koloru, który powleka zazwyczaj prace wypływające z grona pisarzy reprezentujących pewną opinię; skutkiem tego postrzegać się daje rozstrzelenie zasad, wyobrażeń i dążeń — czy dlatego, aby otworzyć arenę do starć polemicznych? Nie sądzę, przynajmniéj uważam to za niepraktyczność szkodliwą dla pisma, z téj miary, iżby niebawem zmieniło się w arsenał polemizujących diatryb, z których czytelnicy daleko mniejby skorzystali, niż z syntetycznie podobnych artykułów; te bo-

wiem dotykając najróżnorodniejszych przedmiotów tém więcéj rzucają na nie światła, im więcéj kieruje niemi górujące pryncypium i przekonanie. Światło i siła powinny mieć ognisko rzeczywiste, aby przez pryzmat pisma wylewała się siła i światło. Samo pismo niech będzie wynikiem założenia, a nie środkiem, przez który do założenia dojść można. Tak pomyślane i prowadzone pismo miałoby niezaprzeczoną podstawę swego istnienia, albowiem przedstawiłoby nie zbiorowisko indywidualnych widoków i zdań, ale pewną stronę społeczeńskiego organizmu.

Nie podaję tych uwag na potępienie Teki; pojmuję bowiem trudności z niepodobieństwami graniczące, zwłaszcza że wielka część pracowników rozrzucona po kraju, ulegając różnym miejscowym wyobrażeniom, nie przywykła do walk opinii, niepatrząca na ich odbicie się w rzeczywistości, a przeto nieprawna w ocenianie donośności symptomatów i pojawów epoki, niełatwo pojmuje potrzebę ześrodkowania sił duchowych.

Szlachetne usiłowania byle miały początek, znajdą zapewne w dłuższém trwaniu przedsięwzięcia, sposób odpowiedzenia słu-

sznym wymaganiom. Czas odkrywa wiele tajemnic; praktyka więcéj uczy, niż najlepsza teorya.

Przypatrzmy się zatém bliżéj artykułom w Tece Wileńskiéj zawartym.

Szereg ich rozpoczyna poezya.

Kantata: Franciszek z Assizu (Assyżu) wyszła zpod pióra Syrokomli.

Poeta czerpnął natchnienie z innego źródła jak miał zwyczaj czerpać dotychczas.

W Ozanama dziele: O poetach franciszkańskich we Włoszech napotkał nieporównanego wdzięku i prostoty temat: „Pewnego wieczora, mówi legenda, gdy święty Franciszek wzruszony był aż do łez śpiewem słowika, uczuł się natchnionym śpiewem na śpiéw, i do późnéj nocy wywodził z nim naprzemian chwałę boską. Taż legenda dodaje, iż święty pierwszy ustał, za co przyznał zwycięztwo ptakowi.“

Tę walkę muzyczną człowieka z ptakiem, przywdział Syrokomla w bogate formy liryczne; ustępy niektóre tchną wdziękiem słodkopłynnym i skromną prostotą. Szczególniéj w śpiewie Franciszka w ostatnich wierszach trącił nawet o szczytność.

Kocham Cię Boże, całą istotą!
Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
Tysiące hymnów szumi w méj głowie;
Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowię!
Najwyższa pieśnia, gdy w proch się korzę,
Jęcząc ze łzami: kocham Cię Boże!.....

Niepodobna było wznioślej oddać téj walki—człowiek tylko w ten sposób mógł ją przegrać. Wszakże po tryumfalnym dośpiewku słowika, wypadało, zdaniem mojém już skończyć, a nie wyprowadzać chóru rycerzy i minstrelów śpiewających pieśni światowe, którym Franciszek wtoruje i wielbi cuda swéj ojczyzny rozkosznéj Italii, mieszając reminiscencye burzliwéj młodości. Słabe to, powszednie i niepotrzebne. Oprócz tego znajduję parę miejsc rażących niezrozumieniem owéj miłości św. Franciszka dla stworzeń boskich jak gołąbki, owieczki, pszczółki, kwiatki; on je kochał jako dzieła boże, co mu symbolicznie przypominały tajemnice wiary, lub służyły za przykład dla uczniów; on rozumiał ich język, przestawał z niemi, rozkazywał im, bo zbożony jak Adam przed upadkiem osiągnął pierwotną władzę nad całą naturą. Należało go zostawić z tém, bo to była rzeczywistość cudu

świętości. Następny wierszyk Karoliny Proniewskiej: Trzy promienie ducha gładkim rymem opiewa trzy niebios córy: poezję, muzykę i malarstwo — materya estetyczno dydaktyczna krojem Deotymy oddana w mowie wiązanej.

Z powieści czytamy Piastunkę przez Adama Pługa. Są to „relikwie z poczciwej przeszłości" jak tytuł twierdzi, ale napisane dla niepoczciwej teraźniejszości, która jakoś nie może się poznać na tych ckliwo-sentymentalnych ideałach w siermięgach i chodakach odgrywających w tej powieści rolę, jaką od wieka wieków odgrywał stan wyższy, wykształcony moralnie i towarzysko, tojest szlachecki. — W świecie powieściarskim inny teraz obrot i porządek rzeczy nastaje; jestto pora Saturnaliów. Zrabowana i zniszczona ogniem rodzina dzierżawcy doznaje od włościan opieki, a nawet pieniężnej pomocy, gdy tymczasem żaden z obywateli sąsiadów nie chce nawet słyszeć o rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Co więcej plenipotent dziedzica wpada po tej katastrofie i domaga się brutalsko raty dzierżawnej u złożonej niemocą dzierżawczyni, grozi wyrzuceniem jej i t. d... — Nie przeczę, na

świecie różne bywają przypadki i różne trafiają się potwory, więc i podobny wypadek mógł się zapewne przytrafić; ale podając taką osobliwość nie należało zamykać się w ogólnikach powieści, tylko wyraźnie napisać gdzie to, komu i jak, zdarzyło się, a wtenczas policzylibyśmy tę awanturę do tych fenomenalnych zjawisk, jak cielę o dwóch głowach, lub wół o jednem oku. Gdy zaś wypadek ten podał p. Pług w formie poetycznej fikcyi, przeto nie możemy inaczej przypuszczać, tylko, że tak dzieje się w rzeczywistości, to jest: że wszyscy chłopi gotowi są do najszczytniejszych poświęceń się, gdy idzie o niesienie bliźniemu ratunku i odwrotnie; że zatwardziałe, egoizmem stoczone serce szlachty nie poczuwa się nigdy do żadnego obowiązku względem bliźniego, jeszcze szlachcica i sąsiada.

Kto zestawia z umysłu takie kontrasty, musi koniecznie przyzwolić na powyższą konkluzyę. Nie ruszałbym nawet tego artykułu p. Pługa, bo nie zasługuje ze względu sztuki pisania i kompozycyi na wzmiankę—ale spotkawszy się z niedorzeczną tendencyą i to obok artykułów wprost przeciwnej dążności, pomyślałem sobie; tak igrać nie godzi się, bo jeżeli

czujemy zdrową prawdę, zgodną z duchem i historyą narodu, jeżeli mamy przekonanie, że jest zbawienną, że ją podzielają umysły wykształcone i obywatelskie, to podobne banialuki służą tylko do podsycania zarozumiałości głów spaczonych, którym się zdaje, że niwellacya społeczna jest najdoskonalszą formą człowieczeństwa.

Pocieszne to przechodzić z tych nizin umysłowych, z tego materyalizmu duchowego do artykułu P. Trentowskiego tryszczącego nauką i rozumem, ogarniającego Boga, naturę człowieka i człowieczeństwo. Są to ułamki, snać większych rozmiarów dzieła, ale ułamki pozwalające schwycić niektóre ogniwa myśli filozofa. Aby krótkiemi słowy wyrazić o co mu idzie, powiem, że mówi o Rodzinie i wskazuje jéj cele, a te są: odzyskanie raju na ziemi. Od upadku bowiem Adama i Ewy tyle wieków ubiegło, a działanie, grzechu pierworodnego równie jest silne jak na początku. — Człowiek się mnoży, a mnoży jak trawa i piasek, a iluż to odzyskać umiało raj utracony i żyć w błogosławieństwie Bożém, sporządzając wyższe warstwy? Oto ledwo jedna tysiączna część jest téj śmietany, a 999 części znaj-

duje się wciąż za bramami Edenu, i zostaje na stopniu zwierzęcości i tworzy „kwaśne motłochu mleko.“

„Okropny to stan czerni! — mówi autor, leniwa, ciężka, ospała, lubi próżniactwo, a jeżeli nie kij, to żołądek własny zniewala ją do przebrzydłéj pracy. Idzie więc do roboty, ale na przekór chęci, a zgrzytając zębami i złorzecząc światu, klnąc zgoła samemu Bogu, o którym nie ma dostatecznéj wiedzy i nauki. Nadmiar w jadle i napoju, przesyt zwierzęcy, to zbawienie jéj na ziemi... Cierpiąc głód i pragnienie, patrzeć musi jak inni jedzą, piją, zbytkują. O jakież to piekło dla niéj i t. d. Cóż czerń — pyta daléj: zmysłowość godząca wciąż na zaspokojenie, które wciąż przed nią ucieka; wielki wyjaw pierworodnego grzechu; złe żywe, dolne i pogardliwe człowieczeństwa ciało. — Ona, czasów wszech, mianowicie naszych bolączka najstraszniejsza.“ Trudno zaprzeczyć, że czerń jest taką, jaką ją maluje autor, zwłaszcza, gdy się wyłamie z karbów odwiecznéj organizacyi społecznéj, gdy się rozhula i rozbestwi na głos apostołów swoich, których nazwał przespołeczniaczami czyli ludowcami.

P. Trentowski twierdzi, że takie jest usposobienie czerni na zachodzie; ale, że u nas nieco odmienne — ale czy lepsze?— jako żywo? W tym względzie zrobił sobie niepotrzebny skrupuł, bo czerń od bieguna do bieguna wszędzie jest jedna i ta sama, odkąd staje się czernią.

Kto tedy poczuje w sobie dostojność człowieczą, Bożość, kto chce przestać być dwunożném bydlęciem, powinien wszystkiemi siłami wydobyć się z bagnisk czerni i dostać się do bram raju, czyli na archanielskich skrzydłach wpaść do wyższych warstw społeczeństwa, jak zaś to osiągnąć? oto trzema widomemi potęgami: bogactwem, oświatą i władzą.

Zdaje mi się, że człowiek z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżéj po stopniach hierarchii społecznéj, bogacić się i przewodzić nad drugiemi, że w nim podsycać téj namiętności nie potrzeba, bo w cóżby się obróciła daleko wznioślejsza idea ewanieliczna przyrzekająca ubóstwu przestającemu na skromném dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogaczom i potentatom świata?

Zresztą ta Bożoobrazowość do któréj P. T. dociągać nam każe, brzmi dość podejrzenie

dla nas przywykłych słyszeć katechizmowe wykłady.

Gdyby Bóg wymagał po nas, żebyśmy raj mieli na ziemi i sami zamienili się w Bogów, niepotrzebnieby nam wskazywał przyszłe życie i kazał szukać za grobem zbawienia, kiedy możnaby je osiągnąć po téj stronie grobu.

Strona religijnych wyobrażeń p. T. niezmiernie wątpliwéj jest wartości; jakaś w nich mieszanina panteizmu, deizmu, protestantyżmu pociągnięta pokostem wyrażeń się używanych w katolickim kościele. Czytając téż niektóre wyborne jego pomysły, szczególniéj, gdy kreśli stan idei społecznych, żal zbiera, że jenialny talent nie poznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszéj książki na świecie, wyjąwszy między filozofami, to jest na katechiźmie.

W Berlinie słynął niedawnym czasem znakomity protestancki teolog Dr. Schleiermacher, zwolennik panteistycznéj filozofii Hegla, do tego stopnia umiał pogodzić chrześciańskie ideje ze swą filozoficzną szkołą, że o nim mówiono powszechnie, jako jest ze wszech miar prawowiernym teologiem ewangielickiego wyznania, wyjąwszy téj maleńkiéj różnicy, że

w Boga nie wierzy. Od czasu atoli jak Straus, również doktor protestanckiéj teologii, również heglista, wydał swe osławione dzieło o życiu Jezusa, w którém dowodził, że Jezus nigdy nie żył na świecie i jest tylko mithem Boga-człowieka, jak go sobie panteistyczna filozofia wyobraża,—weszło w Niemczech w modę filozofować, niby to po chrześciańsku — z pojęcia panteistycznego — a zatém ateistycznego; co na jedno wychodzi; albowiem ta dusza świata, to wszechbóstwo jest niczém innem, tylko zaprzeczeniem trójosobowego Boga i postawieniem natomiast człowieka, jako najwyższy szczyt wszystkiego, co istnieje; który przeto człowiek w swém udoskonaleniu staje się Bogiem, a więc Bogiem-człowiekiem; staje się synem bożym, gdyż tu dusza świata w nim się poznaje, rozumié i zwierciedli, jak ojciec w swym synu.

Tak tylko sobie można wytłumaczyć wyrażenie się p. Trentowskiego; Boga obrazowość.

Taki Bóg-człowiek, choćby nim był sam nieboszczyk Hegel, lub p. T. — zastąpić nam ma Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu, czy tam istniał, czy nie istniał, wolno być

w wyobraźni ludów ideałem panteistycznego Boga-człowieka, przynajmniéj na tak długo, póki go jakiś najdoskonalszy nowszych czasów Zbawiciel zastąpić nie zdoła...

Zbożajcie, woła ustawnie p. T. Zbożajcie rodzinę, za pomocą jéj członków; Bożością własną utrzymujcie świętéj ziemi naszéj Bożość! A zatém podług téj rady musimy się starać zostać Bogami, lub jak przedtém w Chowannie powiedział: „Bóstwo in potentia, przemieniać w Bóstwo in actu.“ Przez jego filozofię wiedzie droga do téj apoteozy; a „zbożenie powszechne“ nazywa „Królestwem Bożem“ na ziemi.

Tu znowu napozór bardzo po chrześciańsku przemawia, że do tego jedyną drogą wyzwolenie się z grzechu pierworodnego. Ale cóż nazywa grzechem pierworodnym? Oto stan ubóstwa i prostactwa. Kto się więc wydobył z tego stanu pracą i sławą, kto zrobił majątek, przyszedł do władzy, już „zbożał“ i zdobył sobie „niebo“ na ziemi.

„Praca, cierpienie i śmierć, mówi p. T. — na które ród ludzki był wskazan, stały się téż rychło sposobami do odzyskania raju i drogą do Królestwa Bożego na ziemi. Są one albo-

wiem darem Bożym, a krynicą z niebios, z któréj wysączają się dla rodu ludzkiego: bogactwo, oświata i władza.“ — Tak więc budując na bogactwie, oświacie i władzy odzyskanie raju i królestwo Boże, niech sobie raczy przypomnieć, że dawno przed nim szatan kusząc Chrystusa na puszczy, wykładał mu kubek w kubek tę samą teoryę, ale jak zmyty poszedł z odprawą. Tak samo, jak mówi p. T. o rodzinie, tak mówi i o małżeństwie. Jedna myśl, jedna dążność tu wytknięta: stworzyć sobie niebo na ziemi. Dla panteisty niema przecież gdzieindziéj nieba. Wprawdzie natrąca o nieśmiertelności; ale niech nikt nie mniema, żeby pod tém uznawał nieśmiertelność własnéj osoby, to się bowiem odnosi tylko do nieśmiertelności ogółu, to jest rodu ludzkiego, dla którego indywiduum czyli szczegół winien się poświęcać; bo jeśli nie zginie, to go czeka niebo, czyli: majątek, sława i władza; a jak zginie, to przepadło! Ogół zawsze na tém zyskuje.

Czy się p. T. zdaje, że my tak chciwi jesteśmy tych tam z Wittembergu nowostek, że niemi zaprawiać musi każdy zdrowy, rozumny pomysł, jaki w jego jasno-pojmującéj głowie

się zrodzi? — Czy sądzi, że go bardziéj admirować będziemy, kiedy postawi się w sprzeczności z tém, co kościół naucza, a my wierzymy? Jeżeli tak jest, to mogę mu zaręczyć, że się mocno myli.

Są u nas, jak zwykle między ludźmi: obojętni w materyach religijnych, są racyonaliści, rządzący się tak zwanym zdrowym rozsądkiem, który im wystarcza do potrzeb materyalnych, są duchowce, co uznają niby katolicyzm, i nie chcą formy kościoła; są może jakie inne jeszcze odcienia, nie wiem; to jednak pewna, że ta doktryna pychy, którą pragnie wdmuchać w głowy nasze, nie znajdzie adeptów choćby nawet w spuściznie wziął lutnię po naszym Adamie i zagrzmiał hymnem zaczynającym się apostrofą: „Boże obrazowości podaj mi skrzydła!“

Bądź jak bądź, kwestye dotknięte w Tece przez p. Trentowskiego nie są bez wagi, z téj miary, że mogą rozbudzić umysły czujniejsze i światlejsze, do zastanowienia się nad niemi; jest bowiem w nich pewna dzielność, którą wstrząsa i ocuca.

Następny artykuł: kwestye żywotne jest tłumaczeniem z rossyjskiego. Artykuł ten na-

pisany przez Mikołaja Pirogowa, traktuje o wychowaniu młodzieży. Wiele tam ustępów podlega dyskussyi, a przynajmniéj wymagałoby spokojnego rozwinięcia, lecz trzeba pamiętać, że burza z piorunami i deszczem potrzebną jest, aby odświeżać omdlewającą z pragnienia i duszności naturę.

Kończy zbiór ten monografia Mińska, skreślona piórem W. Syrokomli, następnie wyborna rzecz: o Ziemianach podług dawnych praw litewskich przez M. Malinowskiego. Rozprawa ta ma więcéj niż literacko-historyczną ważność, bo ocaliła tysiące może rodzin litewskich od smutnéj doli. Ś. p. Turkułł mianowany ministrem sekretarzem stanu królestwa, zasiadał w radzie państwa, i był przedstawicielem elementu polskiego. Przy urządzeniu nowych stosunków społecznych, musiano w téj radzie, na każdym kroku zapytywać przeszłości i jeden tylko Turkułł chciał i umiał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wtenczas to z ogromnemi trudnościami musieli walczyć potomkowie sztabsoficerów, urzędników ziemskich nieobowiązkowych i woźnych, w osiągnieniu służących sobie praw do szlachectwa. Turkułł wsparty rozprawą Malinowskiego i in-

nych uczonych, wyjaśnił prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie ustaw, i rodowość ich utrzymał, przez co stał się dobroczyńcą ogromnéj liczby osób.

Z taką pomocą piór jak p. Malinowskiego, Balińskiego, Odyńca, Syrokomli, Kirkora i t. d. Teka może się wyrobić na doskonały organ swojéj prowincyi, czego jéj z serca życzę.

XVI.

WALKA REALIZMU Z IDEALIZMEM.

Pamiętniki i romanse.

Dzienniki mają zwyczaj podawać spis książek wydanych, spis mniéj więcéj dokładny z podniesieniem ważniejszych dzieł, z lekką wzmianką o tych, co się mniej ważnemi zdawały, i z przemilczeniem wielu, bądź gwoli niewiadomości o ich wyjściu, bądź z niemożności wzmiankowania o nich. Jestto więc pod względem statystyki ruchu księgarskiego a razem bibliografii, niedostateczny wykaz, równie jak pod względem ocenienia ducha literatury i kierunków jéj, bo omówienie mniéj

więcéj pochlebne o jednéj lub drugiéj książce, nie daje jeszcze ogólnych i ostatecznych wypadków.

Co do ostatniego, trudność niemała, a nawet niepodobieństwo sądzić *eo instante*, o znaczeniu i wpływie książek świeżo przechodzących w ręce publiczności, gdy tylko czas, mniéj więcéj długi, przynosi świadectwo i potwierdza wpływ i znaczenie.

Wziętość książki mająca źródło często w nazwisku autora, w trafnéj aluzyi do bieżących zdarzeń i zajęć, albo niekiedy i w krytyce sprzymierzonéj z autorem i jego opiniami, nie rozstrzyga sądu bez apellacyi, bo jeśli interes chwili przeminie, opinia zbankrutuje, książka na wziętości traci, wychodzi z obiegu i idzie zapełniać pułki bibliotek, tego cmentarza sławy pisarskiéj.

U nas, spędzonych z pola sławy życia, mało kto nie rzuca tego nazwiska w tę urnę, którą jeniusz nieśmiertelności ma postawić kiedyś na mogile wieków. Nazwiska te są zazwyczaj przyczepione do jakiéj książki, nawet artykułu i ulotnego wierszyka. Piśmiennictwo więc stało się tą łodzią, w któréj Charon przewozi na Elizejskie pola. Ztąd natłok niezmierny;

coraz nowe następują nazwiska i pseudonazwiska; powstaje ścisk, tłum napiera na tłum, słychać głosy dopominające się swego miejsca i znaczenia, — ale to jeszcze nie daje przekonania, żeby na tém miała dużo zyskiwać istotna literatura narodu. Bibliografia może grube spisywać tomy — gdy tymczasem z tego posiewu na umysłowéj niwie ledwie setne zejdzie ziarno i wyda w potomności owoc.

Cóż znaczy to pragnienie rozgłosu, to kołatanie do bram nieśmiertelności, kiedy wiemy jak smak, język, obyczaj, wyobrażenia, zmieniają się nagle i ciągle. — Czyż my sami jesteśmy tém dzisiaj, czém byliśmy przed pięćdziesiąt laty; czyliż pochód wieku nie zrobił zmiany w każdym z nas? Wiersze Felińskiego, Stanisława Potockiego lub Kropińskiego proza, mająż jeszcze ten urok jaki miały swojego czasu? — Nie krytyka to zabija autorów, ale czas; co miało wziętość w jednéj epoce, niema jéj w drugiéj. Złem tego nazwać nie można, ale prawem konieczności, bo niema na to lekarstwa. Iluż to pysznych autorów rozsiadających się po szafach bibliotek, skurczyło się, jak ów talizmaniczny balzakowy jaszczur do

tak małéj objętości, że dziś ledwo służą na oznaczenie swego czasu, lub pewnéj daty w historyi literatury?

Aczkolwiek sława autorska jest tak przechodną, wypadaż wnosić, że nic nietrzeba robić, aby ją zdobyć? Bynajmniéj; po dobrze spędzoném i zapełnioném życiu, słodko pomyśleć, że pamięć nasza przeżyje krócéj lub dłużéj w miarę zasług i prac złożonych dla dobra bliźnich.

Uwagi te o marności sławy autorskiéj przyszły mi na widok tych sążnistych spisów bibliograficznych świadczących o corocznéj produkcyi pisarskiéj, która z każdym rokiem wzmaga się u nas i służy dla wielu, co lubią na cyfrach opierać swoje wnioski i twierdzenia, za dowód postępu w oświacie i kulturze.

Rzemieślnicza płodność a twórczość zapładniająca, nie są synonimami.

Do téj ostatniéj kategoryi stanowiącéj właściwe duchowe bogactwo narodu, ileż to dzieł wydanych w ciągu roku moglibyśmy sumiennie odesłać?

Ile i które? odpowiedź kłopotliwa, bo uprzedzająca wyrok czasu — co jednakże nie przeszkadza, żeby nie można było na polu

naukowych poszukiwań, wytknąć wiele prac posuwających różne gałęzie umiejętności do tego szczebla, na jakiém gdzieindziéj stoją. — Poczet ich niedługi, lecz znaczący. Dość tu wspomnieć z uszanowaniem przyjęte dzieło A. Z. Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, a zasługujące, aby rozbiór onegoż i ocenienie, dokonane było przez jakiego głębokiego znawcę praw dawnych i historyka, na co zawsze dość czasu, aby tylko sąd wypadł dojrzały: *Fizyologia* Dra Majera wniosła światło do tej gałęzi poczynającej się u nas umiejętności, zdobywając i porządkując tę masę doświadczeń, jakie w tym przedmiocie dokonano gdzieindziej.

W historyi, Szajnocha wydał dalszy ciąg *Historycznych Szkiców*, w których wiele zawiłości, błędów lub opuszczeń wyjaśnia, prostuje, wyprowadza. Sąto przygotowawcze roboty, cegiełki dla przyszłego historyka, lecz napisane z tym artyzmem, że nietylko samego badacza dziejów, ale i zwykłego czytelnika zajmować mogą. Bartoszewicz opisywał *Kościoły warszawskie*, więcej jednak zrobił i dał, jak zwykły dawać texty do illustracyi. Pamiętnikowa literatura była jednak najliczniej-

szą — szczególniej czasy schyłku 18go a początku 19 wieku zostały skreślone w tych drobniejszych rozmiarach domowego życia, które często więcej mogą powiedzieć niż sama historya sfer oficyalnych. Kraszewski wydał i zapewne ostatnią rękę przyłożył do Pamiętników Duklana Ochockiego, Bukara i Chrząszczewskiego. — Praca ta wymowną jest protestacyą przeciw pamiętnikom Bartłomieja Michałowskiego, wyrzuconym jakby na urąganie téj przeszłości, którą przywykliśmy tradycyonalnie szanować. Jednakowoż porównywając te dwa pamiętniki, nierzadko napotyka się w nich to samo zdanie o charakterze osób, te same szczegóły faktów ważniejszych; tylko punkt, z którego wszystko widzi i ocenia pan Bartłomiej, jest częstokroć tak sprzeczny z sumieniem narodu, a tak swoim cynizmem obrażający uczucie, że możnaby pismo jego nazwać wyznaniem wiary odstępcy, ale bez skruchy i zgryzoty, bo dworującego i z przekąsem nauczającego: to była wasza prawdziwa droga, a nie tamta, którą poszliście na zgubę. — Krytyka bez względu potępiła ten objaw samobójczy; w tém tylko chybili niektórzy, że zbyt wzgardliwie traktowali

talent pisarski autora umiejący się niekiedy utrzymać na takich wysokościach prawdy historycznéj i moralnéj, do jakich innym dosiągnąć nie zawsze się uda, co tém przykrzejsze, że tuż obok miejsc nacechowanych głębokością sądu i znajomością natury ludzkiéj, otwierają się przepaści prawdziwego moralnego upadku.

Ochockiego pamiętniki nie są fikcyą obrachowaną na cel pewien, ale rzetelną relacyą wołyńskiego szlachcica, który ma ten wysoki przymiot, że się dość otwarcie ze swego życia spowiada, a tém samém uchyla zasłony i pokazuje społeczeństwo, że tak powiem w negliżu. — Jednakowoż zdaniem mojém mógł był szanowny wydawca bez żadnego skrupułu wyrzucić przynajmniéj z połowę miłośnych przygód pana Duklana; nicbyśmy na tém nie stracili, bo takie przygody nie są charakterystyką pewnego czasu, ale niestety! wszystkich czasów, a zgorszenie zawsze będzie zgorszeniem, choćby nosiło cechę poważnéj starożytności. Szczególniéj cały ten romans z podżyłą i otyłą Podkomorzyną, niepotrzebnie szpeci karty téj wzruszającéj i bolesnéj epoki, a rzuca wcale niepochlebny cień na pana Du-

klana; nic bowiem nie nie znam wzgardliwszego w rodzaju męzkim, jak młodzieńca zostającego na żołdzie staréj nierządnicy, a chełpiącego się, że pieniędzmi tak zarobionemi utrzymywał młodą—aktorkę. Podobne wyznanie zrobione w gronie światowych i hulaszczych kawalerów przez którego z nich, niezawodnie pozbawiłoby go szacunku nawet w opinii rozpustników; cóż dopiero powiedzieć o wrażeniu, jakie podobne wyznanie sprawić może na czytelnikach i czytelniczkach nieobeznanych z tradycyami najwyższéj korrupcyi moralnéj. Ta uwaga powinna była zastanowić wydawcę i odjąć mu wszelki skrupuł w wykreśleniu nieprzyzwoitych ustępów; a byłby przez tę ostrożność ułatwił poznanie pamiętników Ochockiego nawet i tym osobom, co z niedowierzaniem przystępują do czytania płodów dzisiejszéj literatury powieściowéj, pilnie przestrzegając, aby tylko książki nieskalane żadnym moralnym brudem dostawały się do rąk młodzieży.

Osobliwą jego oryginalność znamionuje szczególniéj ton niefrasobliwy wietrznika, który o wszystkiém co widzi mówi bez ogródki, i niewdaje się w moralne obroki, piorunów nie

ciska, następstw nie bada, a tylko używa życia póki sił starczy i grosza w kieszeni. Ten rodzaj opowiadania tak rzadki w pamiętnikach pisanych z dawnych wspomnień, zazwyczaj w wieku dojrzałym z natury swéj dydaktycznym i rozumującym, ma niepospolity urok dla czytelnika, bo mu w duszy obudza nawał myśli, że nieledwo większy od nich powstaje nad nimi komentarz. Książka pobudzająca do myślenia zawsze większą ma wartość od téj co wszystko wygada — jest to tajemnica, któréj jednakowoż tak rzadko trzymają się nasi pisarze i dziwią się, że ich utwory przechodzą bez śladu, jak łódź przemykająca się po powierzchni wody.

W rodzaju pamiętnikowym odnoszącym się do domowych stosunków zakątka Litwy wyszła: *Powieść z czasu mojego* czyli *Przygody Litewskie.* Niewiadomy autor dzieje domowe oblókł niby w szatę powieści, niby jakiegoś pamiętnika, który podaje wiele szczegółów familijnych. Opowiada po prostu, ale niekiedy wpada w przewlekłość napełnioną komunałami: „że chciwość w zbieraniu majątku, bez względu na środki, nie jest korzystną, i w tym podobne ogólniki, albo téż maluje chorobę

Bogusi, niezbędnego kwestarza, którego Chodźko odmalował tak skończenie, że po nim można tylko zrobić bladą kopię. Miejsca te niepospolicie są ckliwe i nudne. Nie wspominałbym o tém, gdyby to nie przechodziło już w manierę naszych pisarzy, którzy nie troszczac się czy co nowego powiedzą, wywłóczą wszystkie zaściankowe wspomnienia; mogą one mieć urok dla opowiadającego, gdyż wszelkie wspomnienie z lat młodych ma go samo przez się, ale nie idzie zatém, aby wszystko warto było wspominać i opisywać co się czuło i widziało za młodu, bo przedmiot prawie zawsze się powtarza, jeżeli życie płynęło zwykłym trybem wiejskiego zacisza. Rzucanie się w te drobiazgi powszedniego żywota, ma to jeszcze do siebie, że oddala od większéj historyi, zacieśnia ramy widokręgu, wprowadza ludzi zwyczajnych jakich się codzień spotyka do sytu. Tym sposobem utwor wyłamuje się od wszelkich wymagań kompozycyi artystycznéj, staje się prostem skopiowaniem prozaicznéj rzeczywistości, która już razić mocno zaczyna w dzisiejszych utworach, szczególniéj formy powieściarskiéj. Kto bowiem kopjuje społeczeństwo, bierze tém samém na

siebie obowiąznk wierności, czyli dokładnego powtórzenia wszystkich jego wad, ułomności, brudów nawet, a chociaż zazwyczaj okraszone to bywa teoryą: żeby się poprawić, wprzód trzeba się ujrzeć we właściwém świetle... jednakowoż proceder ten przeciwne daje wręcz wypadki; dusza bowiem ludzka karmiona szkaradami nieczyści się w nich jak w ogniu, ale częstokroć smakuje w złem, a przynajmniéj tak się z niém oswaja, że traci wstręt i uważa te niedostatki i ułomności, jakby fatalną konieczność przywiazaną do natury wszystkich społeczeństw tego padołu niedoskonałości.

Jedną z najpilniejszych walk obowiązujących krytykę jest dziś bezsprzecznie walka realistycznych tak zwanych naturalnych dążności, z dotychczasowym idealistycznym kierunkiem. W piszących nie widać żadnego usiłowania do osiągnienia w tworach swych zupełnéj piękności, ponieważ zatopienie się w realizmie, obudziło wstręt do idealizmu; ztąd najwięcej jest u nich pociągu do szorstkości charakterystyki i drobiazgowości szczegółów; do chwytania portretów i sylwetek zamiast stawiania typowych postaci. Srodze chybiają w tém, że to obrali sobie za cel sztuki, co jest

tylko prostym łączniem między ideą a jéj uzmysłowieniem, to jest płaski realizm. Mojém zdaniem, nazwałbym to kompromisem poety abdykującego z wysokiego posłannictwa w sferze ideału i ducha, na rzecz zewnętrznego świata w téj smutnéj postaci, w jakiéj się przedstawia.

Ów Szyllerowski i Mićkiewiczowski rozdwój między ideałami a niepoetyczną rzeczywistością, zaciera się coraz więcéj; z czego wypływa konieczność, że twór poety przestaje być owym barwami tęczy olśnionym obłokiem, do którego rwie się umysł i fantazya; przeciwnie wlecze się jak trąba powietrzna po ziemi, zmiata śmieciska i wypija kałuże błota. Snadź że stracono poczucie ideału i piękna, oddano wzniosłe za rzeczywiste, i pogodzono się z otaczającą nas powszechnością. Kiedy dla Szyllera ten świat prawie nie istniał, kiedy dla niego wolność żyła tylko w krainie marzeń, piękność kwitła tylko w pieśni, przeczuwał prawie tę epokę w jakiéj żyjemy i pisał do Herdera: „Ta przewaga prozy w całym naszym bycie jest tak wielką i wybitną, że duch poetyczny zamiast stać się jéj panem, musi się od niéj zarazić i paść jéj ofiarą. Dla tego

nie widzę innego środka dla poetycznego jeniusza, tylko usunąć się z nizin rzeczywistości i zamiast niebezpiecznego przymierza, raczéj murem chińskim odgrodzić się od świata.“ Zapewne niekażdy miał tyle stanowczéj odwagi aby z rzęczywistością zerwać jak Szyller; wielu wolało żyć z nią w kłótliwém małżeństwie. Ten i ów zaczął rościć sobie pretensyę do świata, pragnął ubóswień hołdów, na jakie zdobyć się może tylko prawdziwa miłość, lecz gdy poznał, że służył tylko za sprzęt zbytkowy, którym się przechwalał egoizm towarzyski, zamykał się w sobie, trawił żółć, wyrzekał, że go nie poznano, zużyto i nadużyto i gardząc światem, stawiał ołtarze własnéj pysze czerpiąc przedmioty natchnień z tego co się w nim działo. Od téj egoistycznéj poezyi, którą nas niestety dość długo nudzono, przeszliśmy niby poprawiając się, lecz już pozbawieni ideału, w świat zewnętrzny robiąc sobie jakby powinność sumienia zdejmowania zeń najwierniejszych kopii, ma się rozumieć, że tu mówię o najniższym stopniu realizmu, który lubi tylko szpetną, trywialną i bezmyślną przedstawiać rzeczywistość, czyli taką, jaka często zjawia się oczom naszym na scenie

i na kartach romansów. Realizm bowiem spotęgowany wysokiém uczuciem i pojęciem pięknoty, to szczyt poezyi, która bez niego byłaby pustą, fatygującą mrzonką, abstrakcyą nie mającą w sobie nic ludzkiego, ziemskiego, — zatém obraną z życia.

Wszakże po tym rozbracie z ideałem, który jak wygnane bóstwo opuścił pierś poety, trzeba było brak wewnętrznego ognia i poczucia doskonałego piękna zastąpić jakim innym surrogatem — znaleziono go w tak nazwanéj *sztuce*.

Przypomnijmy tylko sobie, czy przed laty kilkunastu słyszeliśmy ten wyraz sztuka, artyzm, artyści, powtarzany tak często, jak za dni dzisiejszych. Wyraz ten brzmi we wszystkich ustach i pismach używany nawet *à propos des botes*. Tymczasem nigdy może jeszcze pojęcie sztuki nie było bardziéj pomięszane i skrzywione. I tak, kiedy jedni utrzymują radzi, że tradycya jest jedynéin i wszechwładném prawidłem, że dla nas, cośmy przyszli za późno nic już nie okroiło się z pierwotnych sił twórczych, z czego wynika, że dla artysty pozostał tylko wybór wzoru do naśladowania i nie więcej; to znowu drudzy jednym sko-

kiem rzucają się w przeciwną ostateczność, i twierdzą, iż natchnienie nie potrzebuje studyów; że wyobraźnia jest przymiotem samowładnym, mogącym panować bez wykazania się długim szeregiem przodków, i bez znoszenia się z innemi władzami umysłu. Największa znowu liczba, bo przeważna w dzisiejszém piśmiennictwie, jednych i drugich ma sobie za ba i bardzo, a uśmiechając się litośnie na wszystkie systemata nie przypuszcza tych trapiących myśli do głowy, i sztukę traktuje jak rzemiosło lub towar, powtarzając sobie: najlepsza to sztuka co najwięcéj grosza przynosi. Tym sposobom sztuka źle pojmowana przez niektóre umysły, często z najlepszą wiarą, doznaje rozmyślnéj poniewierki przez tłum piśmienny.

Połączyć nowość z doskonałością—oto cały cel sztuki—a tymczasem mimo powszechnego hasła: Sztuka i sztukmistrze! jakże nam trudno spotykać się z czém nowém i z czém doskonałém;—sądzę nawet, że jakby umyślnie pisarze nasi obierają ten rodzaj, który ich do niczego nie obowiązuje, w którym wszelka mierność bardzo przyzwoite może zajmować

stanowisko. Rozumiem tu formę powieści i romansu, prozą czy wierszem wszystko jedno.

Wytłumaczę się z tego wyraźniéj. Wiadomo, że romans jako dzieło sztuki, może obejmować w sobie wszystkie rodzaje literatury; ramy jego bowiem są tak obszerne, że w nich śmiało rozpościera się najbujniejsza fantazya artysty. Słowem ta nieograniczoność i nieokreślność powieściowego rodzaju, jakkolwiek sprzyja swobodzie tworzenia, tak z drugiéj strony napotyka niebezpieczne szkopuły. Gdzież się bowiem romans poczyna, a gdzie kończy? pytanie to nie da się rozwiązać; jeżeli malowidło życia rzeczywistego i świata przeważa w nim, to znowu fantastyczność i cudowność także w nim miejsce swoje znachodzą. Nikt téż ile wiem nie kusił się spisywać kodexu poetycznego dla romansu, w którym mieści się każdy rodzaj literatury, od epopei do epigramu, od dramatu do mglistych rojeń metafizyki.

Korzystając z tego przywileju, romans opanował wszystkie rodzaje, i służy za środek do przeprowadzania w tej formie każdéj idei, każdéj opinii, jaka zaświeci w głowie autora. — Ten zwrot, tak namacalny w naszych czasach,

stał się przyczyną poniżenia tego rodzaju literatury.

Jaki taki przynosząc swoję opinijkę i doktrynkę, dobiera sobie scenerye, wyszukuje odpowiednie figury i każe im ruszać się na rozkaz, a raczéj za pociągnięciem sznurka; zupełnie jak w jasełkach. Kompozycya taka stosowana i przykrawywana do mającéj się przeprowadzić idei, najczęściéj bywa chybioną; z téj przyczyny, że jeśli ten i ów nie podziela owéj zasady lub opinii, tém samém zmuszony bywa odmówić tak zdarzeniom, jak osobom dramatu wszelkiego podobieństwa z rzetelną prawdą życia. Nawzajem zwolennik opinii autora, więcéj znajduje pociechy, że jego opinia popartą została, niż się interesuje artystyczném przeprowadzeniem jéj i mniéj mu bije serce dla tych postaci urojonych, gdy on sam może się ma za większego jeszcze bohatera, gdyby mu w rzeczywistości nastręczyło się takie pole jak w romansie.

Ten fałszywy proceder używany przez romansopisarzy, przyprawia ten rodzaj o coraz większe bankructwo, zwłaszcza, gdy wyobrażenie ich moralne i wewnętrzne dążenie do ideału piękna, nie jest na téj wysokości, aby

założenie przeprowadzić ze ścisłą konsekwencyą we wszystkich częściach i do samego końca. — Cóż mi z tego, że ktoś bardzo budującą, lub wysoce filozoficzną ideę zamierzył podać w formie powieści, kiedy w wykonaniu najczęściéj chybi, podobnie jak ten syn Dumasowy, w swojéj *Dame aux Camélias.* Główny jego pomysł zamyka się w zdaniu: że raz uroniony honor nie da się przez skruchę odzyskać — że dawniejsze życie mści się, przeszkadzając powrotu na dobrą drogę. — Bardzo dobrze! lecz myśl ta, tak tam jest zagłuszoną ponętnemi opisami brudnego żywota. Loretek, autor tak sobie w tém smakuje, że jego cały morał wygląda jak niepotrzebna przyczepka. Wziąłem ten przykład z autora bardzo wziętego i naśladowanego, który jest prototypem rodzaju. Dlaczego zaś między naszymi pisarzami powieści nie szukałem przykładu? Oto, że ci, co piszą krojem francuzkich romansów — a jest ich bardzo wielu — pozbawieni są wybitnych cech; tak dobre jak złe, powleczone jest u nich pewną mglistą warstwą pochodzącą z braku odwagi, muszą więc modyfikować się, by nie zrazić opinii

poważnéj większości; podkopują się jak kre-
ty, nie śmiejąc otwarcie w bój wystąpić.

Poetycznym duchem i talentem obdarzony artysta inaczéj tworzy — jego coś musi silnie tknąć w rzeczywistym świecie, owładnąć go, zlać się z jego istotą wewnętrzną, napełnić wszystkie marzenia i sny, przejść w krew nie-lèdwo — i przetrawiwszy się ogniem najgłębszego uczucia, wyjść w skończonéj, harmonijnéj całości, z twórczéj piersi.

Harmonia i całość! to sęk! to zadanie każdéj kreacyi. — Całość i jedność — to alfa i omega powieściowéj kompozycyi.

Umiejętność analizuje czyli rozbiera, sztuka uogólnia. Jakiż jest cel romansu? Nie zasadzaż się on na wzbudzeniu interesu dla dykcyi, na wzruszeniu czytelnika przez potrącenie najdelikatniejszych fibr serca? Owóż jeżeli romans chce porwać moję uwagę, niechże ją przywiąże do jednego punktu. Rozstrzeliwać sympatyę, to samo jest co ją niszczyć. Ogół natury przedstawia cudowną harmonią — toż i dzieło sztuki powinno być takiém, czyli harmonijném, i w tym właśnie względzie naśladować naturę.

Tak pojmuję romans, tak każdą kreacyę,

i dlatego widzę tyle uchybień w dzisiejszych naszych powieściach pozszywanych z obrazków, które są jakby mozolnie pozwłóczone argumenta, dla poparcia tendencyjnej idei, będącéj główném założeniem, mającego się dowieść zagadnienia.

Dlategoto romans się zbłąkał, że chciał aż nazbyt granice swego królestwa rozszerzyć. Prostych opowiadaczy tego, co ich tchnęło i wstrzęsło w istocie, co się zidealizowało w poetyczném natchnieniu, rzadko się napotyka; za to pretensyonalnych nauczycieli wykładających teorye swoje pod figurami — aż do sytu. Osoby ich sztucznie uorganizowane tak się wygadają ze wszystkiego czém są, czego chcą i czém być mogą, że czytelnik nie potrzebując już myśleć o nich, daje im odprawę na wieki. Idą więc w zapomnienie na skład, jak jasełkowe lalki.

W steku powieści naszych ileż to jest, pozwalamy zapytać się, takich postaci coby miały swój żywotny i gruntowny organizm? krom Paska, tego zapłodniciela licznie sypiących się tomów, braci Strawińskich żyjących kontrastem, szczytnego księdza Robaka, kwestarza Chodźkowskiego i ostatniego z Siekierzyń-

skich, wyłączając *Panie Kochanku* który jest wyjątkowym oryginałem—zgoła oprócz tych kilku figur, niemogących nam być odebranemi przez żadną literaturę — nie widzę nawet usiłowania, aby nowsze kreacye chciały się wznieść do tej wysokości: owszem powieść wpadłszy na niewłaściwe stropy, coraz więcej rezygnuje z. niezbędnych warunków poetycznej kreacyi.

Uwagi te powiedziane ogólnie, nie zaczepiają powieści i romansów jakie ukazały się w upłynionym roku z przyczyny, że w tej gałęzi naszego piśmiennictwa nie zaszła jeszcze żadna odmiana. — Powieści piszą się jednym trybem, aby jak najwięcej tomów napisać. — Gdyby choć jeden zaświecił był nowością pomysłu i wykonania, byłbym go wspomniał, lecz wszystko to są z małym wyjątkiem dzieci ojców, do których się nie chcą przyznać, że w nich płynie krew Sandów, Dumasów i t. p.

KONIEC.

SPIS ARTYKUŁÓW
tomu drugiego.

Strona

	DATE DUE		

